

JOANNA
SZARAŃSKA



Cztery
płatki
śniegu



JOANNA
SZARAŃSKA

Cztery
płatki
śniegu

Copyright © Joanna Szarańska, 2017

Copyright © by Wydawnictwo Poznańskie Sp. z o.o., 2017

Redaktor prowadzący: Patryk Mierzwa

Redakcja: Kinga Gąska

Korekta: Alicja Laskowska

Pro-jekt okład-ki: Izabella Marcinowska

Fotografia na okładce: Sandra Cunningham/shutterstock

Kon-wer-sja: Grze-gorz Ka-li-siak

ISBN 978-83-7976-793-9

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fre-dry 8, 61-701 Po-znań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

*Pamięci Mamy.
Brakuje mi Ciebie przy wigilijnym stole.
Przy nim najsilniej tęsknię...*

Wigilia

Chuda jodełka zakołysała się lekko pchnięta podmuchał lodowatego wiatru. Zawieszona na jej gałązkach szklane sopleki zabrzczały melodyjnie, gdy zetknęły się pokrytymi śniegiem szpicami. Światło ulicznej latarni zaśniło w ozdobach srebrzystym refleksem, wzbudzając zainteresowanie szarego wróbelka przycupniętego na cienkiej gałązce.

Czarne, podobne do maleńkiego koralika oko zarejestrowało niespodziewany ruch. Ptaszek zerwał się z choinki i przysiadł na rozciągniętych powyżej kablach elektrycznych. Z wysokości obserwował człowieka, który głośno posapując, zbliżał się do drzewka. Skrzypnął śnieg pod stopami, a następnie gromko huknęło, gdy na ziemię opadł z trudem przytaszczony podłużny kształt.

– Jakie ciężkie, niech to szlag! – doleciało gdzieś zza czerwonego, kraciastego szalika. – Ale zaraz, zaraz... gdzie ja to miałam? Chyba tu... a jest. No, bo już myślałam, że zgubiłam po drodze.

Postać w kraciastym szaliku sięgnęła za pazuchę i wydobyla poplątany sznur choinkowych lampek. Ostrożnie ułożyła je na śniegu i zabrała się do rozplątywania. Sprawnie jej szło i już po kilku minutach światełka były gotowe do zawieszenia.

– Lulajże Jezuniu... – spomiędzy spierzchniętych warg wydobyło się chrapliwe nucenie. – ...me pieścidełkoooo! – Spłoszony wróbel zerwał się z przewodów elektrycznych i przefrunął nad zaśnieżonym podwórkiem. Wzniósł się na wysokość drugiego piętra i lekko opadł na blaszany parapet. Z uwagą obserwował krzątającą się niżej postać, która właśnie zaczęła się szarpać z przytaszczonym pakunkiem. – Lulajże, lulaj! A stójże, cholero!

Podłużny kształt okazał się być niewysoką metalową drabinką, która szybko została rozłożona i ustawiona w bliskim sąsiedztwie jodełki. Postać złapała sznur rozplątanych lampek i niepewnie wdrapała się na stopnie. Kroczek za kroczkiem zbliżyła się do czubka drzewka i niezdarnymi ruchami rąk, ukrytych w grubych wełnianych rękawicach, oplotła choinkę światełkami.

Wróbel zarejestrował ruch za oknem, więc podskoczył kilka razy w miejscu, strąsając płatki śniegu, po czym stanął oko w oko z psim pyskiem przyklejonym do szyby. Przestraszył się i sfrunął na pokrywę blaszanego śmietnika, na moment tracąc kontakt z postacią przy choince. Kiedy ponownie skierował na nią uwagę, stała nieopodal drzwi do klatki schodowej, taszcząc kabel przedłużacza.

– A ty go, matulu... – skrzeczała postać, wypuszczając w powietrze białe kłębuszki pary – ...bujaj go, bujaj. Nie, nie tak... lulaj go, lulaj! Na pewno nie przyjdą – powiedziała nagle. – W nosie mają. Nie moja sprawa. Ja proponowałam. Nie moja sprawa. Pewnie przed telewizorem siedzą. Nie przyjdą. Ich sprawa. Nie moja. Ja proponowałam. Taki ładny pomysł, taki ładny...

Postać stęknęła przeciągle, schylając się po zwisający z jodełki kabel zakończony niewielką wtyczką. Zmrużone oczy starały się dostrzec otwory w kostce przedłużacza, zgrabiące dłonie usiłowały wcisnąć zieloną wtyczkę. W końcu udało się. Postać wyprostowała się i w napięciu spojrzała na drzewko, które według zapewnień producenta powinno zalać się rześką orgią kolorów. Tfu, feerią chyba.

Powinno. Ale nie wiedzieć czemu pozostało czarne jak grudniowa noc. Czy też listopadowa. Czy też inna ciemna pora od zachodu do wschodu słońca.

– Niech to szlag! – wychrypiała postać w szaliku, tupiąc ze złości stopą w grubym kozaku. – Człowiek rozplącze, zaplącze, włączy, a na końcu i tak się okaże, że jedna cholera nie działa! Lulajże...

Postać odkasznęła sucho, złapała oburącz drabinę i podjęła wspinaczkę po metalowych stopniach. Dotarłszy na sam szczyt, zaczęła niezdarnie obłapiać kolejne światełka, dociskając barwne żaróweczki. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo i znudzony wróbel pomyślał, że

najwyższa pora przelecieć się po mieście i rozejrzeć, gdzie tego wieczoru urzędują jego kompani. Ale w tej samej chwili wydarzyło się coś niesamowitego. Nagle lampki rozjarzyły się wszystkimi kolorami tęczy, migocząc w zawieszonych na jodełce soplekach i czapach śniegu pomiędzy iglastymi gałązkami. Postać na drabinie zamarła z kolędą na ustach, a oświetloną barwnym blaskiem twarz rozjaśnił pełen zachwytu uśmiech. Trwało to jednak zaledwie kilka sekund, bo niespodziewanie coś pyknęło, trzasnęło, z kostki przedłużacza sypnęły iskry, a lampki na drzewku zamigotały i zgasły. Równocześnie w ciemnościach pogrzyżł się cały budynek.

Postać na drabinie zachwiała się i wyciągnęła dłoń, szukając podparcia. Natrafiła jednak tylko na smętnie kołyszący się sznur lampek i z hukiem runęła na ziemię.

– ...Jezuniu – jęknęła, leżąc u stóp drabiny. I nie wiadomo było, czy to ciąg dalszy kolędy, czy już coś innego.

Budynek pod numerem piątym na ulicy Weissa nadal tonął w ciemnościach, jego fasadę rozświetlały jednak błyskające światła zaparkowanego nieopodal ambulansu. Stojące przed wejściem cztery kobiety odprowadzały wzrokiem transportowane przez sanitariuszy nosze, na których spoczywała nieruchoma staruszka.

– Tego można było uniknąć – powiedziała jedna z nich. Trzy pozostałe ponuro pokiwały głowami.

Tymczasem ratownik medyczny podszedł do noszy i spojrzął na leżącą. Zauważył, że zgina ramię pod nienaturalnym kątem i pomyślał, że musi jej być niewygodnie. Chciał ułożyć ją trochę inaczej, ale nagle otworzyła oczy i pokręciła głową. Usłuchał. Kiedy nosze zostały już umieszczone w samochodzie, a drzwi zatrzaśnięte, leżąca na nich kobieta sztywno poruszyła ramieniem i z trudem wsunęła dłoń za pazuchę, zaciskając ją na śnieżnobiałej chusteczce. Zawinięte w nią opłatki ogrzały się ciepłem jej dłoni.

Wcześniej

Zuzanna

Do czasu pamiętnej rozmowy Zuzanna Kropczyńska--Fijus, zwana potocznie przez przyjaciół Zużą, ewentualnie Kropką, nie zastanawiała się nad obrazem swojego małżeństwa. Ba, Zuzanna wcale zastanawiać się nie musiała, ponieważ święcie i nade wszystko była przekonana, że związek, który z poświęceniem pielęgnowała od piętnastu lat, był idealny! Czy bez cienia skargi nie prała skarpet, które wykazywały niezwykły talent do materializowania się w najmniej oczekiwanych zakamarkach mieszkania? Czy nie gotowała kapuśniaku na żeberku, galantyny z kurczaka i galarety wieprzowej, choć już na samo brzmienie nazw ulubionych smakołyków męża dostawała mdłości? Czy szyby w oknach ich trzypokojowego mieszkania w bloku przy ulicy Weissa nie lśniły tak krystalicznym blaskiem, że zawistne sąsiadki musiały mrużyć oczy? O, tak. W kwestii swojego pożycia małżeńskiego Zuzanna zdecydowanie nie miała sobie nic do zarzucenia, była wszak idealną żoną swego męża.

Pech chciał jednak, że mniej więcej w połowie listopada najlepsza przyjaciółka Zuzy, Karolina, została porzucona przez wieloletniego partnera. Dramatyczne rozstanie zostało okraszone standardowym: „Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi” oraz wręczeniem starannie złożonej kartki formatu A4, na której skrupulatnie wyszczególniono podział wspólnie nabytego mienia. Nie należy się zatem dziwić, że Karolina poczuła się silnie zraniona i zjawiała się pewnego ponurego popołudnia w mieszkaniu Zuzanny, aby w towarzystwie przyjaciółki, ciasta z migdałową bezą i ptasiego mleczka o smaku cytrynowym wieszać psy na całym męskim gatunku.

Kiedy w pudełku z czekoladkami dostrzegły dno, a Zuzanna zajęła się parzeniem kolejnego dzbanka mocnej kawy, Karolina otarła zaczerwienione oczy i oświadczyła pewnym tonem:

– Wszyscy faceci to świnie.

– Och, na pewno są jakieś wyjątki... – odparła słabo Zuzanna, która na ten temat miała zgoła odmienne zdanie, a własnemu mężowi właściwie nie potrafiła nic zarzucić. To prawda, że gdy chodziło o wyrzucenie śmieci, dopadały go pierwsze oznaki demencji starczej, a ostatnim kwiatem, jaki od niego dostała, była przerośnięta paprotka kupiona za jedną trzecią ceny w Biedronce, i to tylko dlatego, że nieopatrznie zrzucił ją, pakując zakupy, ale to przecież nie powód, by od razu zaliczać go do kategorii wieprzowiny!

– Tak sądzisz? – Karolinie nie spodobało się wahanie przyjaciółki. – Wobec tego bardzo mało wiesz o życiu, moja droga. Bardzo mało. Cieszę się, że nigdy nie skrzywdzono cię tak jak mnie. Moje serce zostało złamane! – Posłała Zuzie lekko urażone spojrzenie, wpychając w usta kolejną czekoladkę.

– Może nie byliście sobie pisani? – Zuzanna, która była nieuleczalną romantyczką i wierzyła w miłość przez wielkie czerwone „M”, wychodziła z założenia, że dwie połówki jabłka muszą w końcu złożyć się do kupy. Tak samo jak dwie połówki pomarańczy. – Może po prostu to nie ten?

– Nie mam pojęcia. Mam nadzieję, że to nie ten, bo przecież okazał się potwornym palantem! Czy wiesz, co on w ogóle zrobił?

– W ogóle to chyba cię porzucił... – szepnęła cichutko Zuzanna, która nie chciała poruszyć bolesnej struny w sercu przyjaciółki, ale nie miała pomysłu, cóż innego mógł uczynić

potworny palant.

– To też, ale czy wiesz, w jakich okolicznościach do tego doszło? Jak bardzo mnie rozczarował?

– Nie mam pojęcia – odparła zgodnie z prawdą, ponieważ rzeczywiście nie znała szczegółów tego jakże dramatycznego zdarzenia. Wcześniej, gdy dzwoniła do przyjaciółki, aby ją wesprzeć i pocieszyć dobrym słowem, w słuchawce rozlegały się naprzemiennie szloch i wyzwiska, więc nie była w stanie wydobyć z Karoliny, co tak naprawdę zaszło.

– Umówił się ze mną w eleganckiej restauracji w Krakowie. Zamówił dla nas kolorowe drinki. Moje ulubione malibu i coś śmierdzącego z colą dla siebie. Łyknął sobie raz i drugi. Pomyślałam, że jakiś taki zdenerwowany... I wtedy powiedział... Wtedy powiedział, że musi powiedzieć mi coś bardzo ważnego. I zaczął obmacywać wewnętrzną kieszonkę marynarki...

– I co? – Zaaferowana Zuzanna sięgnęła do pudełka z czekoladkami i bezwiednie wepchnęła słodycze do ust.

– I wyciągnął paczkę chusteczek higienicznych! Powiedział, że ma katar, a ja głupia myślałam, że chce mi dać pierścionek!

– A to świnią!

– Sama widzisz! Prawdziwa, najprawdziwsza świnią! A potem, jak gdyby nigdy nic, kwestie majątkowe jeszcze ze mną rozstrzygał! Mówię ci. Oni wszyscy są tacy sami. Interesuje ich tylko seks i piłka nożna. Ewentualnie jeszcze skoki narciarskie, ale tylko w sezonie. Udają grzecznych, a potem szast-prast i okazuje się, że baba na boku!

– Ale to niemożliwe, żeby na świecie byli tylko tacy faceci. Ja na przykład specjalnie nie narzekam... – Mimo głębokiego oburzenia względem byłego partnera Karoliny, Zuzanna nadal czuła się zobowiązana stanąć w obronie własnego męża.

– Tere-fere kuku! Albo jesteś ślepa, albo trafił ci się gej. A zważywszy na to, że jestem matką chrzestną twojej córki, raczej obstawiałabym ślepotę.

– I co teraz? – zapytała nieszczęśliwym tonem Zuzanna.

– No, cóż... – Karolina wyciągnęła przed siebie długie nogi i sięgnęła do pudełka z czekoladkami. – Ja radziłabym wszystko sprawdzić. Żebyś potem nie obudziła się z ręką w nocniku.

– E, tam. – Zuzanna machnęła lekceważąco dłonią i przysunęła sobie kolejny kawałek aromatycznego ciasta z migdałową bezą. Nie zamierzała roztrząsać słów przyjaciółki, przez którą przemawiały złe doświadczenie i zupełnie zrozumiałe rozgoryczenie. Ona, Zuzanna, nie miała czego sprawdzać, wszak wiodła całkiem udane życie, choć czasem śmieci wysypywały się z kubelka, a na parapecie kuchni straszyla nieco przerośnięta paprotka. Nie zamierzała o tym w ogóle myśleć.

Ale ziarnko wątpliwości zostało zasiane.

Kajetan

W czasie, kiedy Zuzanna na poważnie zajęła się rozkładaniem swojego małżeństwa na czynniki pierwsze, jej mąż, Kajetan, miał twardy orzech do zgryzienia. Z nieszczęśliwą miną stał pośrodku małżeńskiej sypialni. Ścisnął kurczowo płaskie pudełko po damskich kozakach popularnej marki i wodził spojrzeniem po pomieszczeniu, szukając najlepszej kryjówki dla trzymany w ręku skarbów.

Na własne nieszczęście – choć z pewnością w innych okolicznościach mężczyzna ująłby to nieco inaczej – Kajtek był mężem swojej żony. A to oznaczało, że w pokoju, w którym obecnie się znajdował, panował wręcz idealny porządek. Trochę sfatygowana, ale nadal dość wygodna wersalka została starannie przykryta narzutą z frędzelkami. Na tapicerowanych fotelach od kompletu nie zalegały żadne ubrania. Czasopisma, starannie posegregowane tematycznie („Piłka Nożna” i „Newsweek” dla niego, „Oliwia” i „Poradnik Domowy” dla niej), spoczywały w estetycznym, wiklinowym koszyczku pod oknem. Na ławie ze szklanym blatem stała jedynie misa z zapachową świecą, a wszystkie szafki i szuflady meblościanki były pozamykane. Nawet zeschnięty płatek różowego cyklamena nie ośmielił się opaść na parapet czy starannie odkurzoną powierzchnię dywanu i na oczach Kajetana powoli sfrunął na podstawiony talerzyk.

Kajetan odetchnął głęboko, spojrzał żałośnie na trzymane w dłoni pudełko, po czym ostrożnie przysiadł na brzegu wersalki. Zatopił się we wspomnieniach, przywołując chwilę, gdy do pokoju, w którym pracował, wpadł mocno zafrasowany Michał.

– Ratuj mnie, stary! – zajęczał.

– Co się stało? Napadli cię? Trzeba komuś obić pysk?

Michał rzeczywiście wyglądał jak ofiara ulicznej bójki. Jego ubranie było mocno poszarpane i nieświeże, a przez policzek ciągnęła się czerwona pręga. Zaskoczony Kajetan dostrzegł również opuchliznę pod lewym okiem.

– Żeby to było takie proste! – westchnął kolega, podchodząc do biurka, za którym siedział Kajtek, i kładąc na nim trzymane dotychczas pod pachą pudełko po butach. Wskazał najpierw puchnące oko, a następnie obolały policzek. – To dzieło Elwirki.

– No, to pięknie! A czym zasłużyłeś sobie na tak gorące dowody miłości?

– Elwirka robiła jesienne porządki i znalazła moje maleństwa...

– Twoje ma... czyli co?

– Świerszczyki.

– Świerszczyki?

– Nie wiesz, czym są świerszczyki?

Kajetan przez chwilę mierzył kolegę nieprzytomnym spojrzeniem. Oczywiście, że wiedział, czym są świerszczyki. Z Michałem przyjaźnił się od przedszkola, razem grywali w piłkę nożną, zbijanego, dwa ognie. Organizowali podchody i chodzili kąpać się w Cedronie. I nikt tak dobrze jak on, Kajetan, nie znał fascynacji Michała owadami. Kolega zbierał nieżywe okazy i trzymał w słoiku pod łóżkiem. Było to na swój sposób makabryczne i fascynujące równocześnie. Czasami, najczęściej w deszczowe, letnie popołudnia, spotykali się w pokoju Michała, a wtedy kolega wyjmował słoik i rozkładał przed Kajtkiem swoje skarby. Najbardziej uwielbiał motyle, mógł im się przyglądać bez końca, używając do tego dużej lupy. Nie wiedziałem, że świerszcze też lubi – przemknęło przez głowę Kajetana. – No i że nadal je

trzyma. To trochę makabryczne, swoją drogą. Nie dziwię się, że Elwirka wpadła w szal.

– Oczywiście, że wiem o twoich świerszyczkach! – Uśmiechnął się do przyjaciela. – Ale jak mógłbym ci pomóc? Chyba nie chcesz, żebym wstawił się za tobą u Elwirki?

– Pewnie, że nie! Sam ją jakoś udobrucham, mam w tym wprawę. Czekoladki, jakieś kino, obowiązkowo z komedią romantyczną, od której flaki mi się przewrócą w środku, potem pudełko z ładną bielizną i wino do kolacji. Rano zapomni o świerszyczkach. Rzecz w tym... – Michał zmarkotniał – ...że zanim tego dokonam, może minąć trochę czasu. A na razie muszę znaleźć moim skarbowi bezpieczne miejsce. – Spojrzał wyczekująco na Kajtkę.

Kajetan poczuł, że robi mu się gorąco. Wiedział, czym jest męska przyjaźń, i był świadom, że czasem wymaga ona podania pomocnej dłoni, okazania lojalności i wsparcia, nawet zrobienia czegoś nieprzewidywalnego i nielogicznego. Ale myśl o martwych owadach w nieskazitelnym mieszkaniu Zuzanny sprawiała, że gdzieś w okolicy jego przetyku materializowała się ogromna gula. Przyjaźń przyjaźnią, ale przecież nie był samobójcą!

– A może oddasz je do jakiejś przechowalni?

– Oszalałeś? Mam je jeszcze od liceum. Nie mogę ich oddać ot tak, w pierwsze lepsze ręce. A jeśli zaginą?

– Nie mam innego pomysłu – powiedział szybko, udając, że nie widzi nieszczęśliwego spojrzenia Michała powoli tonącego w fałdkach opuchlizny.

– Słuchaj, stary. To sytuacja podbramkowa. Czy gdybym ci powiedział, że nie mam gdzie mieszkać i muszę spać na ławce pod blokiem, ofiarowałbyś mi kąt w swoim domu?

– Masz samochód – zauważył trzeźwo Kajetan. – Nie musisz spać na ławce.

– Jeśli nie udobrucham Elwirki, stracę go na pierwszej rozprawie! Proszę cię, stary! Przygarnij moje maleństwa i zaopiekuj się nimi, póki nie znajdę dla nich bezpieczniejszej kryjówki! Możesz je nawet obejrzyć, nie pogniewam się. Są naprawdę słodkie!

Na myśl o słodyczy Michałowich maleństw Kajetan poczuł, że nie przełknie ani jednego kawałeczka sałatki makaronowej z tuńczykiem i oliwkami, którą tego ranka Zuza zapakowała do jego pudełka śniadaniowego. Stwierdził, że najlepiej zrobi, jeśli utnie temat świerszyczek szybko i zdecydowanie. Inaczej nie zje także obiadu, kolacji, a kto wie, czy nabierze ochoty na śniadanie. A przecież wielkimi krokami zbliżał się weekend. W weekendy Zuzanna przygotowywała przepyszne śniadania dla całej rodziny, gotowała rosół z kury z kawałkiem wołowego na niedzielny obiad i zawsze piekła ciasto. To byłaby wielka krzywda, tak stracić apetyt przed weekendem, wielka krzywda. I sam nie wiedząc kiedy, Kajtek skinął głową i przysunął w swoją stronę pudełko po kozakach.

– Zaopiekuję się nimi – obiecał solennie, w duchu pytając samego siebie, gdzie ukryje owady przed wszechwidzącymi oczyma żony.

To samo pytanie zadawał sobie teraz, po raz setny zresztą. I mógł powtarzać je jeszcze tysiące, a nawet miliony razy, a odpowiedź i tak się nie nasuwała. W schludnym mieszkanku państwa Fijusów nie było bowiem ani jednego zakamarka, który oparłby się przenikliwemu oku i pracowitej dłoni Zuzanny.

W tej samej chwili jakiś bożek, odpowiedzialny za ratowanie mężczyzn przed gniewem ich życiowych partnerek, zdecydował się zlitować nad losem Kajetana, Michała i pudełka po damskich kozakach wraz z jego osobliwą zawartością. Zachwycony swoją pomysłowością Kajtek wydobyl z pawlacza starą walizkę, w której Zuzanna trzymała nienoszone ubrania. Sprzed czasów rozmiaru XL, powtarzała i dodawała, że ich oglądanie zawsze wpędza ją w depresję i dlatego tego nie robi. Wyrzucić ich jednak nie zamierzała. Może liczyła na to, że i nad nią zlituje się jakieś przyjazne kobietom po trzydziestce bóstwo? Zamacha różdżką, tu zabierze, tu doda, a gdzie indziej podniesie – zsyłając najprawdziwszy cud?

Praktyczny do bólu Kajetan musiał przyznać, że póki co na cud się nie zanosilo, zatem pudełko martwych owadów ukryte w starej walizce było zupełnie bezpieczne. Z poczuciem dobrze spełnionego względem męskiej przyjaźni obowiązku wepchnął walizkę na półkę, dokładnie zamknął pawlacz i ruszył w kierunku kuchni. Poczul, jak wraca mu apetyt.

Stasia

Stasia Kamińska nie lubiła swojego imienia. Praktycznie od zawsze, a tak najbardziej to od czasów przedszkolnych.

W niewielkiej grupie Grzybków były trzy Amelki, dwie Ole, dwie Nikolki, dwie Julki, dwie Wiktorie i tylko jedna Stasia. Każdego przedpołudnia dziewczynki bawiły się w księżniczki, dzieląc się swoimi modnymi imionami jak tabliczką czekolady. Raz było dwanaście księżniczek Amelek, innym razem dwanaście Wiktorii. I tylko księżniczki Stasi nie było ani razu. Dziewczynkom nie podobało się imię koleżanki i po pewnym czasie ona również zapalała do niego niechęcią. I naprawdę guzik ją obchodziło, że lekarz, który z takim trudem pomógł jej przyjść na świat, miał na imię Stanisław!

Kiedy mama zapowiedziała, że przenoszą się do niewielkiego miasteczka na południu Polski, dziewczynka miała nadzieję, że coś się zmieni. Skoro to takie małe miasteczko, to może lubią tam mniej popularne imiona i nie będzie odstawać od innych dzieci? Może popularne imiona tam jeszcze nie dotarły albo dotarły troszkę później i obecnie ulokowały się gdzieś w grupach przedszkolnych? Do nowej szkoły Stasia maszerowała nie tylko z nowym plecakiem, ale także z nowym pokładem nadziei.

Nadzieje te jednak rozwiały się już pierwszego dnia. Nie dość, że okazało się, iż w klasie 2a uczą się dwie Nikole, dwie Milenki, dwie Julki, dwie Amelki i jedna Lilcia, to jeszcze wychowawczyni miała na imię Samanta. Na liście figurowały też Ania, Kasia i Magda, ale takie imiona były jak najbardziej w porządku i w żadnym razie nie stawały się obiektem kpin. Po raz kolejny Stasia poczuła, że odstaje od swoich rówieśników.

W nowej szkole dziewczynka nie nawiązała przyjaźni. Dzieci były dla niej miłe, nie dokuczały jej, jak to się nieraz zdarzało w przeszłości. Ale znały się od dawna, chodziły razem do przedszkoli lub zerówek, mieszkały na tych samych ulicach czy niewielkich osiedlach i spotykały na placu zabaw obok biblioteki miejskiej. Każda dziewczynka miała swoją najlepszą przyjaciółkę, taką, co to właśnie jej pokazuje się nowego kucyka Pony czy interaktywne pieski. Stasia nie miała interaktywnego pieska ani przyjaciółki, zatem każdego dnia po szkole wracała do domu samotnie. Powoli dojrzewała w niej myśl, że różni się od rówieśników i nigdy nie nawiąże z nimi kontaktu, a winą obarczała nielubiane, staroświeckie imię...

Kolejnym problemem dziewczynki, choć naturalnie nie aż tak wielkim jak nielubiane imię, stała się mama. Mama Stasi była zapracowaną rodzicielką, która niemal każdego dnia przez osiem godzin zasiadała w ciasnym boksie miejscowego supermarketu i przesuwiała po taśmie kolejne artykuły spożywcze, mówiąc: „Proszę”, „Dziękuję” i „Czy dostanę grosika?”. Dziewczynka doskonale wiedziała, że mama nie może odprowadzić jej do szkoły, a tym bardziej przyjechać po nią dużym, czarnym samochodem, jak mamy niektórych szkolnych koleżanek. Ich samochód był malutki i czerwony, a co najgorsze, nie jeździł już od dwóch miesięcy, ponieważ nie miały pieniędzy na jego naprawę. Mimo to czasem Stasi robiło się przykro, gdy widziała, jak inne dziewczynki dostają przed wejściem soczyste buziaki albo po lekcjach rzucają się w ramiona uśmiechniętych mam.

Do tego mama Stasi była bardzo wymagająca. Dziewczynka nie miała większych kłopotów z nauką, chętnie chodziła do szkoły i odrabiała zadania domowe. Czy to jednak jej wina, że czasami w trakcie lekcji odpływała w krainę marzeń i oddawała się dumanii? Podobne zdarzenia niejednokrotnie skutkowały nagłym wywołaniem do tablicy, uwagami w dzienniczku,

a nawet wezwaniem rodzicielki. Później mama Stasi stała nad nią ze smutną miną albo – co grosza – z brwiami groźnie składającymi się w cieniutką literkę V i powtarzała, że dziewczynka musi się uczyć, aby zdobyć porządne wykształcenie i pracę, inaczej przez całe życie będzie siedzieć na kasie w supermarkecie, zupełnie jak ona. Stasia kiwała główką ze sterczącymi warkoczykami i szeptła, że rozumie, ale tak naprawdę miała ochotę powiedzieć mamie, że jej taka praca wydaje się bardzo fajna!

Stasia wiedziała, że mama chciałaby, aby ona zdobywała najlepsze stopnie i zachowywała się, jak na grzeczną dziewczynkę przystało. Problem w tym, że Stasia była, kim była. Czyli urodzoną marzycielką i bardzo wrażliwą dziewczynką. Cierpiała na samą myśl, że mama może poczuć się nią rozczarowana. Chciała stać się dokładnie taką córeczką, o jakiej mama marzyła.

Tego listopadowego popołudnia Stasia Kamińska po raz kolejny wracała do domu samotnie i odprowadzała smutnym spojrzeniem rozszczebiotane grupy innych dziewczynek. Kiedy mijała stojącą przy skwerku ławkę, przez jej głowę przemknęła myśl, że jest tak samo samotna jak ta pokryta pierwszym przymrozkiem zbitka desek. W nagłym odruchu samotniczej solidarności dziewczynka postanowiła przysiąc na moment i sprawić tym ławce przyjemność. Taka właśnie była Stasia – wyobrażała sobie, że przedmioty, które spotyka na swojej drodze, czują. I siedziała tak na pokrytych zielonym, łuszczącym się lakierem deskach, choć bił od nich nieprzyjemny chłód. A skoro już i tak siedziała, sięgnęła do plecaka i wydobyła zeszyt do korespondencji, w którym wychowawczynie prosiła mamę o pilne przybycie do szkoły.

Stasia przebiegła wzrokiem krótką, bardzo stanowczą wiadomość i westchnęła głęboko.

Po raz kolejny pomyślała, że chciałaby być grzeczną córeczką i sprostać oczekiwaniom mamy. A kiedy już na powrót schowała zeszyt, zapięła plecak i podniosła się z ławki, przez jej głowę przemknęła następna myśl i właśnie ta myśl sprawiła, że dziewczynka lekko się rozpogodziła. Tak, Stasia chciała być grzeczną i ułożoną córeczką, jak pragnęła mama, ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że rodzicielka jest sobie sama winna. Dziewczynka uważała bowiem, że nosząc takie imię, nie można być tak do końca idealnym. A zatem winna za jej zachowanie po części spadała na osobę, która zdecydowała się ją tak nazwać.

Monika

Piotruś był już prawie pół godziny i Monika poczuła, że jeszcze kilka sekund, a wyjdzie na balkon i szczerze zamknie za sobą drzwi, stanowczo odcinając się od wrzasków synka. Uwielbiała swoje dziecko, ale czuła się zmęczona i zniechęcona.

Zanim została matką, wysłuchiwała peanów przyjaciółek przysięgających na własne serce, płuco i lewą nerkę, że macierzyństwo jest stanem ekstazy. Oczyma wyobraźni widziała je w pastelowych barwach, w różowych tiulach i błękitnych chmurkach. Na samą myśl o uśmiechniętym, bezzębnym bobasie wpatrującym się w jej twarz z miłością czuła rozkoszny dreszczyk w dole kręgosłupa. Kiedy na płytce testu ciążowego ujrzała dwie wyraźne kreseczki, oszałała ze szczęścia. Natychmiast podzieliła się radosną nowiną z mężem, całą rodziną, wszystkimi przyjaciółkami i dozorczynią zamiatającą chodnik przed blokiem. Potem nieco ochłonęła i uświadomiła sobie, że róż różem, chmurki chmurkami, ale ona tak naprawdę nic nie wie o macierzyństwie. Na mamę nie mogła liczyć, ponieważ ta zmarła, kiedy Monika była nastolatką, z kolei matki swego męża wołała unikać. Postanowiła poszukać wsparcia u przyjaciółek, ale te wiecznie nie miały czasu, notorycznie były zajęte i zbyt zmęczone, aby spotkać się z nią na kawie i ploteczkach. W końcu jedna z nich, widząc, że nie pozbędzie się rozemocjonowanej koleżanki, wcisnęła jej w ręce sfatygowaną książkę. Był to poradnik dotyczący opieki nad dzieckiem w pierwszym roku życia.

– Tutaj znajdziesz wszystko, czego potrzebujesz. Zginęłabym bez tej książki – powiedziała poważnym tonem. A potem przytrzymała Monikę za ramię i dodała: – Tylko nie zgub. Planuję rodzeństwo dla małego!

Monika była zachwycona. Pochłonęła otrzymaną książkę jeszcze tej samej nocy, rozczulając się nad każdą kolorową fotografią i budząc męża z niespokojnego snu, aby ten mógł osobiście się przekonać, jakie umiejętności powinien nabyć już roczny szkrab. W końcu zdenerwowany Jakub zabrał swoją poduszkę i poszedł spać do drugiego pokoju, a zadowolona z dodatkowego miejsca w łóżku Monika przyniosła sobie laptopa i natychmiast zalogowała się na stronę ulubionej księgarni internetowej, aby zamówić kolejne publikacje traktujące o wychowywaniu dzieci w pierwszym roku życia. Po chwili namysłu dorzuciła do koszyka także kilka poradników na temat zdrowej ciąży, a na koniec, aby otrzymać darmową wysyłkę i brelok do kluczy w kształcie dziecięcej stopy (O, rany! Jaki słodki! Muszę pokazać go Kubie! Jakub, śpisz...?), zakupiła także książki o wychowaniu przedszkolnym. Wyrzuty sumienia stłumiła, tłumacząc sobie, że tak będzie ekonomiczniej, poza tym lepiej zyskać szersze spojrzenie na kwestię przyszłego rodzicielstwa. Rano niewyspany Jakub przypomniał równie niewyspanej Monice, że powinna umówić się do ginekologa, aby potwierdzić ciążę.

– Jeśli nie znalazłaś sobie lekarza w naszym miasteczku, mama na pewno ci kogoś poleci – zaproponował, całując ją w czoło.

Monika dostała dreszczy. Podwójnych. Pierwsze spowodowane były myślą, że teściowa miałaby wybierać dla niej ginekologa, a potem chodzić wraz z nią na kontrolne wizyty i domagać się wszystkich, nawet najbardziej intymnych informacji. Drugie dreszcze były po stokroć gorsze, bo co jeśli ginekolog nie potwierdzi ciąży?

Na szczęście potwierdził. Monika mogła odetchnąć z ulgą, chodzić na umówione wizyty i USG w gabinecie, który sama wybrała i trzymała w ścisłej tajemnicy przed matką męża, a także

starannie przygotowywać się do bycia mamą. Wymusiła na mężu zamontowanie nowych półek na książki, a następnie rozpakowała dostarczone z księgarni kartony i z namaszczeniem ustawiła na nich zakupione poradniki. Książka za książką poznawała tajniki macierzyństwa, gładząc się po leciutko zaokrąglonym brzuszku i uśmiechając do szczerzących bezżębne usteczka maluszków z kolorowych zdjęć.

– Po ci tyle książek? – dopytywała teściowa.

– Po to, żeby być lepszą mamą – tłumaczyła cierpliwie.

– Kiedyś tego nie było, a dzieci się dobrze chowały – prychnęła pogardliwie matka Jakuba, kartkując opasłe tomisko pod tytułem: *Jak wychować geniusza*. – Jeśli potrzebujesz wskazówek, zawsze możesz liczyć na mnie. Myślę, że nie sprawdziłam się najgorzej, wychowując twojego męża?

– Dziękuję – bąknęła Monika i pospiesznie uciekła do łazienki pod pretekstem ciążyowych mdłości.

Poradniki pomogły Monice przetrwać problemy z karmieniem piersią. Pomogły przetrwać pierwsze bezsenne noce i kolki, które pojawiły się zaraz po tym, jak Piotruś skończył trzy miesiące. Sprawdziły się także przy pierwszej gorączce i pierwszym wyrzynającym się ząbku. Już nie stały równiutko na półce zamontowanej przez Jakuba, ale zaścięłały nocny stolik i parapet w sypialni, a czasami po cięższych nocach materializowały się pod poduszką, łóżeczkiem Piotrusia albo w mikrofalówce. Monika traktowała je jak najlepsze przyjaciółki, bo po prawdzie widywała je częściej niż lubiane koleżanki. Bez nich nie odnalazłaby się w wymagającej roli mamy, której daleko było do różowych i błękitnych obłoczków.

Poradziły sobie z dziwną kupą i objawami trzydniówki, ale teraz ją zawiodły. Nie mówiły nic o tym, co zrobić, kiedy dziecko płacze, choć zadbała o wszelkie jego potrzeby. Nakarmiła, zmieniła pieluszkę, przebrała w ulubione body z misiem. Próbowała zabawić, śpiewać i robić głupie miny. Zajrzała do buzi, szukała zadrapań lub ugryzień komara, choć był listopad i krwiożercze bestie powinny już wyginąć albo przynajmniej zapaść w kilkumiesięczny sen. Wszystko na nic!

Kiedy uszu Moniki dobiegł odgłos zgrzytającego w zamku klucza, poczuła ulgę. Była pewna, że to Jakub wrócił wcześniej z pracy, i ucieszyła się na myśl, że na moment zajmie się rozhisteryzowanym synkiem, by ona mogła zmienić przepocone ubranie, wziąć prysznic, a może nawet zaparzyć herbatę. Właśnie zastanawiała się, który poradnik przejrzeć przy popijaniu ulubionego naparu, by znaleźć informacje na temat zupełnie nieuzasadnionych ataków dziecięcych wrzasków, kiedy do pokoju zajrzała teściowa.

– A kto to tutaj tak płacze? – zakwiliła w kierunku Piotrusiowego łóżeczka. Na dźwięk seplenienia kobiety Monika zacisnęła tylko pięści. Wielokrotnie prosiła matkę męża, aby nie zwracała się w ten sposób do chłopca. Przedstawiła nawet w poradniku cały rozdział poświęcony zagadnieniom logopedycznym, w którym specjaliści odradzali „ciucianie” do dzieci, ale teściowa tylko wzruszyła ramionami i dalej robiła, czy raczej mówiła, swoje.

– Co mama tu robi? – zapytała Monika.

– Jakub dał mi klucze, na wypadek gdybyście potrzebowali pomocy. – Uśmiechnięta babcia przefrunęła przez pokój, wyciągając ramiona w kierunku wnuka. – I widzę, że chyba potrzebujecie. Pławda, Piotlusiu?

Monika poczuła, że wszystko w jej wnętrzu się gotuje. Zrobiła malutki kroczek w bok i zasłoniła sobą pochlipującego synka.

– Nic się nie dzieje – zapewniła.

– Nie szkodzi. Babcia i tak przytuli. – Teściowa zniecierpliwionym ruchem odsunęła młodą matkę i sięgnęła po chłopca.

– Proszę, niech go mama nie nosi... – jęknęła Monika. – Ja naprawdę staram się go od tego odzwyczaić. Okropnie rozpieściliście go z Kubą.

– Sama go nosiłaś. – Babcia już trzymała Piotrusia w objęciach i delikatnie kołysała.

– Ale w chuście. W chuście to co innego, chodzi o bliskość mamy i...

– A bliskość babci to co? Gorsza? – fuknęła kobieta. Odwróciła chłopca twarzą w kierunku matki. Chłopczyk jeszcze pochlipywał, ale jego buzia wyraźnie pogodniała. – Widzisz? Towarzystwo babci robi Piotrusiowi najlepiej. Już ciujemy się lepiej, prawda? Już nie płacemy!

Gdybym go nosiła, już dawno przestałby płakać! – pomyślała mściwie Monika, schylając się po rozrzucone na dywanie zabawki. – Ale w tym nowym poradniku wyraźnie napisano, że trzeba spełniać potrzeby dzieci, a nie ich zachcianki. Noszenie to zachcianka! A mój kręgosłup takich zachcianek nie toleruje!

Tymczasem roześmiana teściowa zataczała coraz szersze kręgi po pokoju, bujając zachwyconego Piotrusia i równocześnie lustrując spojrzeniem otoczenie.

– A co to? – zainteresowała się, wskazując rozrzucone w łóżeczku miękkie książeczki z wyrazistymi czarno-białymi obrazkami i literami.

– To nowe książeczki Piotrusia.

– Z bajkami? – zdziwiła się teściowa. Monika podeszła do łóżeczka i prędko zgarnęła książeczki na kupkę.

– Niezupełnie. Piotruś uczy się z nich czytać.

– Czytać?! – Teściowa spojrzała na nią ze zgrozą. – Czyś ty oszalała? Jak można kilkumiesięczne dziecko uczyć czytać?

– Oczywiście nie uczy się tak normalnie. – Monika poczuła, że się czerwieni. Doskonale wiedziała, że teściowa nie zrozumie idei czytania globalnego. Szczerze powiedziawszy, Jakub także był nastawiony do tej metody niezwykle sceptycznie, dlatego Monika wyjmowała książeczki dla Piotrusia tylko wtedy, kiedy męża nie było w domu. Jednak najwyraźniej nie mogła czuć się w pełni swobodnie we własnym mieszkaniu, skoro teściowa otrzymała zapasowe klucze i wchodziła jak do siebie. Monika przeczuwała, że ten wieczór zakończy się w ich domu awanturą... – To takie specjalne książeczki, dziecko obcuje z kształtem literek lub łatwych wyrazów. I potem je rozpoznaje, a nawet próbuje wymawiać samodzielnie. Tak jakby czytało – tłumaczyła.

– Wyczytałaś to w jednej ze swoich książek? – domyśliła się teściowa.

– To znana na całym świecie metoda – broniła się młoda matka.

– O, widzisz. I dlatego Piotruś płacze.

– Proszę?!

– Pokazujesz mu takie ponure obrazki. Też bym płakała.

– Wcale nie są ponure! Dziecko w tym wieku widzi...

Jednak teściowa wzruszyła ramionami i odwróciła się do niej plecami. Wesoło „ciuciła” do chłopca, a ten odpowiadał jej po swojemu. Monika poczuła, że zaraz się rozpłacze. Kolejny raz matka męża udowodniła, że metody wychowawcze synowej ma dokładnie tam, gdzie sznureczek od stringów powoduje dyskomfort. By ukryć rozżalenie, wróciła do porządków. Przyklęknęła na dywanie i przysunęła do siebie wielkie plastikowe pudełko na zabawki, po czym zaczęła upychać w nim kolejne pluszowe zwierzątka i miękkie klocki. Na koniec poprawiła posłanie w łóżeczku, zgarnęła miękkie książeczki i wraz z poradnikiem dotyczącym globalnego czytania wrzuciła do ostatniej szuflady komody, gdzie trzymała niepotrzebne rupiecie.

Nagle dostrzegła, że coś utknęło między szczebelkami łóżeczka a ścianą. Wsunęła tam dłoń i wydobyła na światło dzienne Pana Kacperka, ulubionego misia Piotrusia. Jak mogła nie zauważyć, że zniknęła ukochana przytulanka chłopca? Nic dziwnego, że płakał, skoro stracił z

zasięgu swych małych łapek wiernego przyjaciela! Zalała ją fala zrozumienia i wstydu. A także ulgi. Posadziła misia w łóżeczku, a następnie z zadowoloną miną uchylła szufladę. Poradnik i książeczki wróciły na swoje miejsce na półce.

Anna

Tego dnia Annie Jurczyk towarzyszył znakomity nastrój. Czy mogło być inaczej, skoro ponurą listopadową aurę przełamały złociste promienie słońca? Mróz okrył okoliczne drzewa srebrzystą powłoką, a słońce migotało w lodowych soplekach, przywodząc na myśl pałac Królowej Śniegu z tak uwielbianej przez Annę baśni. Z samego rana otworzyła szeroko wszystkie okna w mieszkaniu i porządnie wywietrzyła jego wnętrze, a potem zmieniła pościel i dokładnie umyła podłogi. Gdy zakończyła prace domowe, ubrała się ciepło i wyruszyła po zakupy.

Powoli mijała sklepowe witryny, oglądając barwne dekoracje i ciesząc się przechadzką. Mimo że minęła dopiero połowa listopada, wystawy sklepowe emanowały świątecznym nastrojem. Większość ludzi narzekała, że zaraz po dniu Wszystkich Świętych mikołaje w sreberkach wypierały pękate halloweenowe dynie i wymyślne znicze, ale Annie to nie przeszkadzało. Tak naprawdę uwielbiała ten okres, kiedy uliczne witryny były obsypywane sztucznym śniegiem, a wnętrza sklepów oraz urzędów jarzyły się światłem kolorowych lampek. Czuła się wtedy niczym mała dziewczynka. Z mocno bijącym sercem oglądała przystrojone choinki, miniaturowe szopki i barwne pudełka ze skomplikowanie zawiązanymi kokardami. Choć wiedziała, że to jedynie dekoracja, czuła radosne podniecenie, zgadując, co mogą kryć tak pięknie zapakowane podarunki.

Boże Narodzenie było ulubionym świętem Anny. Szkoda, że całą przyjemność płynącą z tych magicznych dni niweczyły narzekania jej męża, Waldemara, dla którego święta były jedynie okazją do wydawania pieniędzy! Podczas wigilijnej wieszery zazwyczaj narzekał, stękał i kwękał tak mocno, uskarżając się na wysokie ceny, niepotrzebne sprawunki i wzrost kosztów oświetlenia spowodowany podłączeniem półmetrowej choinki, że Anna miała ochotę roztrzaskać na jego głowie wazę z zupą grzybową.

Na samą myśl o nastawieniu męża Anna zgrzytnęła zębami. Ruszyła w kierunku miejscowego supermarketu, aby zrobić domowe sprawunki. Jak zwykle wykorzystała kartkę, którą poprzedniego wieczoru starannie wykaligrował jej mąż. Każdego dnia Waldemar kontrolował kuchenne szafki i półki lodówki, po czym sporządzał listę zakupów, obliczając, ile powinna wydać na poszczególne artykuły. Jeśli jego czujne oko zarejestrowało, że w cukiernicze znajduje się wystarczająca ilość cukru, by mogli posłodzić poranną kawę i wieczorną herbatę, nie pozwalał Annie kupić kolejnego kilograma. Jeśli akurat wtedy jakaś sąsiadka zapukała do drzwi ich mieszkanka i wprosiła się na popołudniową kawę, pił gorzki napar, złorzeczając na bezczelne babska, które nie znają swojego miejsca.

Nurkując pomiędzy regałami i zapełniając koszyk nielicznymi artykułami, Anna usiłowała sobie przypomnieć, kiedy dostrzegła u Waldemara niepokojące symptomy. Czy to było już na pierwszej randce, kiedy zaprosił ją do wesołego miasteczka, a następnie kupił bilet wstępu tylko dla siebie i nawet nie zauważył, że ona zażenowana została przy wejściu? Czy może wtedy, kiedy po raz pierwszy przyprowadziła go do domu, a on wręczył matce bukiet nagietków naprędce zerwanych przy ich bramie wjazdowej? Nie, wtedy była zakochana do szaleństwa i jego dziwaczne zachowanie tłumaczyła sobie na tysiąc sposobów. Gapowaty, nieśmiały, romantyk... Nawet kiedy zapytał, czy nie wolałaby pójść do ślubu w krótkiej sukience i zaoszczędzić na kupnie materiału, tłumaczyła go, że przecież taki mądry, oszczędny i przewidujący. Zasłona z jej

oczu spadła dopiero, kiedy poprosił ją, by podczas przygotowywania porannej jajecznicy wydmuchiwała jajko niczym wydmuszki, zamiast normalnie rozbijać skorupki. „Jeśli rozbijasz skorupki, trochę jajka może zostać tutaj i tutaj. – Zademonstrował. – Może się też wylać poza miskę. Ale jeśli będziesz dmuchać...”

Idź, bo ja cię dmuchnę, pomyślała rozszoszczona Anna, która od tamtego dnia ze słodkim uśmiechem podsuwała mężowi wszystkie jajka wykorzystywane podczas przyrządzania kuchennych specjałów i z satysfakcją obserwowała, jak dmucha, nabierając na twarzy koloru przejrziałych pomidorów, które kupował na miejscowym placu, bo tańsze.

Pogrążona w ponurych myślach dotarła do kasy i zaczęła opróżniać koszyk, kładąc kolejne artykuły na ruchomą taśmę boksu. Zerknęła przelotnie na siedzącą za kasą kobietę. Znała ją z widzenia, ale nigdy ze sobą nie rozmawiały. Wiedziała, że przed kilkoma miesiącami wprowadziła się wraz z córeczką do mieszkania na pierwszym piętrze.

Kasjerka pewnymi ruchami przesuwiała zakupy Anny przed popiskującym skanerem. W końcu skończyła, odstawiła opróżniony koszyk na stosik rosnący po drugiej stronie boksu i spojrzała na klientkę z uśmiechem.

– Czy to będzie wszystko?
– Tak. – Anna potwierdziła krótkim skinieniem głowy.
– Wobec tego poproszę czterdzieści dwa złote i trzydzieści groszy. Płatność kartą czy gotówką?
– Gotówką. – Anna poczuła, że robi jej się zimno.

Sięgnęła do przegródki w portfelu, w której zawsze trzymała wydzielone przez męża pieniądze na sprawunki, i wydobyla trzy banknoty dziesięciozłotowe oraz jedną monetę pięciozłotową. Jak to się stało, że podczas zakupów zabrakło jej aż takiej kwoty? Dotychczas kilkakrotnie zdarzało się, że musiała dołożyć złotówkę lub dwie, ale nigdy więcej! Waldemar doskonale orientował się w cenach, dla niego czystą przyjemnością było chodzenie po kolejnych supermarketach, notowanie aktualnych cen, a następnie skrupulatne wpisywanie ich w tabelki do zeszytu, który trzymał na lodówce. Dzięki temu zawsze potrafił przewidzieć, ile żona zostawi w sklepie.

Kasjerka cichutko odkaszlnęła i Anna wróciła do rzeczywistości. Podała kobiecie trzydzieści pięć złotych przygotowane przez męża, a następnie sięgnęła do kieszonki w torebce i wygrzebała z niej pomięty dziesięciozłotowy banknot. Po chwili trzymała w dłoni wydaną resztę i paragon, a kasjerka życzyła jej miłego dnia. Zamyślona Anna złapała za siatki z zakupami i ruszyła w kierunku wyjścia. Przy drzwiach zaczepiła ją dziewczyna w stroju anioła. Trochę wcześniej w tym roku – pomyślała zaskoczona Anna, ale z uśmiechem sięgnęła do koszyczka i wzięła słodką krówkę.

Po powrocie do domu zajęła się przygotowywaniem obiadu i dopiero po dłuższej chwili przypomniała sobie o pechowych zakupach. Sięgnęła do kieszeni kurtki i wydobyla paragon. Niech to szlag, nie zauważyła, że pracownica stoiska z mięsem sprzedała jej pieczeń zamiast łopatki! Nic dziwnego, że na paragonie wyskoczyła wyższa kwota! Anna westchnęła, otworzyła lodówkę i przeniosła mięso do zamrażalnika. W ich domu pieczeni nie jadało się w zwykłe niedziele, co dopiero mówić o środzku tygodnia. Będzie musiała zamrozić mięso na święta, a na jutrzejszy obiad kupić coś innego. Jak najtańszego, inaczej Waldemar dostanie niestrawności!

Kiedy usłyszała zgrzytanie klucza w zamku, poczuła lekkie rozczarowanie. Liczyła na spokojne popołudnie z robótką ręczną i książką, ale najwyraźniej Waldemar skończył dziś pracę wcześniej.

Mężczyzna wszedł do kuchni i niedbale pocałował żonę w nadstawiony policzek.

– Mamy awarię prądu, cholera jasna. Jestem pół dniówki do tyłu! – narzekał.

Kobieta skinęła głową bez słowa. Waldemar podszedł do kuchenki i podniósł pokrywkę z dużego rondelka.

– O, pomidorowa z makaronem, pycha. Byłaś na zakupach?

– Tak – mruknęła pod nosem Anna, szatkując listki zielonej natki. Nie patrzyła na męża, ale i tak wiedziała, że krąży po kuchni, słyszała, jak otwiera kolejne szafki i lodówkę, aby skontrolować, co kupiła.

– Nie mieli tej tańszej mąki? Ta jest dwadzieścia groszy droższa!

– Na półce była dziura. Przywiozą po niedzieli.

– To dobrze. Nie ma co przepłacać. Tu dwadzieścia groszy, tam trzydzieści i tak się zbiera, a wydatki rosną, sama wiesz!

Anna pokiwała głową. O, tak, po tylu latach małżeństwa doskonale o tym wiedziała. Kątem oka zerknęła na Waldemara. Mężczyzna nadal krążył po kuchni, zaglądając do szafek, szuflad i lodówki. W końcu natrafił na pozostawionego na stole cukierka.

– Słodczyce? – Spojrzał z wyrzutem na żonę. – Naprawdę nie szkoda ci pieniędzy?

– Nie kupiłam ich. Rozdawała je w sklepie taka miła hostessa w stroju aniołka. Prawda, że wcześniej w tym ro...

– A to co innego – bezceremonialnie przerwał jej Waldemar. – Trzeba było wziąć więcej w takim razie! A możesz mi powiedzieć, po jaką cholere kupujesz w sklepie jednorazówki? – rozłościł się nagle. – Biorą za nie pięć groszy, nawet dziesięć czasami. Nie mamy w domu normalnych siatek?

Zaskoczona Anna spojrzała na męża i trzymaną przez niego reklamówkę. Nie kupiła jej. Być może, kiedy bujała w obłokach i rozmyślała nad okropnym sknerstwem męża, kasjerka zapakowała jej zakupy w firmowe siatki.

– Nie płaciłam za nie – powiedziała powoli. Doskonale wiedziała, co zaraz nastąpi.

– Naprawdę? To pokaż paragon!

– Nie wygłupiaj się, Waldek... – Anna odłożyła nóż, wytarła ręce w kraciatą ściereczkę i spojrzała na męża z politowaniem.

– Daj mi ten cholerny paragon. Pewnie nakupowałeś więcej głupot i teraz nie chcesz się przyznać?

– Nie nakupowałam żadnych głupot – oburzyła się. – Ale jeśli chcesz sprawdzić, proszę.

– Sięgnęła do koszyczka na lodówce, gdzie trzymała różne szpargały i podała mężowi zwinięty kawałek papieru. Waldemar bez słowa podniósł paragon do oczu i pozycja za pozycją zaczął wylizywać kolejne sprawunki.

– Kawa mielona, kilogram mąki, dziesięć jaj, włoszczyzna, cytryna dziesięć deko, hm... w porządku, ser biały... o, podrożało cholerstwo, muszę nanieść poprawki do swojego zeszytu. Kielbasa krakowska piętnaście deko, pieczeń... Jak to pieczeń? Po co kupiłaś takie drogie mięso?!

Anna wzięła głęboki oddech, przygotowując się na to, co zaraz nastąpi. Powoli zbliżyła się do Waldemara i delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu.

– Walduś, to była pomyłka – szepnęła.

– Pomyłka? – Spojrzał na nią nieprzytomnie.

– Tak, prosiłam o łopatkę, a pracownica z mięsnego się pomyliła. Już tę pieczeń zamroziłam, będzie na święta...

Anna delikatnie masowała ramiona męża i oczekiwała na atak. Bo atak musiał nastąpić. Nie było innej możliwości, kiedy w zamrażalniku ich starej lodówki tkwił apetyczny kawałek pieczeni po dwadzieścia osiem złotych za kilogram, a gdzieś w czeluściach sklepowej chłodni pozostała łopatka wieprzowa za dziewięć dziewięćdziesiąt. Anna z niepokojem obserwowała

zmieniającą się twarz męża. Najpierw zrobiła się ona całkiem blada, potem stopniowo nabrała kolorów, by w końcu zmienić się w buraczkową. Nie odsunęła się, mocniej zacisnęła dłoń na ramieniu Waldemara. Zauważyła, jak jego twarz wykrzywiła się w szpetnym grymasie, który tak dobrze już знаła, a potem z współprzymkniętych oczu wytrysnęły strumienie łez.

– Już dobrze, Walduś. Nic się nie stało. Otworzę jutro słoik z leczo, który został nam z wakacji. A pieczeń zostanie na święta... – mruzczała, starając się zbyt mocno nie zgrzytać zębami.

W duchu zadała sobie pytanie, czy nie byłoby lepiej, gdyby jej mąż na wzór wielu innych polskich mężów reagował na podobne sytuacje wściekłością. Wtedy łatwiej byłoby jej tupnąć nogą, wrzasnąć, wykrzyczeć, co o tym wszystkim myśli. Jak jednak mogła wrzeszczeć na kogoś, kto był takim sknerą, że każdą niepotrzebnie wydaną złotówkę przypłacał wielogodzinnym płaczem?

Zuzanna

Pierwszego grudnia Zuzanna stwierdziła, że to ostatnia pora, aby zabrać się za świąteczne porządki. Spokojnym krokiem przemierzyła całe mieszkanie, zadowolona zlustrowała nienagannie uporządkowane wnętrza i pokiwała głową. Tak, jeśli już dzisiaj sporządzi szczegółowy harmonogram i pomysłowo rozplanuje niezbędne prace, na pewno wyrobi się przed Wigilią i ostatnie dni będzie mogła poświęcić na przygotowywanie świątecznych przysmaków.

Od czego by tu zacząć? – dumiała Zuza, przestępując z nogi na nogę.

Po głębszym zastanowieniu postanowiła zabrać się za prace najprzyjemniejsze, czyli przystąpić do pakowania prezentów. Już od kilku tygodni realizowała podarunkowe zakupy i nabywała wymarzone przedmioty domowników, zaś nie dalej jak poprzedniego dnia dokupiła prześliczny błękitny papier w srebrzyste gwiazdki i ciemnoniebieską wstążkę. Zadowolona z pomysłu włączyła składankę świątecznych przebojów i podśpiewując pod nosem, zabrała się do pracy. Każdy przedmiot owijała niezwykle precyzyjnie. Nie tolerowała bylejakości, poza tym była zdania, że ładne opakowanie jest równie ważne co same prezenty, i choć pozostali domownicy nie za bardzo się z nią zgadzali i zazwyczaj zrywali barwny papier w okamgnieniu, ona i tak starannie pakowała prezenty. Miała w tym już niemałą wprawę, zatem po kilkudziesięciu minutach leżał przed nią zgrabniutki stosik pudełek, paczek i paczuszek. Teraz pozostało ukryć je przed ciekawskimi łapkami rodziny i oczekiwać na magiczny wieczór wigilijny.

Ukryć, dobre sobie. Zafrasowana Zuzanna rozejrzała się po czystym i uporządkowanym wnętrzu mieszkania. Sama o tym nie wiedząc, zmagala się z dokładnie takimi samymi dylematami jak przed dwoma tygodniami jej mąż. Objuczona sporym stosem podarunków kręciła się po domu, jęcząc pod nosem i popatrując na zegarek. Za kilkanaście minut pojawi się jej córka, Agata, a zaraz za nią Kajtek. A wtedy jej, Zuzie, z pewnością nie uda się już ukryć przygotowanych prezentów.

W chwili, gdy zdesperowana kobieta rozważała już wycieczkę do piwnicznego boksu i zakamuflowanie podarków za rzędem kompotów wiśniowych, jej wzrok spoczął na pawlaczu. Natychmiast przypomniała sobie starą walizkę z niemodnymi (i wcale nie za małymi) ubraniami, których wciąż żał jej było wyrzucić. Przysunęła sobie kuchenny taboret, z trudem staszczyła walizę i odpięła jej zamek. Walizka była wystarczająco duża, aby pomieścić wszystkie prezenty, musiała tylko wyrzucić te stare (i wcale nie za małe) ciuchy! I tak nie wrócą do mody – powiedziała sobie, zerkając ukradkiem w zawieszzone na ścianie lustro i skubiąc palcami wałeczek na brzuchu – no po prostu nie ma na to szans!

Przyniosła z kuchni wielki czarny worek i ochoczo zabrała się za pakowanie zawartości walizki. Nagle znieruchomiała. Wszystko wskazywało na to, że ktoś ją ubiegł i wykorzystał walizę do przechowania własnych prezentów. Z mocno bijącym sercem Zuzanna sięgnęła po kartonowe pudełko oznaczone logo popularnej marki obuwniczej. To z pewnością prezent od Kajtka! Tyle razy wspominała, że marzy o skórzanych kozaczkach na obcasie tej marki!

Zuza poczuła, że z emocji robi się jej gorąco. Każdego roku przygotowywała starannie podarunki dla całej rodziny, sama zaś z udawanym entuzjazmem rozpakowywała kolejne zestawy kosmetyków kupione w promocji w Rossmannie albo nabyte w miejscowym supermarkecie akcesoria kuchenne. Czyżby po tych wszystkich latach miała otrzymać prezent z

prawdziwego zdarzenia?

Jej dłonie same wyciągnęły się w kierunku wieczka, ale w ostatniej chwili cofnęła je i z niepewnym uśmiechem zaczęła obgryzać paznokiec kciuka. Nie powinna ruszać tej paczki, bo wtedy na pewno nie zdołała udać zaskoczenia, kiedy znajdzie ją pod choinką. Ale z drugiej strony... Kajtek jest taki nieporadny, jeśli chodzi o zakupy – pomyślała. – Muszę sprawdzić, czy nie kupił butów dla trzyletniej dziewczynki!

Pokusa była zbyt silna. Zuza wyjęła pudełko, troskliwie ułożyła je na kolanach i uchyliła wieczko. Kiedy odwijiała bibułki ułożone na wierzchu, czuła się jak mała dziewczynka oczekująca nowej lalki. Niecierpliwie odsunęła papierki na bok i pochyliła się nad pudełkiem. To, co ujrzała w środku, sprawiło, że zerwała się z podłogi ze zduszonym okrzykiem, upuszczając karton i rozsypując jego zawartość u swoich stóp. Przez chwilę z niedowierzaniem wpatrywała się w to, co leżało na starannie odkurzonym chodniku i niweczyło jej marzenia o pięknych, skórkowych kozaczkach. W końcu opanowała się na tyle, by przykucnąć i pospiesznie pozbierać zawartość pudełka. Zrobiła to na bezdechu, marszcząc nos i starając się ostrożnie ująć wysypane przedmioty między dwa palce. Po chwili wahania zdecydowała się zatrzymać jeden maleńki dowód winy i zapoznać się z jego wagą.

Gdyby przyjaciel jej męża dowiedział się, jak Zuzanna potraktowała jego „maleństwa”, z pewnością chwyciłby się za głowę. Gdyby wiedział, co w pierwszej chwili zamierzała z nimi uczynić, oblałby go zimny pot. Ostatecznie kobieta na powrót wsunęła pudełko do walizki, przysypała je wydobytymi z worka ubraniami, zasunęła suwak, wrzuciła walizę do pawlacza i tak mocno trzasnęła jego drzwiczkami, że zamiatająca klatkę schodową pani Michalska z parteru podskoczyła ze strachu.

Po wszystkim Zuzanna starannie umyła ręce, wykorzystując w tym celu szare mydło i kawałek drapak, następnie nakremowała dłonie ulubionym kremem o zapachu zielonej herbaty i zrobiła sobie mocną kawę. Usiadła przy kuchennym stole i upiła maleńki łyżeczek napoju, po czym przysunęła sobie kolorowy miesięcznik i szybko go przekartkowała. Następnie odsunęła czasopismo jak najdalej od siebie i wpatrując się ponuro w imponujący pod względem rozmiaru i krągłości biust kobiety z okładki, stwierdziła:

– To koniec mojego małżeństwa!

– Kajtek lubi baby! – wyjawiała pełnym dramatyzmu szeptem Zuzanna. Karolina wzruszyła niedbale ramionami.

– Całe szczęście. Mógłby lubić chłopów.

– Nic nie rozumiesz! – Zuzannę ogarnęła złość. – On lubi gołe baby. To znaczy zawsze lubił, ale dotychczas tylko mnie, a teraz ogląda też inne! – Zuza z satysfakcją zauważyła, że w końcu wzbudziła zainteresowanie przyjaciółki.

Incydent z zawartością walizki wstrząsnął Zuzą tak mocno, że przez dłuższy czas siedziała przy kuchennym stole nad kubkiem ze stygnącą kawą i mocno sfatygowanym pisemkiem dla panów. Nienawistnym spojrzeniem przeszywała kobietę z okładki, oskarżając ją o uwodzenie i sprowadzanie na manowce cudzych mężów. Kajtek był takim przyzwoitym mężczyzną! Żadnych ukradkowych spojrzeń rzucanych na damskie pośladki, żadnych niewybrednych żarcików na temat biustu prezenterki Teleexpressu! A okazało się, że cały czas pod nosem Zuzanny, czy raczej pod stertą jej niemodnych ubrań, trzymał takie bezeceństwa. Proszę, jaki bezduszny i perfidny! Wiedział, że ona, Zuza, nie zajrzy do tej walizki, ponieważ widok starych ubrań wpędza ją w zły nastrój! Z pewnością wyjmował je, kiedy jechały z Agatą na animowane komedie do kina. Przeglądał i... i... się ślinił!

Na myśl o mężu śliniącym się nad pomiętym czasopiśmie pornograficznym z 1992 roku

Zuzanna załapała się łzami. Popłakała sobie kilka minut, po czym wstała, wytarła oczy skrawkiem papierowego ręcznika, wylała zimną kawę do zlewu i zgarnęła ze stołu dowód Kajtkowej winy. Następnie ponownie wspięła się na taboret, ściągnęła walizkę, odnalazła pudełko z obrzydliwą zawartością i wraz ze stertą podarunków świątecznych wyniosła do piwnicy. Tam upchnęła wszystko za rzędem wiśniowych kompotów i wróciła do domu, aby zadzwonić do Karoliny i umówić się z nią na kawę w ulubionej cukierni Pysia.

– W internecie? – Przyjaciółka zainteresowała się okolicznościami Kajtkowych wybryków.

– A żeby chociaż! – Zuza potrząsnęła głową ze smutkiem. – Gdyby chociaż w internecie, jak cywilizowany człowiek. Ale on to robi, on to robi... – szukała właściwego słowa – ...offline. Podczas świątecznych porządków odkryłam pudełko, chciałam sprawdzić, co jest w środku, i natrafiłam na cały stos świerszczyków!

– Zaraz, zaraz, już robisz świąteczne porządki?

– To nieważne!

– Ale przyznasz, że dziwne!

– Zostawmy porządki i skupmy się na istocie problemu, dobrze? Kajtek lubi baby!

– Gołe. – Karolina zgodnie pokiwała głową. Chlipnęła trochę kawy z małej filiżanki. – Ciekawa jestem, co to za jedna.

– Wyobraź sobie, że nie znam się na porno gwiazdach z lat dziewięćdziesiątych. – Zuza skrzywiła się.

– Nie mówię o porno gwiazdach. – Karolina posłała przyjaciółce spojrzenie pełne politowania. – Chyba nie sądzisz, że on się ogranicza do wycinanek z papieru?

– A nie?

– Oczywiście, że nie! Świerszczyki to tylko początek, taki trening, rozbijanie wyobraźni, te rzeczy. Z czasem chce się więcej i więcej. Ze mną było tak samo! – powiedziała zadowolona z siebie. Zuza spojrzała na nią zdeorientowana.

– To ty oglądasz świerszczyki?

– Nie! – Karolina z wrażenia zachłysnęła się kawą. – Co też ci chodzi po głowie? Miałam na myśli nowe kiecki! Najpierw wystarczało mi oglądanie najnowszych katalogów albo kolekcji online, potem chodziłam do sklepu, żeby sobie podotykać, aż w końcu musiałam je mieć!

– Po...dotykać?

– A czasem powąchać. Czasem się przytulić – wyznała Karolina z zakłopotaną miną. – Cóż, lubię nowe kiecki...

– Sugerujesz, że Kajtek... mnie zdradza?

– Może jeszcze nie. Może jest na etapie dotykania? Albo wąchania?

– O mój Boże! – Zuza opadła na oparcie krzeselka.

– Nie załamuj się, kochana! Myślę, że masz jeszcze czas, żeby interweniować! – Karolina pocieszająco klepała Zuzannę po ramieniu. – Swoją drogą, mówiłam, to nie dowierzałaś! Oni mają to we krwi!

– Kajtek nigdy... Kajtek nigdy nie dał mi powodu, by podejrzewać... – jąkała się Zuzanna.

– Naprawdę? – Karolina uśmiechnęła się z politowaniem. – Żadnych późnych powrotów do domu? Zaskakujących SMS-ów po dwudziestej drugiej? – Zuzanna wysilała pamięć i gorączkowo kręciła głowę. Karolina wzruszyła ramionami. – Może jest ostrożniejszy niż inni. Zastanówmy się, co pchnęło go w ramiona tamtej kobiety, bo z pewnością nie pozostajesz bez winy...

– Ja? – zdębiała Zuzanna. – Ja z tym nie mam nic wspólnego!

– Nie? – Karolina uśmiechnęła się znacząco. – W takim razie powiedz: kiedy ostatnio byliście razem na romantycznej kolacji, o upojnym weekendzie z dala od dziecka już nie wspominając?

– Eeee...

– To może coś łatwiejszego... kiedy ostatnio zaszaleliście w łóżku?

– Zaszaleliście...? – powtórzyła jak echo Zuzanna, dokonując w myśli szybkich obliczeń, które okazały się tak mało optymistyczne, że zdecydowała się nie dzielić nimi z przyjaciółką. Karolina najwyraźniej nie zauważyła jej spłoszonego spojrzenia, bo ciągnęła niezrażona:

– Kiedy ostatnio depilowałaś...

– Depiluję co tydzień! – oburzyła się Zuzanna, obciągając spódniczkę na kolana.

– Nie mówiłam o nogach.

– Och.

– Kropciu... – Karolina zdecydowała się użyć przymilnego przydomka Zuzy, aby osłodzić to, co zamierzała jej uświadomić. – Glansujesz mieszkanie na błysk, ale zapuściłaś własne małżeństwo. Pokryło się kurzem. Może nawet rdzą.

– Rdzą? – powtórzyła załamana Zuzanna. – W takim razie to już koniec. Amen. Nigdy nie radziłam sobie z wywabianiem rdzy!

– Tym razem sobie poradzisz! – Karolina podniosła filiżankę do ust i wypła resztkę kawy. – Uratujesz swoje małżeństwo i sprawisz, że Kajtek nie spojrzy na żadną gołą babę. Papierową czy nie.

– No, dobrze, ale kiedy ja mam ratować? Idą święta, tyle pracy w domu...

– Wiesz, kochana: święta będą za rok. A mąż niekoniecznie.

– Co mam zrobić?

– Przede wszystkim wyrzucić wszystkie bawełniane majtki. A przynajmniej te rozciągnięte, w kwiatuszki, serduszka i zwierzątka. Po drugie kupić nową, elegancką bieliznę. Po trzecie... zatrudnić detektywa.

– Detektywa? Jak to detektywa? Po co detektywa?

– Jak to po co? Twój mąż lubi gołe baby na papierze, a całkiem możliwe, że nie tylko. Musisz dowiedzieć się, o jaki nakład chodzi i czy jest na etapie oglądania, dotykania czy...

– Poproszę jeszcze dwie kawy! – Zuzanna zerwała się od stolika z głośnym okrzykiem i niecierpliwie zamachała do uśmiechniętej kobiety za ladą. – I dwa ciasteczka z bitą śmietaną do tego. Chyba posiedzimy dzisiaj troszkę dłużej.

Ksiądz Wojciech

Ksiądz Wojtek uczył już religii w kilku szkołach i był dumny z tego, że na jego lekcje dzieciaki chodziły z przyjemnością. Cóż, stosowane przez niego sposoby nauczania z pewnością nie przypadłyby do gustu wyższym instancjom w purpurze i fiolecie, ale uczniom i rodzicom chyba się podobały. Nie wstukiwał do głów dzieci nudnych regulek, które prawdę powiedziawszy, jego też nudziły. Zabierał je za to na wycieczki do lasu i na łąkę, organizował ogniska, grywał na gitarze i opowiadał o swojej miłości do Boga. Z jego słów przebijał się obraz Stwórcy jako dobrotliwego staruszka, nieco przypominającego Świętego Mikołaja. Kasia z 2a zapytała go kiedyś, czy pan Jezus zakłada strój elfa, a on wybuchnął tak gromkim śmiechem, że aż katar uciekł mu z nosa.

Na ostatniej lekcji poprosił dzieci, aby napisały list do Świętego Mikołaja, prosząc o coś nie dla siebie, ale dla swoich bliskich. Czytał potem, jak Franek prosi o klocki lego dla młodszej siostry, tylko „nie dziewczynskie, święty mikołaju”, Emilka o kotka dla babci, „bo babcia jest samotna, a za lodówką mieszka mysz”, Kuba o nowe opony zimowe, „bo tata mówił, że musi kupić, ale ciągle nie ma kasy”, a Sabinka o święty spokój, „choć nie wiem, co to jest, ale mama ciągle mówi, że mam jej to dać”. Kręcił głową, równocześnie rozbawiony i wzruszony, pociągając nosem, bo katar nie odpuścił do końca. W końcu pozostał tylko jeden list, więc założył okulary i zaczął go czytać. Po lekturze zdjął szkła, potarł czoło i zamyślił się głęboko.

Znał Stasię Kamińską zaledwie kilka miesięcy, ale zauważył, że jest niezwykle wrażliwą dziewczynką. Po prawdzie to troszkę przypominała mu jego samego w tym wieku. Często popadała w zadumę, wpatrując się w okno. Na przerwach nie dokazywała z innymi dziećmi. Grzecznie siadała na ławce i czytała książkę albo rysowała w zeszyte.

Jej list był bardzo dojrzały. Prosiła w nim o to, by mama miała więcej czasu, dla siebie i dla niej. Mama ciężko pracuje, jest zmęczona i czasami zapomina przytulić ją przed snem. Czasami boi się, że mama nie kocha jej tak jak kiedyś. Może to jej wina? Może nie jest córeczką, z której mama mogłaby być dumna? Może święty Mikołaj mógłby zamienić ją, Stasię, właśnie w taką córeczkę?

Bez najmniejszego trudu ksiądz Wojtek ustalił, gdzie pracuje mama dziewczynki. W takich małych miasteczkach wszyscy wszystkich znają i wszystko o wszystkich wiedzą, zdążył się już do tego przyzwyczaić. Pewnym krokiem wszedł na halę miejscowego supermarketu, aby z nią porozmawiać. Ale kiedy za ladą metalowego boksu kasowego dostrzegł zmęczoną, pobladłą kobietę, która ostatkiem pozostałej energii przyobleka zawodowy uśmiech, zrezygnował, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Kolejną próbę podjął po trzech dniach. Odwiedzał starszą panią na ulicy Weissa, kiedy przypomniał sobie, że w sąsiednim bloku mieszka Stasia z mamą. Podszedł do wejścia i z napięciem wpatrywał się w listę lokatorów na panelu domofonu. Nagle drzwi otworzyły się z impetem, a na księdza Wojtka spojrzwały podejrzliwe oczy w siateczce drobnych zmarszczek.

– Co to: po kolędzie teraz przed świętami chodzicie? – zaskrzeczało. Ksiądz uśmiechnął się przyjaźnie.

– Z wizytą przyszedłem...

– A do kogo niby?

– Do pani Marzeny i Stasi.

– Nie ma.

– Nie? – zmartwił się ksiądz. – A to szkoda, bo chciałem z panią Marzenką pogawędzić...

Staruszka wychyłała z drzwi, zmuszając księdza Wojtkę do cofnięcia się o kilka kroków. Dopiero teraz zauważył, że w dłoni dźrzyży długą miotłę i wymachuje nią cokolwiek wojowniczo. Nie był pewien, czy właśnie zabiera się za porządki, czy może...

– A pani Michalska odlatuje? – zażartował.

– Chyba do ciepłych krajów – prychnęła, rzucając mu nieprzychylnie spojrzenie. – Ksiądz też może już lecieć. A Marzence niech ksiądz głowy nie zawraca. Ona nie ma czasu kościoła sprzątać ani ołtarza stroić. Wystarczą kobiecinie własne problemy.

– To może trzeba jej pomóc?

– A męża jej ksiądz znajdzie czy szóstkę w totka skreśli? – Spojrzała na niego z politowaniem. – Bo może i ja skorzystam?

– Ja chciałem tylko porozmawiać o Stasi...

– Stasia to bardzo miła dziewczynka i kropka. A Marzena jest samotną matką i nie ma czasu wysłuchiwać księdzowych srutututu. Jak mi się ksiądz tu będzie plątał, to inaczej pogadamy – powiedziała i znacząco stuknęła trzonkiem miotły w chodnik z kostki brukowej. – Ja się, proszę księdza, facetów w czerni nie boję. Jestem w takim wieku, że Bóg mi rano z okna macha i pyta: idziesz w końcu? Znacząco jedną nogą po tamtej stronie jestem.

– A nie wygląda pani – mruknął ksiądz Wojtek, patrząc z respektem na podskakującą miotłę.

– I słuch mam dobry! – huknęła nagle, aż cofnął się o kolejne dwa kroki. A skoro już się cofnął, uchylił czapki, pożegnał się serdecznie i ruszył w swoją stronę. Nie chciał przecież, by panu Bogu potem opowiadała, jak go miotłą przepędziła.

Stasia

Z każdym kolejnym tygodniem Stasia coraz bardziej zadamawiała się w kalwaryjskiej szkole. Nie miała problemów z nauką, co to, to nie! Ale stosunki koleżeńskie nadal kulały, chociaż może nie tak jak zaraz po wakacjach. Koleżanki zagadywały Stasię o różne sprawy, pytały, czy ogląda seriale na programie Disneya i czy zrobiła zadanie, ale nie zapraszały jej do towarzystwa. Dziewczynka grzecznie odpowiadała, lecz nie wpuszczała ich do swojego prywatnego świata. Wiodły niemal odrębny żywot jak dwa baloniki powiewające na dwóch kawałkach sznurka.

Pod koniec listopada odbyło się w szkole spotkanie dla rodziców. Marzena Kamińska wróciła z niego, mocno zaciskając usta. Stasia poczuła, jak serce w jej drobnej piersi trzepocze.

– Dlaczego nie bawisz się z koleżankami? – zapytała smutnym tonem matka.
– Nie znam ich za dobrze – odparła, uparczywie wpatrując się w dywanik pod stopami.
– Nauczycielka twierdzi, że izolujesz się od reszty klasy. Spróbuj zaprzyjaźnić się z dziewczynkami, kochanie!

Słyszając te słowa, Stasia jedynie kiwnęła głową, poczuła bowiem, jak coś mocno dławi ją w gardle. Z całej rozmowy z mamą dotarło do niej tylko to, że znów zawiodła, że znów nie jest taką córeczką, jaką chętnie widziałaby mama. I natychmiast obiecała sobie solennie, że spróbuje zbliżyć się do dziewczynek i zawrzeć jakieś bliższe znajomości, skoro mama tego oczekuje. Choć mama z pewnością nie wie, jak trudno zaprzyjaźnić się z innymi dziećmi, kiedy nosi się takie imię!

Najbliższe dni po wywiadówce Stasia poświęciła na obserwacje. Krążyła wokół koleżanek niczym Ziemia wokół Słońca, próbując dosłyszeć, o czym wesoło paplają. Szybko zorientowała się, że najgorętszym tematem w klasie są prezenty, jakie dzieci spodziewały się zobaczyć w worku świętego z brodą i... różowe pasemko w grzywce Kasi Grzelczak. Kasia była córką właścicielki lokalnego salonu piękności i czasami zjawiała się w szkole z jakąś barwną plamką na włosach. I trudno było właściwie powiedzieć, czy matka dbała o styl ósmiolatki, czy po prostu dziewczynka nawinęła się pod fryzjerski pędzelek w najmniej odpowiednim momencie.

Tuż przed lekcją religii Stasi udało się podejść na tyle blisko, by usłyszeć, że tegorocznym hitem będzie Barbie z magicznym warkoczem i aqua sand, czymkolwiek to było. Dziewczynka przysiadła nieopodal koleżanek i wyjęła notesik, aby zapisać tę nazwę i móc później sprawdzić, o co chodzi. Tak bardzo zaangażowała się w obserwacje, iż nie zauważyła, że sama również stała się ich celem.

– A Staszek chodzi za nami i podsłuchuje! – zauważyła Kasia, zdmuchując z czoła różową grzywkę. Stasia skuliła się, słysząc zniechęcony przezwisko, ale hardo spojrzała w oczy koleżanki.

– Nie podsłuchuję!

– Jak to nie? Słuchasz i zapisujesz w tym głupim notesie! Wywiad robisz?

– Z tobą może?

Stasia zamknęła notatnik i chciała go schować, jednak nim zdążyła sięgnąć do suwaka przy plecaku, Kasia podbiegła i wyszarpnęła jej go z rąk. Było to tak niespodziewane, że w dłoni dziewczynki została tylko twarda okładka. Nagle zapadła głęboka cisza przerywana jedynie

przyspieszonymi oddechami zgromadzonych. Stasia z rozpaczą wpatrywała się w zniszczoną okładkę, a Kasia na moment straciła rezon. Trwało to jednak tylko kilka sekund, bo widząc, że są obiektem zainteresowania wszystkich koleżanek, otworzyła trzymany w dłoni zeszytek.

– Zaraz zobaczymy, co tu wypisujesz... – mruknęła.

Stasi minęło pierwsze osłupienie. Nie mogła dopuścić, by koleżanka przeczytała jej zapiski, i to jeszcze przed niemal całą klasą! Zerwała się z ławki i zacisnęła dłonie na notesie. Kasia szarpnęła ponownie, więc Stasia również włożyła w wysiłek całą energię i pociągnęła tak mocno, że aż zapiekły ją opuszki palców! Niewielki, klejony notesik nie wytrzymał zmagania dziewczynek i rozerwał się na dwie, prawie takie same części. Stasia ponuro wpatrywała się w trzymany w dłoni kawałek, potem spojrzała na resztki w zaciśniętych piąstkach Kasi i niepewny uśmiešek tamtej, aż w końcu rzuciła się w kierunku koleżanki, wczepiając się palcami w jej różową grzywkę i powalając ją na podłogę.

Kiedy tak tarzała się po parkiecie, usiłując przywrócić włosy koleżanki do ich pierwotnego koloru, pomyślała, że mama powinna być zadowolona! Jeszcze nigdy Stasia nie była z żadną koleżanką tak blisko...

Jakub

Jakub Kwiatek wracał do domu w wyśmienitym humorze. Z werwą wspinał się po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz i pogwizdując pod nosem. Był piątek, a to oznaczało dwie rzeczy: przez całe dwa dni nie będzie musiał oglądać gęby swego nielubianego szefa, a na kanale sportowym z pewnością polecą jakiś mecz, przy którym będzie można usiąść z piwką i miseczką orzeszków. Może nawet Monika dotrzymania mu towarzystwa? Dawniej często oglądali razem mecze.

Na pierwszym piętrze mężczyzna natknął się na sąsiadkę z parteru, panią Michalską. Była to dobiegająca siedemdziesiątka kobieta, której pomimo lekkiej nadwagi udało się zachować niespotykaną energię. Samoczynnie nadając sobie funkcję dozorczyń klatki (bo z innych klatek w bloku niestety ją przegnali), dbała o ład, porządek i... moralność lokatorów. Schody klatki, w której mieszkali, zawsze lśniły czystością, ścian nie szpeciły bohomazy, a o ulotkach niedbale porzuconych na skrzynkach pocztowych ich doręczyciele mogli co najwyżej pomarzyć.

Mijając sąsiadkę, Kuba wciągnął w płuca sosnowy zapach płynu do podłóg i pomyślał, że to właściwie przyjemne mieszkać w tak ładnym i czystym bloku. Pani Michalska poświęcała naprawdę sporo energii, by utrzymać w nim porządek. Szkoda tylko, że wykorzystywała na to zaledwie jedną trzecią jej zasobów, resztę poświęcając życiu lokatorów. Teraz również porzuciła wyciśniętego mopa i bez najmniejszego skrępowania przytknęła ucho do drzwi mieszkania Fijusów.

Jakub z niedowierzaniem potrząsnął głową i podjął wspinaczkę po schodach. Wścibska sąsiadka ruszyła za nim i zadarła głowę do góry.

– A u was co tak głośno, Kubaś? Remont robicie?

– Remont? Nic o tym nie wiem...

– Od rana tylko stuki i huki słyszać. Tylko żebyście o ciszy nocnej pamiętali, słyszysz?

– Słyszę, słyszę... – mruknął pod nosem Jakub, którego właśnie dotknęło złe przecucie.

Okazało się, że słusznie. Pierwszą rzeczą, jaką mężczyzna dostrzegł, kiedy uchylił drzwi wejściowe, była komoda. Zatarasowała cały przedpokój.

– ... mać – wyrwało się Jakubowi, któremu odbite od komody drzwi przydzwoniły prosto w czoło. Z pokoju Piotrusia wychyliła się Monika.

– Ciszej! – syknęła. – Mały właśnie zasnął!

– Co się tutaj dzieje? – Mężczyzna z niedowierzaniem rozglądał się po ciasnym wnętrzu przedpokoju. Poza komodą, w którą uderzył drzwiami i która uniemożliwiała mu wejście w głąb mieszkania, dostrzegł ciasno zwinięty rulon dywanu i karnisz. Jakub przyglądał się temu z niedowierzaniem, równocześnie rozmasowując bolące miejsce. Pod palcami wyczuł pulsujące zgrubienie, ale podejrzewał, że to wcale nie szybko powiększający się guz stanie się przyczyną dzisiejszego bólu głowy!

Odłożył teczkę, kilkakrotnie zamańrował ciałem i w końcu udało mu się zamknąć drzwi wyjściowe. W samą porę, bo z dołu dobiegało już charakterystyczne człapanie sąsiadki z parteru. Kuba przekręcił zamek, mocnym szarpnięciem upewnił się, że drzwi rzeczywiście są zamknięte, po czym wyjrzał przez wizjer. Łuk brwiowy pulsował nieznośnym bólem i wydawał się zwiększać swoją objętość. Mężczyzna pomyślał, że doszedł mu kolejny powód, by cieszyć się, że jest weekend. Odwrócił się w kierunku żony, oparł dłonie o blat komody i lekko nad nią

przeskoczył.

– Co robisz, kochanie? – zapytał.

Monika wzruszyła ramionami.

– Robię małe przemeblowanie w pokoju Piotrusia. Dowiedziałam się dzisiaj, że kolorystyka, którą wybraliśmy, jest nieodpowiednia dla rozwoju dziecka.

– Ach, tak? – Usiłował skupić wzrok na jej twarzy, ale miał dziwne wrażenie, że widzi tak jakby mniej...

– Tak. Otoczenie, w którym przebywa dziecko, wywiera wpływ na to, jakie cechy się u niego rozwijają. I tak zielony sprawia, że dziecko wyrośnie na opanowanego człowieka, żółty, że na optymistę, a czerwony jest najlepszy dla przywódców. To kolor ludzi energicznych i pewnych siebie.

– Aha. A my wybraliśmy... – próbował sobie przypomnieć, jaką farbą malował sypialnię synka, ale jakoś nie mógł. Nie wiedzieć czemu żona poczuła się tym dotknięta.

– Nie najlepiej – rzuciła chłodno, ruszając do pokoju Piotrusia. Chcąc nie chcąc, Jakub podążył za nią, przyciskając do powieki przyjemnie zziębniętą pięść. Na miejscu wytrzeszczył oczy, zapominając o bólu i opuchliznie, i próbował objąć wzrokiem całe to pobożowisko. Wszystkie meble – poza komodą, która wylądowała w przedpokoju – zostały wywleczone na środek pokoju. Podłogę zaścielała folia. Jedna ściana została pomalowana na żółto, druga na czerwono, trzecia na fioletowo, a czwarta była niebieska.

– Zrobiłaś to od rana? – wydukał Jakub.

– Musiałam. – Monika wzruszyła ramionami. – Przeczytałam...

– Aha, przeczytałaś...

– Oczywiście, że przeczytałam. Myślisz, że wpadłabym na to sama? I pomyśleć, że przez wybór koloru farby mogliśmy zaprzepaścić przyszłość naszego dziecka! – Zdenerwowała się.

– Uhm. – Jakub przesunął się nieco na środek pokoju, by lepiej widzieć efekty działań żony. – I cóż za wspaniała przyszłość czeka chłopca, który będzie przebywał w bliskim sąsiedztwie... tęczy?

– No, przecież ci mówiłam, czerwony to energia, żółty to optymizm, a fiolet... hm, muszę sprawdzić, ale wszystko razem tworzyło bardzo obiecującą kompozycję. Nasz syn będzie człowiekiem sukcesu!

– I chyba nie tylko – mruknął Jakub.

– Co sugerujesz? – zmarszczyła brwi.

– Nic, nic. Podziwiam, jak wiele zrobiłaś. Jestem pod wrażeniem, kochanie!

– Było ciężko! – Kiwnęła głową łaskawie. – Na szczęście już wróciłeś i teraz mi pomożesz...

Jakub przypomniał sobie, jak marzył o chwili, kiedy w końcu wróci do domu, zdejmie uciskające buty, wyjmie z lodówki zimną butelkę ulubionego piwa i rozsiądzie się na kanapie, w jedną dłoń chwytając oszronioną szyjkę, a w drugą pilota od telewizora. Teraz dałby naprawdę wiele, aby na powrót teleportować się do biura. Mógłby nawet uczestniczyć w naradzie z tym bubkiem, swoim szefem. Wszystko, byle znaleźć się z dala od nowych pomysłów żony. Podejrzywał, że to będzie długi wieczór...

– Co mam robić? – zapytał zrezygnowany.

– Przytniesz wykładzinę.

– Wykładzinę? Jaką wykładzinę?

– Butelkowitzieloną.

– Butelkowo... – Jakub ze zgrozą rozejrzył się po barwnym wnętrzu i nagle naszała go myśl, że na trzeźwo tego nie przetrzyma. – To mi przypomina, że miałem coś wypić. Chcesz też?

Odpowiedziała mu wymowna cisza i plaskanie pędzla zamoczonego w farbie, więc niezwłocznie ruszył na poszukiwanie czegoś w kolorze butelkowej zieleni. Ciasno zwinięty rulon wykładziny obszedł jednak szerokim łukiem.

Waldemar

Dwa powszednie grzechy Waldemara Jurczyka to skner-stwo i pycha. Pech chciał, że obydwie występki były z sobą tak mocno połączone, jakby skleił je najbardziej wytrzymały klej. Waldemar sądził, że jest wyjątkowo oszczędny, i czuł z tego powodu dumę. Gdyby ktoś kiedykolwiek rzucił w jego kierunku określeniem sknera, Waldemar z pewnością poczułby się oburzony. On nie był sknerą. Był oszczędnym mężczyzną, który dobrze wiedział, co trzeba zrobić, aby zatrzymać w kieszeni ciężko zapracowane pieniądze. Wielu miało z tym problem w tych czasach, ale nie on.

Sekretem Waldemara Jurczyka był starannie opracowany plan zakupów, który nie przewidywał żadnych odstępstw. Mężczyzna skrupulatnie notował wszystkie niezbędne sprawunki (wychodził z założenia, że tylko takie mają być realizowane) i wydatki. Kolekcjonował gazetki promocyjne wszystkich sklepów i dokładnie je porównywał, aby wytypować najkorzystniejsze oferty. Nie wahał się przejść kilku kilometrów do położonego na obrzeżach miasta dyskontu tylko dlatego, że kilogram cukru był tam dwadzieścia groszy tańszy.

Pilnował, aby zawsze zabierać ze sobą paragon i na to samo uczulił żonę. Po przyjściu do domu przeglądał dowód zakupu i dumał, czy można obniżyć jego wysokość. Nie do pomyslenia było, aby cena na półce różniła się od tej, która znalazła się na kwitku, lub by kasjerka obsługująca Waldemara nie wydała mu grosika. Wówczas z całą pewnością przy najbliższej sposobności zaszedłby do sklepu, żeby poprosić o zwrot zaległej kwoty. Na widok wchodzącego do sklepu Waldemara Jurczyka kalwaryjskie kasjerki dostawały dreszczy.

Waldemar wiedział także, że może sporo zyskać, nie płacąc za to ani grosza. Jeżeli handlujący na placu targowym rolnicy wystawiali skrzynki ze zwiędniętymi warzywami, które klienci mogli zabrać dla domowych królików, chomików i świnek morskich, Waldemar z rozanieloną miną pakował je do siatki. Nie hodował żadnych zwierząt, ale zwiędnięta sałata po poszarpaniu prezentowała się niemal tak samo jak świeża, a pomidorowa z przejrzałych pomidorów była lepsza niż ta ze sklepowego przecieru. A życie stawało się piękniejsze, gdy w portfelu brzęczała zaoszczędzona złotówka!

W grudniowe popołudnie Waldemar Jurczyk pomyślał, że chętnie napiłby się czegoś zimnego. Otworzył lodówkę i uważnie zlustrował jej półki, ale ich zawartość nie wzbudziła entuzjazmu mężczyzny. Już, już wyciągał rękę do kranu, by nalać do szklanki wody, kiedy przypomniał sobie, że jego żona trzyma w piwnicy smaczne wiśniowe kompoty. Każdego roku zmuszał Annę do przygotowywania niezliczonej ilości przetworów: soków, dżemów, kompotów i przecierów warzywnych. Składniki zazwyczaj przynosił od znajomych, którzy posiadali własne ogrody, lub kupował po obniżonej cenie, kiedy sezon na nie się kończył.

Waldemar narzucił cienką wiatrówkę i zszedł do piwnicy. Na parterze natknął się na panią Michalską, która zawzięcie szorowała drzwi wejściowe. Kobieta obejrzała się na niego przez ramię i zaskrzeczała, wypuszczając z ust kłębuszki pary:

- Panie Waldku, proszę powiedzieć Annie, żeby do mnie zaszła! Sprawę mam!
- A jaka to sprawa? – zainteresował się.
- A takie tam – mruknęła. – Choinkę trzeba by ubrać przed blokiem...
- A ile to będzie kosztować? – Spojrzał na nią podejrzliwie. – Dość mamy wydatków.
- Jak wszyscy! Ale dom przybrać trzeba, święta idą!

Waldemar zaklął pod nosem i ruszył do piwnicy. Przeciskając się pomiędzy ciasnymi boksami, złorzeczył na wścibską sąsiadkę. Co to za uparte babsko! Zamiast siedzieć w ciepłe przed telewizorem i wymachiwać drutami do robótek, robi zamieszanie i wymyśla cudawianki! Problemy tylko przez to będą i wydatki, rzecz jasna! Wiadomo, że na takiej choince przed blokiem coś zawiesić trzeba, a pewnie i tak łobuzy ukradną! Jeszcze tego brakuje, żeby im opłatę za prąd zwiększyli przez te idiotyczne choinkowe światełka!

Że też taka w domu nie posiedzi, tylko przyzwoitych ludzi zaczepia. Nudzi się jej, czy co? Nie dalej jak przed tygodniem zagadnęła go na klatce i wołała o płyn do szyb, że niby teraz ich kolej, by go kupić!

Waldemar wszedł do boksu i kręcąc głową, pochylił się nad półką z kompotami. Nagle znieruchomiał. Czasami okazja sama szuka chętnego, pomyślał.

Jurczykowie dzielili boks z Fijusami spod piątki. Anna i Waldemar zajmowali półki na prawo, z kolei Zuzanna ustawiała swoje przetwory na półkach po lewej stronie. Przetwory dwóch gospodyń można było rozpoznać na pierwszy rzut oka. Anna wekowała owoce w zwyczajnych słoikach ze złotymi nakrętkami, tymczasem Zuzanna Fijus swoje słoiki ozdabiała barwnymi nalepkami, na których ładnym, pochyłym charakterem pisma opisywała wszystkie przysmaki. Rzecz w tym, że estetycznie udekorowane słoiki Zuzanny stały teraz na półce Jurczyków. Mężczyzna domyślił się, że Zuzanna postawiła je tam tylko na chwilę, a później zapomniała przestawić.

Co na naszej półce, to nasze, orzekł Waldemar. Poczł zadowolenie na myśl, że oszczędzi własne przetwory na późniejszy czas, a teraz poczęstuje się wyrobami sąsiadki. Przejrzał poustawiane na półkach słoiki i z rozczarowaniem stwierdził, że nie ma wśród nich jego ulubionych kompotów truskawkowych. Może będą na półce? Przecież nic się nie stanie, jeśli zamieni jeden czy dwa słoiki...

Zachwycony własną pomysłowością przykucnął przy półce Fijusów i zajął się przeglądaniem weków. Szybko namierzył kompoty truskawkowe i odstawił na podłogę trzy litrowe słoiki. Właściwie już mógłby wrócić na górę, ale zauważył, że za słoikami ktoś ukrył starannie spakowane podarunki, więc wyjął pudełka i dokładnie je obejrzał, kręcąc głową nad rozrzutnością co niektórych. Właśnie chował je z powrotem, przysłaniając słoikami, kiedy z kartonowego pudełka po butach coś wypadło. Osłupiały Waldemar wpatrywał się w to, co wylądowało u jego stóp. Pochylił się ku ziemi i drżącą dłonią sięgnął po stare czasopismo, które gościnnie otworzyło się na stronie dwunastej, zapraszając go do swego świata. Waldemar przysunął sobie skrzynkę po jabłkach i usiadł. Zaszło mu w ustach, ale zapomniał o pragnieniu.

Maciej

Kiedy w poniedziałkowe przedpołudnie dyrektor wezwał go do swojego gabinetu, poczuł lekkie uczucie niepokoju. I déjà vu. Czy naprawdę minęło już dwadzieścia pięć lat od chwili, gdy Walczak wzywał go na dywanik i suszył głowę za roztrzaskaną piłką szybę? Miał różne plany, ale żaden z nich nie przewidywał, że kiedyś trafi do własnej podstawówki jako nauczyciel wychowania fizycznego!

Dyrektor siedział za biurkiem i pałaszował kanapkę. Maciek pomyślał, że jego broda całkiem już posiwiała i stary dyrektor wygląda jak Mikołaj. Podobno od przyszłego roku miał przejść na emeryturę.

Walczak odłożył kanapkę na kawałek papieru, otarł usta chusteczką i sięgnął po kartonową teczkę.

– Teczka? Na mnie? – Maciek próbował zażartować.

Dyrektor przeszył go surowym spojrzeniem.

– Na Sadowską!

– Na Samantę? Co zrobiła?

– Spadła z drabiny. I złamała nogę. W dwóch miejscach!

– Ojej, to pechowo... – Maciek starał się przybrać smutną minę.

– A żebyś wiedział. Potrzebuję wychowawcy dla 2a.

– Ale chyba pan nie sądzi... – Wuefista poczuł, że robi mu się gorąco. – Chyba pan nie uważa, że ja się nadaję?

– Oczywiście, że nie uważam! – sarknął dyrektor. – Ale nie mam wyjścia! Poza tobą wolna jest tylko pani Krysia ze stołówki!

– Ale jaja! – powiedział sam do siebie.

– Chyba święta ci się pomyliły. – Dyrektor sięgnął po kanapkę i spojrzał wyczekująco na nauczyciela. – Skoro wszystko już wiesz, możesz odejść. Chciałbym zjeść drugie śniadanie.

Maciej opuścił gabinet dyrektora, kręcąc głową z niedowierzaniem. Takiego obrotu sprawy zupełnie się nie spodziewał. Pracował w kalwaryjskiej szkole od trzech lat i nigdy nie powierzono mu wychowawstwa. Nie czuł się do tego przygotowany, nie w tej chwili. W duchu przeklął wychowawczynię 2a. Też nie miała co robić, tylko po drabinach łązić? Łamaga jedna?

Zamyślony zderzył się z wychodzącym z klasy księdzem. Wojtek uśmiechnął się wyrozumiale. Byli dobrymi przyjaciółmi. Latem jeździli razem na wycieczki rowerowe: na Lanckoronę, Ludkę, a czasami dalej, na Leskowiec. Zimą grywali w szachy.

– O czym tak dumasz? – zagadnął.

Rozdrażniony Maciek machnął ręką.

– O niebezpieczeństwach wynikających z posiadania drabiny i nieposiadania mózgu.

– A tak serio?

– Uczysz w 2a?

– Pewnie, fajne dzieciaki.

– Dostałem wychowawstwo.

– Ty? – Ksiądz uniósł brwi. – Kto był aż tak zdesperowany, by dać ci wychowawstwo?

– Dzięki – parsknął. – Tylko czasowe, Samanta zleciała z drabiny i...

– Ach, więc stąd uwaga o braku mózgu... Nadal masz żal, że nie chciała się z tobą

umówić.

– Nie o to chodzi! – zezłościł się Maciek. – I wcale nie chciałem się z nią umówić. Po prostu szukałem kogoś, kto opowie mi o pracy w szkole. Zresztą nieważne. Mam większe problemy. Mam zostać wychowawcą.

– Cóż, pracując w szkole, można się z tym liczyć...

– Łatwo ci mówić.

Ksiądz Wojtek zerknął na zachmurzonego przyjaciela i zaśmiał się cicho. Potem popadł w zadumę, potarł szorstki podbródek dłonią i uśmiechnął się pod nosem zadowolony z własnego pomysłu.

– Jak powiedziałeś? 2a?

– Właśnie.

– Słuchaj, może wpadniesz któregoś wieczoru na partyjkę szachów? Będę miał do ciebie prośbę.

Zuzanna

Słowa Karoliny wwierciły się Zuzie pod czaszkę i zaowocowały potwornym bólem głowy. Tak potwornym, że nie pomagała nań żadna tabletki. Półożąc w fotelu, kolejny raz dokonała przeglądu swojego małżeństwa, dochodząc do dość ponurych wniosków. Ich pożycie małżeńskie było szare jak blok z wielkiej płyty, a na romantyczną kolację ostatni raz poszli w okresie, kiedy Polsat nadawał *Czarodziejkę z Księżycy*. Tym faktem nie dało się zaprzeczyć. Optymistycznie nastawiona do życia Zuzanna doszła jednak do wniosku, że wszystko można jakoś naprawić. Pospiesznie nakreśliła w myśli plan, czując, jak ból głowy powoli ustępuje.

Późnym popołudniem postanowiła wybrać się po sprawunki do miejscowego dyskontu. Niespiesznie przechadzała się pomiędzy regałami, łącząc oglądane artykuły z recepturami przysmaków, które planowała postawić na świątecznym stole. Właśnie schylała się po paczkę maku, kiedy kątem oka dostrzegła Waldemara Jurczyka. Mężczyzna skrupulatnie notował coś w sfatygowanym notesiku. Zuza nie przepadała za Waldemarem, ale pozostawała pod wpływem świątecznej atmosfery i chciała być miła, więc z ciepłym uśmiechem ruszyła w stronę sąsiada. Nagle przystanęła zaskoczona. Na jej widok mężczyzna poczerwieniał, następnie zbladł, aż w końcu czmychnął między regały.

Dziwak, pomyślała Zuzanna, wzruszając ramionami. Zupełnie jakby się mnie bał...

Nie zaprzętała sobie tym jednak dłużej głowy, ponieważ właśnie przystanęła przy ekspozycji towarowej, na której plastikowy manekin demonstrował górną część kobiecego ciała przyodzianą w dość kuszą bieliznę. Na widok czarnych prześwitujących koronek ciasno opinających biust z plastiku Zuzanna zamarła z uchylonymi ustami. Następnie rozejrzała się dyskretnie wokół i dała nura w fikuśne fatalaszki, szukając odpowiedniego rozmiaru.

Po niecałym kwadransie zadowolona z siebie Zuzanna odmaszerowała w kierunku półki z nabiałem, by kupić serek wiejski na kolację. Manewrując wózkami pomiędzy dokonującymi zakupów klientami, rozmyślała, jak łatwo zakupić seksowną bieliznę! Tkwiła dosłownie pod nosem, pomiędzy słoikami ogórków konserwowych a kijami do mopa!

Przy kasie najpierw wypakowała na taśmę zakupy, a następnie dźgnęła sobie w oko kopytkiem podwieszanego na stojaku renifera. Podrażnione oko zaczęło szczypać i łzawić. Zuza zasłoniła je skrawkiem szalika, a drugim nienawistnie spojrzała na kołyszące się na sznureczku zwierzątko.

– I co żeś narobił? – mruknęła pod nosem. – Jak ja teraz męża uwiodę z jednym okiem?

Kasjerka spojrzała na nią z zainteresowaniem.

– Pani się nie przejmuj. Mąż na oko nie spojrzy. Choćby wypadło i potoczyło się pod szafę, nie zauważy. Wiem, co mówię. Moja ciocia miała szklane.

– Na...naprawdę?

– Jak Boga kocham. Wuj nawet nie wiedział. Czterdzieści lat byli małżeństwem, a on jej komplementował, że ma oczy jak gwiazdy. Błyszczą i świecą. Jedno to nawet w ciemności. A u pani, widzę, grubsza sprawa z tym uwiedzeniem się szykuje? – Kasjerka sięgnęła po czarne koronki i przytknęła kod kreskowy do czytnika. Zawstydzona Zuza kiwnęła głową.

– Chyba muszę męża troszkę rozpieścić...

– Ja bym nie rozpieszczęła. A już na pewno nie takim. – Podniosła w górę koronkowy staniczek. Zuzanna obejrzała się spłoszona za siebie, ale na szczęście nikt nie stał za nią w

kolejce. Kasjerka zniżyła głos do półszepetu i potrząsnęła dla odmiany majteczkami od kompletu.
– Pani się wykosztuje, majteczki srajteczki, a taki okiem ledwo rzuci, zerwie i tyle widział.

– No, ale jak to?

– Normalnie! Dla faceta liczy się cukierek, a nie papierek. Nie zna pani tego przysłowia?

– Nie!

– Może dlatego, że sama je wymyśliłam – mruknęła kasjerka, sięgając po kolejne towary. Zaraz jednak odłożyła je na taśmę i spojrzała na Zuzę. – Tak to wygląda. Pół wieczoru przygotowań, maseczka, obcinacz do paznokci, perfumy, te rzeczy... Kobieta jogę uprawia, żeby sięgnąć golarką tam, gdzie słońce nigdy nie zajrzało, naklnie się przy tym, zatnie, napoci. Potem godzina wybierania ciuchów, żeby wzorek na rajtkach pasował do wzorku na lewym kolczyku, a sukienka ukryła wałeczek nad pępkiem. A jak przyjdzie co do czego, facet rach-ciach, potem trach, później bach, bach. I ani się kobieta obejrzy – i po wszystkim!

– Ojej!

– No, właśnie: ojej! Pół biedy jak mało gwałtowny chociaż... to nie podrze, nie poniszczy. Przynajmniej kobiecie na pocieszenie ładna bielizna zostanie. Ale ma się to gwarancję na takiego?

– Bestie! – Zuzanna poczuła, jak skacze jej ciśnienie. Ból głowy przypominał o sobie w okolicy lewej skroni. Spojrzała czule na kłębek czarnej koronki i obiecała jej w duchu, że nie pozwoli skrzywdzić. – Bestie! – powtórzyła wojowniczo.

– Właśnie tak! I nie patrzy taki, czy bielizna za dwadzieścia – kasjerka potrząsnęła staniczkiem – czy za dwieście! Gdyby mnie kto pytał, wystarczy zwykły podkoszulek, nawet nie zauważy po ciemku.

– A dlaczego po ciemku? – spytała rozczarowana Zuza, która miała troszeczkę inne plany.

– Z pani jest równa kobitka! – Kasjerka spojrzała na Zuzę z uznaniem. – Trzymam tu takie fajne podkoszulki, dajemy klientom, jak kupią trzy jogurty. Ale nie wszyscy biorą, to mamy nadwyżkę. Ja pani taki podkoszulek dam! Widzi pani, jaki ładny? Woli pani z truskawką czy brzoskwinką? Były jeszcze banany, ale wyszły już...

– Ale naprawdę nie trzeba...

– Spokojnie, spokojnie. Odmiana w łóżku wskazana, to sobie pani zapoda taki podkoszulek i będzie. Ekonomicznie, bez zniszczeń. Osobiście zalecam truskawkę, bo brzoskwinka podobno uczula. Była tu jedna klientka ze skargą, że jej pokrzywka wyszła, ale nie chciała pokazać, więc reklamacji nie uwzględnili. Pani weźmie sobie truskawkę, co?

– Ale naprawdę nie trzeba. Mnie wystarczy to, co już kupiłam.

– Ja pani nie odradzam, ale to koronkowe cudo biedne będzie po jednej nocce. Szczególnie, jak taki jeden z drugim wyposzczony i rzuca się jak na kanapkę z mortadela.

– Z jakim drugim? – zaniepokoiła się Zuzanna.

– Z każdym, kochana pani, z każdym. Znam ja takich. W ciągu dnia ukradkiem świerszczyki oglądają, a gdy zapadnie noc, rzucają się na swoje żony i rach-ciach, trach, bach, bach...

Zuzanna ze zgrozą spojrzała na kasjerkę, potem na zwisający z jej dłoni staniczek i koronkowe majteczki od kompletu.

– Po ile macie te jogurty?

Kajetan

Gdy Kajtek i Michał wracali z pracy, postanowili zajrzeć do miejscowego dyskontu i kupić czteropak ulubionego piwa. Ten wieczór zaplanowali w charakterystyczny dla siebie sposób: mecz Lechia – Śląsk, po dwie butelki schłodzonego browarka i miseczka solonych orzeszków. Wieczór idealny, szczególnie że i tak nie zapowiadało się na inne atrakcje. Zuza chodziła jakaś zamyślona i niemal nie zauważała męża, pewnie planowała świąteczne menu. A Elwirka nadal nie dała się przeprosić za Michałowe maleństwa i tkwiła w upartym świętym oburzeniu.

Kajtek zmierzał już do kasy, usiłując utrzymać w ramionach zdjęte z półek artykuły (nigdy nie chciało mu się brać koszyka, za co Zuzanna wiecznie suszyła mu głowę), kiedy jego oczom ukazał się osobliwy widok. Jego własna żona stała przy ekspozycji z damską bielizną i z płomiennym rumieńcem na twarzy grzebała w wielkim koszu. Zaskoczony Kajtek pospiesznie ukrył się za regałem z makaronem i obserwował jej poczynania. Zuza co rusz wydobywała z kosza kolejne sztuki bielizny i unosiła je na wysokość oczu, jakby badała ich przejrzystość. Kiedy skoncentrowała się na czarnych koronkowych majteczkach z czerwoną kokardką, wyobraźnia Kajtka wskoczyła na podwójne – ba! – poczwórne obroty. Tak skupił się na śledzeniu własnej żony, że nie zauważył, jak nad jego ramieniem Zuzę obserwuje także Michał.

– Och, stary! – Przyjaciel klepnął Kajetana w ramię. – Zazdroszczę ci! Nie myśl dzisiaj o piwie i meczu...

– No... – Kajtek wpatrywał się w Zuzę z głupawym uśmiechem.

– Lepiej kup jakieś kwiaty albo czekoladki, bo szykuje ci się gorący wieczór!

– Myślisz?

– Człowieku! Nie kupuje się majtek z dziurką nad pośladkami bez powodu!

– To idę! – Poruszony Kajtek rzucił orzeszkami i puszkami z piwem w kierunku kumpla.

Wybiegł ze sklepu, przezornie unikając alejki, w której Zuza właśnie pochylała się nad koronkowymi stanikami, i ruszył w kierunku samochodu. W kilka minut dotarł do centrum miasta, zaparkował wóz pod budką z lodami włoskimi i próbował przypomnieć sobie, gdzie w Kalwarii można kupić kwiaty. Ostatnią wiązkę nabył, gdy zmarła wychowawczyni Agaty z zerówki...

Nagle uświadomił sobie, że tak naprawdę to nie pamięta, kiedy ostatnio dał coś Zuzannie. Owszem, przed świętami dawał córce parę groszy, by kupiła w markecie na osiedlu zestaw kosmetyków w ładnym pudełku, ale to wszystko. Zuza zasłużyła na piękny podarek! Kajtek podumał chwilę, potem zapalił silnik, objechał powoli rynek i zaparkował przed salonem jubilera.

Zabrzączał metalowy dzwoneczek zawieszony przy drzwiach. Kajtek niepewnie rozejrzał się po wnętrzu, a potem podszedł do gabloty ze złotymi bransoletkami. Na jego prośbę uśmiechnięta ekspedientka wydobyła cieniutki łańcuszek z koniczynką. Kajtek pochylił głowę, nie zauważając poroża ustawionego na ladzie renifera. Ugodzone oko zapiekło boleśnie.

Bez słowa pokiwał głową, zapłacił i przyjął z rąk sprzedawczyni eleganckie pudełeczko. Kiedy wracał do samochodu, poczuł puchnięcie w okolicy oka, ale był tak podekscytowany, że nie zwrócił na to większej uwagi.

Monika

Monika rozejrzała się po kuchni z wyrazem oszołomienia na twarzy. Od kilku godzin testowała przepisy świąteczne z nowego poradnika. Według książki każdy maluch mógł spędzić te święta radośnie wraz z rodzicami, jeśli zostanie do tego odpowiednio przygotowany. Monika przerobiła już rozdział dotyczący dekoracji dzieciennego pokoju i garderoby dla maluszków. Od rana usiłowała ulepić świąteczne pierogi, wykorzystując kleik ryżowy i nadzienie z marchewki.

Jakub zaproponował, by święta spędzili w domu teściowej, ale młoda kobieta uniosła się gniewem.

– Chyba żartujesz! Przecież to pierwsze święta Piotrusia, musimy spędzić je w naszym domu, razem...

– Spędzimy je razem... tyle że z mamą.

– Oczywiście! – mruknęła rozzłoszczona, ponieważ ostatnimi czasy teściowa tak silnie działała jej na nerwy, że najchętniej wykupiłaby dla niej świąteczną wycieczkę last minute, i to z biletem tylko w jedną stronę. – Nie jestem pewna, czy święta z twoją mamą to dobry pomysł, kochanie!

– A niby dlaczego?

– Bo już zapowiedziała, jakimi potrawami ze świątecznego stołu zamierza nakarmić naszego synka. I uwierz, to nie są przysmaki dostosowane do diety maluszka!

– Nie przesadzaj. Podobno na pierwsze urodziny wciąłem barszcz z uszkami, aż mi się uszy trzęsły! – zawołał wesoło Jakub, nie zauważając przepelnionego zgrozą spojrzenia Moniki.

Na drugi dzień po rozmowie z mężem pobiegła do księgarni, aby odebrać zamówiony poradnik. Przekartkowała go już w drodze do domu i odetchnęła z ulgą. Święta zostaną uratowane! Niech teściowa kręci mak na strucle i dusi kapustę z grzybami czy innym grochem! Piotruś znajdzie na świątecznym stole specjały przygotowane troskliwymi dłońmi własnej mamy!

Kiedy po raz dwunasty wyrzucała do kosza miskę papki grysikowej i ocierała pokryte kropelkami potu czoło, nie była już tego taka pewna. Według przepisu w książce powinny wyjść jej ładne pierożki, które wystarczyło napelnić nadzieniem marchewkowym i skleić palcami oprószonymi w mące. Tymczasem papka przygotowana przez Monikę przypominała krochmal, na dodatek zmutowany!

Jeszcze raz, od początku.

Ostatni raz. Naprawdę ostatni.

Monika podwinęła rękawy kraciastej bluzki, sięgnęła po miskę i paczkę gryssiku. Dokładnie odmierzyła składniki, zerkając ukradkiem to na stronicę mocno przybrudzonej już książki, to na synka. Piotruś siedział w wysokim krzeselku, obgryzał gumowego pieska i wydawał się bawić w najlepsze. Dobrze, że chociaż on, pomyślała kobieta, sięgając po dzbanek letniej, przegotowanej wody.

Zerknęła jeszcze raz do książki, upewniając się, że dodała wszystko, czego potrzeba, po czym wsunęła do miski dłoń. Zaczęła wyrabiać ciasto, miętosząc je i zgniatając. Czują, jak pod

palcami pękają pęcherzyki powietrza. Lewym ramieniem mocno objęła miskę, prawą dłonią nie przestawała ugniatać, a dmuchnięciem usiłowała pozbyć się wpadającej do oczu grzywki. Piotruś zaśmiewał się do rozpuku, więc zaczęła śpiewać piosenkę, by jeszcze bardziej rozbawić synka.

Chłopczyk próbował przygryźć pieszka, ale trafił nim w obolałe, spulchniałe dziąsła. Natychmiast błękitne oczka zapełniły się łzami, a niewielka kuchnia rozpaczliwym płaczem. Monika próbowała odstawić miskę, ale wyrabiana masa uwięziła jej rękę! Spanikowana sięgnęła drugą, aby odgarnąć burą papkę. W ułamku sekundy dłonie skleiły się ze sobą. Kobieta z niedowierzaniem wpatrywała się w miskę, równocześnie próbując wyrwać z niej dłonie. Co to jest, do cholery?

Piotruś popłakiwał żałością, a Monika opadła wraz z miską na podłogę, wsunęła ją pomiędzy uda i zaczęła mocno ciągnąć. Czuła spływające po plecach kropelki potu i panikę chwytającą za gardło. A jeśli ten klajster z grysiku nie puści? Jak wyjmie synka z krzeselka, jak przygotuje dla niego jedzenie?

Z wysokości krzeselka chłopiec obserwował zmagania matki. Ból mijał, więc zaaferowany zapomniał o płaczu, z uchylnych usteczek kapłała mu ślina, ślady łez połyskiwały na policzkach. Tymczasem zdesperowana Monika opadła na pośladki, miskę z masą kleikową wsunęła pomiędzy kolana i wierzącą nogami niczym przewrócony na grzbiet żuczek, usiłowała wyrwać dłonie z pułapki.

Nagle zamarła.

Z wejścia przyglądała się jej oniemiała teściowa.

Monika powoli opuściła nogi na kuchenne płytki. Plastikowa miska z burą papką przetrzymującą jej dłonie groteskowo sterczała w powietrzu.

– To jakieś nowe ćwiczenia z tych twoich książek? – domyśliła się teściowa, podchodząc do krzeselka i podnosząc zachwyconego wnuka. Monika zdmuchnęła pasemko włosów, które łaskotało ją po nosie, przetoczyła się na kolana i niezdarnie wstała. Przyciskając miskę do boku, podeszła do zlewu i wsunęła naczynie wraz z uwięzionymi dłońmi do jednej z komór. Czuła na plecach wzrok teściowej. – Kuba przekazał mi zaproszenie na święta. Oczywiście, że chętnie do was przyjdę. Zamówiłam już kiszoną kapustę. Zrobię pierogi, dobrze? Kuba uwielbia moje pierogi...

Monika puściła mimo uszu paplaninę kobiety. Wpatrywała się w ginące w burej papce dłonie i przeklinała pomysł na kleikowe pierogi, równocześnie zadając sobie pytanie, jak odkręci kurek z ciepłą wodą. Oczywiście mogłaby poprosić o pomoc teściową, ale nie wiedzieć czemu (dziwne, prawda?) nie miała na to ochoty. Było jeszcze jedno rozwiązanie, naturalnie nie zniży się do niego pod ostrzałem spojrzeń matki swojego męża. Odwróciła się w kierunku teściowej z szerokim uśmiechem.

– Czy może mama przewinąć Piotrusia?

Odczekała, aż kroki teściowej ucichną, po czym nachyliła się nad zlewem. Teraz tylko otworzyć szeroko usta, a dalej pójdzie jak z płatka!

Marzena

Marzena Kamińska owinęła szyję grubym szalikiem i skinęła koleżankom na pożegnanie. Wyszła na ulicę, wciągając w płuca mroźne powietrze i myśląc z zadowoleniem, że ma przed sobą dwa wolne dni. Zamierzała posprzątać mieszkanie, bo przed świętami grafik będzie napięty i z pewnością nie uda się jej wygospodarować na to ani chwili. Chciała też побыć ze Stasią. Córeczka stała się dziwnie milkliwa, a jej ciągle brakowało czasu, by przyjrzeć się temu wnikliwiej. Niełatwo być samotną matką, oj nie.

Aby poprawić sobie humor, pomyślała o gwiazdkowych prezentach. W końcu udało się jej zamówić upragnionego kucyka dla córki. Wiedziała, jak bardzo Stasia marzy o wielobarwnym koniku. Już w ubiegłym roku prosiła o niego w liście do Świętego Mikołaja, ale Marzeny nie było na ten zakup stać. Kiedy w listopadzie otrzymała niespodziewaną premię uznaniową, od razu wiedziała, na co ją przeznaczy. Zamówiła kucyka przez internet i właśnie szła na pocztę, aby go odebrać.

W urzędzie panowało zamieszanie, ale pozbawione nerwowości i zniecierpliwienia. Klienci stojący w kolejkach ściskali sterty świątecznych kartek, inni popychali zawinięte w kolorowy papier paczki. Marzena odebrała przesyłkę, wsunęła ją do materiałowej torby na ramię, z którą się nie rozstawiała, i wyszła na ulicę. Przed powrotem do domu zamierzała wstąpić do papierniczego w rynku i kupić czerwoną kokardkę.

Zatopiła się w myślach, wyobrażając sobie radosną minę córki, kiedy zobaczy gwiazdkowy podarunek. Była na wysokości komisariatu policji, kiedy nadchodzący z naprzeciwka mężczyzna poślizgnął się na oblodzonej łacie śniegu. Przez chwilę sunął po chodniku, wymachując rękoma i usiłując odzyskać równowagę, by ostatecznie ściąć kobietę z nóg. Marzena poczuła, jak upada i ląduje na postępującym mężczyźnie. Jej uszu dobiegł trzask miażdżonej zabawki.

– Nie, nie, tylko nie to! – jęknęła załamana, usiłując wydostać się z dziwacznej damsko-męskiej płataniny kończyn i równocześnie przesunąć opadającą na oczy czapkę. – Proszę się nie ruszać! Może to noga?

– Chyba nie, ale dziękuję za troskę. Z moją nogą wszystko w porządku – padła żartobliwa odpowiedź.

– Mam nadzieję, że to jednak noga – zgrzytnęła zębami, bo noga nieznajomego interesowała ją w stopniu marginalnym. Bardziej zajmowała ją noga kucyka. A może łapa? – Inaczej mam przegwizdane. Mógłby pan...?

– Mógłbym, ale pani na niej leży i powoli tracę czucie. Za to inne części ciała wyraźnie budzą się do życia.

Marzena straciła zainteresowanie czapką i skupiła uwagę na twarzy sprawcy całego zamieszania, rejestrując, że jest całkiem przystojny. Poczuła, że pokrywa się rumieńcem, i to nie tylko spowodowanym gniewem...

– No, wie pan co... – zachłysnęła się z oburzenia.

– Pewnie, że wiem. Najbardziej to wiem, że boli mnie... tylna część ciała. Właśnie to miałem na myśli.

– Och! – Marzena zaczerwieniła się jeszcze mocniej. Z większą energią zaczęła wstawać, zsuwając się z mężczyzny, gramoląc się na kolana, a następnie stając na nieco roztrzęsionych

nogach. W ostatniej chwili jej stopa ślizgnęła się na lodzie i kobieta ze zduszonym okrzykiem ponownie upadła na mężczyznę. Trzasnęło drugi raz.

– Niech to szlag! – Marzena zsunęła się z mężczyzny i sięgnęła do materiałowej torby po pudełko z kucykiem. Uniosła je na wysokość ucha i mocno potrząsnęła. Z grobową miną przysłuchiwała się melodii pogruchotanych części zabawki objających się o kartonowe opakowanie. – No i co pan narobił? – warknęła.

Mężczyzna usiłował się podnieść.

– Ja? Przecież to pani mnie przygniotła!

– Ale to pan ściał mnie z nóg! Nie umie pan chodzić jak człowiek?

– Szanowna pani wybaczy! – Mężczyzna podniósł się do pozycji klęczącej i dwornie uklonił się przed Marzeną. – Pani wybaczy, że osobiście nie dopilnowałem porządkowania chodników w mieście i że nadal są oblodzone! – ironizował.

– Co za tupet! – mruknęła.

– I tutaj muszę się zgodzić! Ma pani niezły tupet. Nie dość, że pani na mnie upadła i zgmiotła mi... mi... że zgmiotła mi pani żołądek, to jeszcze ma pani pretensje o zniszczone pudełko. Które sama pani zniszczyła.

– Nie zniszczyłabym, gdyby nie ściał mnie pan z nóg! – zawołała płacząc.

– A ja powtarzam, że to nie moja wina, że chodniki są oblodzone. W normalnych warunkach nawet bym przeboleł niedogodności związane z potłuczonymi pośladkami, ciesząc się, że upadłem u stóp pięknej kobiety, ale w takiej sytuacji... – Pokręcił głową. Marzena najeżyła się.

– W jakiej sytuacji? W jakiej sytuacji, pytam? Co mi pan tu insynuuje?

– No właśnie w takiej! Trzeba być pechowcem, naprawdę. Nie dość, że się potłuc, to jeszcze trafić na taką żołą! Robić awanturę z powodu pognieczonego pudełka, też mi powód!

– Proszę?! – Marzena zerwała się na równe nogi i ściskając w trzęsących dłoniach pudełko ze zniszczonym kucykiem, spojrzała na mężczyznę z góry. – Jest pan niewychowanym prostakiem i chamem. I dla pana wiadomości, to nie jest zwykłe pudełko, tylko wymarzony kucyk dla mojej córki. Którego ona nie dostanie, ponieważ panu zachciało się bawić w chodnikową Katarinę Witt!

Mężczyzna otworzył usta, jakby chciał rzucić ciętą ripostę, ale najwyraźniej dotarło do niego, jak bardzo zdenerwowana jest pochylona nad nim kobieta, bo tylko wpatrywał się w nią bez słowa. Zdumiona Marzena poczuła, jak coś delikatnie łaskocze ją po policzku. Była tak wzburzona, że nie zauważyła, kiedy popłynęły łzy. Nagle poczuła się beznadziejnie.

– Przepraszam... – bąknęła, wymijając mężczyznę i ruszając w kierunku budynku urzędu miasta. Gorączkowo ocierała wilgotne policzki. Trzymane w ręku pudełko przeszkadzało. Do tego przypominało radosne podniecenie na myśl o szczęściu Stasi i późniejsze rozczarowanie, kiedy usłyszała złowrogi chrzęst pogruchotanej zabawki.

Mijając kosz na śmieci, Marzena zatrzymała się. Zawahała się na moment, popatrując to na przepelniony pojemnik na odpadki, to na pognieciony kartonik z kucykiem. W końcu wcisnęła pudełko do kosza i odeszła szybkim krokiem w kierunku rynku.

Nie obejrzała się za siebie ani razu, więc nie widziała, jak mężczyzna z chodnika podszedł do kosza i wydobyl wyrzuconą zabawkę, a następnie wsunął pod kurtkę i odszedł w przeciwnym kierunku. Myślała tylko o tym, by zdążyć do hurtowni z zabawkami i kupić dla córki jakiś drobiazg.

Anna

Piątkowe popołudnie Anna Jurczyk postanowiła przeznaczyć na mycie okien. Waldemar zdecydował się wyruszyć na cotygodniowy rajd po sklepach, w czasie którego zapisywał aktualne ceny najważniejszych artykułów spożywczych, więc miała wolną rękę. Kiedy tylko za mężem zamknęły się drzwi, z wyrazem obrzydzenia na twarzy wylała wodę z octem, która według męża była skutecznym i tanim sposobem na błyszczące szyby. Z najciemniejszego kąta szafki pod zlewem wydobyła płyn ze spryskiwaczem i papierowe ręczniki. Waldemar był najbardziej skąpym mężem w miasteczku i musiał trzymać kontrolę nad dokonywanymi przez nią zakupami, ale pewne sprawunki można było przed nim ukryć. Szczególnie, że panicznie bał się mieszkających w szafce pod zlewem pajaków.

Anna zdążyła wyszorować futryny i parapety kuchennego okna, a następnie wypolerować szyby po zewnętrznej stronie, kiedy usłyszała skrobanie klucza w zamku. Pospiesznie zgarnęła przybory do mycia okien i ukryła je w piekarniku. Następnie odkręciła gorącą wodę i chlusnęła do miski solidną porcją octu. Dopiero wtedy wytarła dłonie i wyszła do przedpokoju.

Zachmurzony Waldemar zmieniał buty na kapcie. Notesik z zapisanymi cenami położył na blacie wąskiej komódki.

– Co tak szybko? – zdziwiła się Anna. Czy tylko jej się wydawało, czy Waldemar pokrył się rumieńcem?

– Ludzi w sklepie mnóstwo, powariowali chyba przed tymi świętami. Ciężko dopchać się do regałów i cokolwiek zobaczyć – mruknął ponuro. Anna wyczuła, że nie mówi jej prawdy. Przyjrzała mu się badawczo, ale on przygotował sobie kubek herbaty (bez cukru – bo był to już drugi kubek tego popołudnia), usiadł za stołem i zakrył się płachtą wczorajszej „Gazety Krakowskiej”. Zawsze czytał wczorajsze dzienniki. Zabierał je z portierni zakładu, w którym pracował.

Kobieta wydobyła z lodówki zwiędnięte cytryny i przekroiła je na pół. Następnie zaczęła nimi pocierać powierzchnię podniszczonej kuchenki gazowej. Ekologiczne i ekonomiczne, niech to szlag, sarkąła w myśli. Mąż odłożył gazetę na stół i przyglądał się jej działaniom spod zmarszczonych brwi.

– Ale ty wiesz, jak cytryny poszły w górę? – jęknął.

– Tak? – Anna obejrzała się przez ramię.

– Kosztują już piętnaście złotych za kilogram. Ten nowy rząd niczego nie potrafi dopilnować, ledwie zaczęli rządzić i już cytryny podrożały. – Anna skwitowała jego słowa uprzejmym „aha”, więc dodał: – Sto procent. Może nawet sto pięćdziesiąt.

– Procenty procentami, a mnie by się przydało mleczko cytrynowe zamiast cytryn...

– Cytryny podrożały, to i mleczko też. Z czegoś przecież je robią.

– Z dupy chyba – mruknęła pod nosem Anna, zahaczając paznokciem kciuka o najmniejszy palnik.

– Więc skoro te cytryny takie drogie, to może jeszcze nimi nie czyść? – Waldemar nie dosłyszał słów żony, nie zauważył też furii w jej oczach. – Może najpierw spróbujemy je wycisnąć do herbaty?

Anna pomyślała, że właściwie to mogłaby wycisnąć te cytryny. Najchętniej na nosie swojego męża, który z zadowoloną miną kartkował gazetę i usiłował doczytać wiadomości w

miejscu, gdzie ktoś wyciął kupon rabatowy i pozostawił dziurę dziesięć na dziesięć. Już nawet zrobiła kroczek w kierunku stołu, ściskając twardy jak skała owoc i ssąc obolały koniuszek kciuka, kiedy zabrzączał dzwonek.

W progu stała zziębnięta pani Michalska z parteru.

– Sprawę mam – huknęła.

– A ja migrenę – mruknęła Anna, oglądając się w kierunku kuchni.

– Waldek ci nie mówił? – dopytywała staruszka, gramoląc się do przedpokoju.

– A o czym?

Waldemar zmaterializował się w przedpokoju i sięgnął po gruby sweter. Spojrzał ponuro na sąsiadkę.

– Pójdę do piwnicy po kompot.

– Tylko nie siedź tam pół godziny, bo zimno jest – zawołała Anna. – Ile można wybierać kompot do obiadu? – Spojrzała na sąsiadkę. – A o czym mi nie powiedział? – dopytywała, prowadząc panią Michalską do kuchni.

Sąsiadka zasiadła za stołem z głośnym stęknieniem i obserwowała, jak Anna wspina się na palce i sięga po wąski wazon stojący na górnych szafkach. Kiedy gospodyni przechyliła naczynie i wydobyła ze środka mleczko w charakterystycznej żółtej butelce, pani Michalska pomyślała, że niektórzy ludzie przechowują środki czystości w dziwacznych miejscach. Ich rzecz, pomyślała, wzruszając ramionami. Przyszła tu w innej sprawie i teraz zaczęła ją wyłuszczać przed Anną.

– Choinka? – Kobieta przerwała szorowanie kuchenki i posłała staruszce zdumione spojrzenie. – Przed blokiem? Ale po co?

– Po co, po co... Blok to nasz dom, tak? Mieszkamy tutaj wszyscy, na dobre i na złe. Niektórzy bardziej na złe, ale ja się tam nie wtrącam, ich rzecz. A w domu się choinkę ubiera, tak? Więc pomyślałam, że miło by było, gdyby wszyscy mieszkańcy ubrali razem choinkę. Moglibyśmy spotkać się, porozmawiać. A potem moglibyśmy kołędę zaśpiewać albo opłatkiem się podzielić.

– Pomysł ładny, ale skąd weźmiemy choinkę? – zaniepokoiła się Anna.

– A po co brać? – Pani Michalska machnęła ręką w kierunku okna. – Przecież rośnie.

Anna rzuciła okiem na podwórko i zatrzymała spojrzenie na chuderławej jodełce.

– To nie przypomina choinki. – Pokręciła głową.

– A co przypomina, słoniu? – westchnęła głośno sąsiadka. – To jesteście umówione. Teraz pójdę do Fijusów, choć trochę się boję. Kajtek miał dzisiaj wyraźnie opuchnięte oko. Obawiam się, czy Zuzanna mu nie wtłukła.

Kiedy za sąsiadką zamknęły się drzwi, Anna upchnęła butelkę mleczka w wysokim wazonie i odstawiła naczynie na meble. Przez chwilę obserwowała wiotkie gałązki jodełki kołyszące się na wietrze, a potem podeszła do kuchenki, wycisnęła kilka kropel soku i roztarła je zmiądzonym owocem między palnikami. Wciągnęła nosem powietrze i zadowolona z efektu zapachowego, ruszyła do kosza na odpadki, aby wyrzucić pozostałości po cytrynie. W ostatniej chwili zawahała się, spojrzała w kierunku stołu, następnie w stronę drzwi wejściowych, ponownie stołu, w końcu z lekkim, złośliwym uśmiechem podeszła do męzowskiej herbaty i z całych sił wycisnęła do niej resztkę owocu. Zadowolona z siebie dokończyła porządków, myśląc o rosnących cenach cytrusów.

Kajetan

Ten wieczór w małżeńskiej sypialni Fijusów miał przebiec wyjątkowo.

A przynajmniej tak się wydawało Kajtkowi.

Podczas rodzinnej kolacji ukradkowo przyglądał się żonie. Kiedy Zuzanna podawała mu maselniczkę, zauważył, jak mocno błyszczą jej oczy. Szczególnie jedno. Natychmiast zinterpretował to na swój użytek, biorąc za zapowiedź gorących figli z wykorzystaniem czarnych, koronkowych majteczek. Na samą myśl oblizal się łakomie.

Kiedy po dwudziestej pierwszej z minutami Agata zamknęła za sobą drzwi pokoju, a Zuzanna odplynęła do łazienki, by zażyć wieczornej kąpieli, Kajetan zatarł dłonie i rzucił się do szuflady z bielizną. Przecież do tak obiecujących ekscesów z żoną musiał się przygotować, jak należy! Długo grzebał między wygodnymi, nieco rozciągniętymi bokserkami, aż w końcu natrafił na porzucony w samym kącie, nieco wysłużony kartonik z mocno wyciętymi slipami. Kajetan dostał je w prezencie od żony wiele lat temu, ale nigdy ich nie nosił. Owszem, przymierzył, ale ostatecznie doszedł do wniosku, że uciskają go tu i ówdzie, więc woli luźniejsze bokserki. Ale wieczór z żoną był wart takich poświęceń.

Kajetan tak silnie zaaferował się wyborem bielizny, że przegapił moment, kiedy żona opuściła łazienkę. Dostrzegłszy, że zawinięta we frotowy szlafrok Zuzanna wsunęła się pod kołdrę, kładąc na kolanach powieść z biblioteki, szybko pobiegł pod prysznic. I chociaż podniecenie wprost pchało go w kierunku małżeńskiej sypialni, stał pod strumieniem wody znacznie dłużej. Po kąpieli wyperfumował się, nastroszył wilgotne włosy i założył slipki.

Dziwne, pomyślał nieco stropiony, nie sądziłem, że bielizna może się kurczyć od leżenia w pudełku!

I chociaż gumka od majtek uwierała go poniżej pępka, a w pewnych miejscach było zdecydowanie zbyt ciasno, Kajetan dokonał kilku poprawek, przesunął to, co wsunęło się nie tam, gdzie powinno, zasłonił to, co odsłonięte (póki co) być nie mogło, zerknął w kierunku zawieszzonego nad wanną lustra, wciągnął brzuch, naprężył mięśnie, wypuścił nagromadzone w płucach powietrze, nałożył na dłonie nieco wody po goleniu i porządnie wytrzaskał się po twarzy. Na koniec odwrócił się do lustra tyłem, wypiął pośladki, z zadowoleniem rejestrując fakt, że materiał ładnie się na nich opina (choć nie wiadomo czemu odrobinę trzeszczy...), po czym założył szlafrok i dziarskim krokiem ruszył w kierunku sypialni.

Z zadowoleniem przyjął fakt, że w pokoju panuje półmrok. Zuzanna odłożyła książkę i zanurkowała pod przykrycie, ale pozostawiła włączoną niedużą lampkę. W jej świetle Kajetan przemknął w kierunku łóżka, po drodze gubiąc szlafrok i poprawiając wciskające się między pośladki majtki. Odsunął kołdrę i wskoczył na posłanie, przytulając się do żony. W wyobraźni poczuł dotyk delikatnych koronek i miękkiego ciała.

Rozczarowany zarejestrował, że Zuza nie pozbyła się szlafroka. Cóż, trzeba ją do tego subtelnie namówić! Delikatnie pocałował ją w kark, ponieważ wiedział, że to uwielbia. Żona mruknęła coś pod nosem i poruszyła się niespokojnie. Biorąc to za zachętę, Kajtek przysunął się jeszcze bliżej, czując, jak bielizna zaciska się na pewnych częściach jego ciała niczym stalowe obręcze. Pogmerał palcami, odciągając materiał od pośladków, a następnie przesunął nimi w kierunku brzucha żony. Z zadowoleniem stwierdził, że Zuzanna przysuwa się do niego i wyplątuje z szlafroka. Wniebowzięty Kajtek zamknął oczy.

Oczyrna wyobraźnia ujrzał seksowną bieliznę opinającą krągłości Zuzanny, więc kiedy jego dłoń zacisnęła się na rąbku bawełnianego podkoszulka, z wrażenia szeroko otworzył oczy i poczuł, jak mocno bije mu serce. Było to tak zaskakujące i nieprzewidziane, że bez chwili namysłu odrzucił okrycie.

Widok Zuzanny owiniętej przydużym podkoszulkiem z grafiką gigantycznego owocu między piersiami wstrząsnął nim tak mocno, że wydał z siebie zduszony okrzyk. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że w jego łóżku leży obca kobieta! Zirytowana żona uniosła się na łokciu.

– Co się stało? – zapytała.

– Nie wiem... – Wpatrywał się w nią zdumiony.

– Co cię ugryzło?

– Nie mam pojęcia. Może jakiś pajak? – Zaczął wyplątywać się z kołdry.

– Pajak? Jaki pajak? – Zuza strzepnęła poduszkę i uśmiechnęła się do niego zachęcająco, poklepując miejsce obok siebie. – Kochanie, jest grudzień. Pajaki śpią. A przynajmniej tak mi się wydaje. Wracaj do mnie.

Wytracony z równowagi Kajetan zerwał się z łóżka, rejestrując głośny trzask dartego materiału, i pospiesznie schylił się po porzucony szlafrok. Owinął się nim szczelnie i spojrzał z góry na zdumioną żonę. Truskawka. Miała między piersiami dorodną truskawkę. Na dodatek uśmiechniętą.

– Muszę się napić – wydukał, wycofując się z pokoju.

Stojąc przy otwartej lodówce i studząc rozgrzane ciało maślanką pitą prosto z kartonu, Kajetan pomyślał, że banan i truskawka to całkiem udane połączenie, ale wyłącznie w postaci napoju mlecznego. Ponieważ sam czuł się jak obdarty ze skórki, przerzuty i wypłuty banan, z truskawkami nie chciał mieć nic wspólnego. Znacznie bardziej podobały mu się czarne koronki, ale one nie wiadomo dlaczego zniknęły. Ciekawe gdzie? – zastanawiał się w myślach Kajtek, popijając zimną maślankę. – Czyżby zostawiła je na inną okazję? Bo przecież nie... – Nagła myśl zmroziła Kajetana silniej niż schłodzona maślanka. A jeśli Zuzanna kupiła czarne majteczki z myślą o innym mężczyźnie? Tak, to by wszystko tłumaczyło! Czarne koronki dla tamtego, a dla niego, Kajetana, bawełniany podkoszulek i aseksualna truskawka!

Załamany mężczyzna poszedł wraz z maślanką do łazienki i wylał cały napój do sedesu, dokładnie umył dłonie i schłodził rozpaloną twarz lodowatą wodą. Następnie ściągnął z suszarki wygodne bokserki i z ulgą zsunął z siebie niewygodną bieliznę.

– Ale ze mnie idiota! – mrucał pod nosem. – To ja wymyślam złote łańcuszki srajtuszeki, a ona mi rogi przypawia? – Natychmiast postanowił, że podarunek dla Zuzanny ukryje w najciemniejszym kącie szuflady i nie sięgnie po gustownie ozdobione pudełeczko, póki się nie przekona, że żona jest mu wierna!

Kiedy wrócił do sypialni, Zuzanna zachęcająco odsunęła kołdrę i ponownie poklepała miejsce obok siebie. Kajetan stanął jak wryty, zatrzymując się spojrzeniem na wysokości jej biustu. Czy to tylko takie wrażenie, czy truskawka naprawdę uśmiechnęła się do niego szyderczo? Mężczyzna przełknął zbierającą się w ustach ślinę i powoli podszedł do łóżka. Ułożył się na wznak, naciągnął kołdrę i splótł dłonie na brzuchu.

– Zostawimy światło? – zaszemrało przy jego prawym uchu.

– Nie, lepiej wyłączmy – wybąkał.

– Jak wolisz... – W głosie Zuzanny wyczuł lekkie rozczarowanie. – Ale może jednak zostawimy?

– Nie, nie. Szkoda prądu.

Pstryknęło gaszone światło i pokój pograżył się w ciemnościach. Kajetan leżał bez ruchu i wsłuchiwał się w przyspieszony oddech żony. Zuzanna przysunęła się do niego nieznacznie, po

czym przerzuciła nogę nad jego biodrem i położyła dłoń w okolicy pępka. Mężczyzna wciągnął powietrze, a potem stanowczo odsunął jej rękę. Zuzanna poderwała się do pozycji siedzącej.

– O co ci chodzi?

– Mnie? O nic.

– Jak to o nic? Odniosłam wrażenie, że coś zaczęliśmy, zanim wybrałeś się na wycieczkę do kuchni?

– Tak? Nieee, musiało ci się zdawać.

– Wobec tego może... – Dłoń Zuzanny przesunęła się po klatce piersiowej męża w wymownym geście.

– Lepiej chodźmy już spać.

– Żartujesz sobie, prawda?

– Wcale. Jest późno, a jutro musimy wcześniej wstać.

– W sobotę?!

– Och, jestem pewien, że mamy coś do zrobienia. Porządki jakieś, świąteczne na przykład. Wytrzepiemy dywany albo wyszorujemy piekarnik. Przyniosę choinkę i sprawdzę, czy gałązki się nie odkleiły...

– Odkle...iły? Kajtek, czy ty bredzisz, bo masz gorączkę?

– Nie, ja po prostu jestem bardzo sennysenny. – Ziewnął przeciągle. – Dobranoc.

Zuzanna opadła na poduszkę bez słowa i ostentacyjnie odwróciła się plecami, zrywając z męża całą kołdrę. Przez chwilę walczył z pokusą, by zrobić to samo, ale ostatecznie machnął ręką. Przetoczył się na lewy bok i mocno zacisnął oczy. Sypialnia Fijusów pograżyła się w głębokiej ciszy przerywanej jedynie szumem nielicznych samochodów przejeżdżających pobliską ulicą Mickiewicza.

Po jakimś czasie Kajetana dobiegł spokojny oddech żony, ale sam jeszcze długo nie mógł zasnąć. Zastanawiał się, jaki wymiar kary został przewidziany dla męża dokonującego zemsty na mężczyźnie, dla którego jego żona zakłada czarne koronki. I czy bliskie spotkanie oka z porożem reniferka w salonie jubilerskim nie było czasem złowrogą wróżbą.

Monika

W poniedziałkowy poranek Monika Kwiatek zdecydowała, że najwyższa pora rozwieść się z mężem. Ewentualnie roztrzaskać mu łepetynę z wykorzystaniem nowej patelni do naleśników.

Podczas śniadania Jakub zasugerował, że właściwie to wygodniej byłoby, gdyby do końca roku mamusia mieszkała z nimi. Wtedy ona, Monika, miałaby więcej czasu, żeby przygotować się do świąt.

– Po moim trupie – odparła, po czym zreflektowała się i poprawiła: – Czy raczej twoim.

– Bądź rozsądna, kochanie! – Zadowolony z siebie Jakub sięgnął po maselniczkę. – Przecież wszystko robię dla twojego dobra. Nie chciałaś spędzić świąt w domu mamy, więc to najlepsze rozwiązanie. Mama pomoże ci w opiece nad Piotrusiem i w świątecznych porządkach.

– Ale ja nie potrzebuję pomocy!

– Uhm. – Spojrzenie przezuwającego Jakuba wymownie powędrowało w kierunku zlewu, gdzie odmaczała się miska po jej ostatnich kuchennych eksperymentach. – Ale musisz wiedzieć, że ja już zaprosiłem mamę, więc...

Monika poczuła, jak ogarnia ją złość.

– Czy ja naprawdę nie mam nic do powiedzenia? Dlaczego robisz takie rzeczy za moimi plecami?

– Kochanie, przecież do dla tw...

– Och, wypchaj się! – Rozzłoszczona rzuciła kromką ciemnego pieczywa. Chleb upadł w sam środek maselniczki, bryzgając miękkim masłem wprost na koszulę Jakuba. Monika zauważyła, jak oczy jej męża ciemnieją z gniewu, i poczuła satysfakcję. Mężczyzna wstał z za stołu i wyszedł do pokoju, aby zmienić ubranie. Kiedy wrócił, był już opanowany, ale gdy odezwał się do niej, jego głos był lodowaty:

– Przecież widzę, że opieka nad Piotrusiem i zajmowanie się domem są ponad twoje siły. Wciąż powtarzasz, że nie wiesz, co będzie najlepsze dla małego, ciągle szukasz porad w książkach i internecie. Przesuwasz dywan, jeśli wyczytasz, że pod innym kątem lepiej wpływa na rozwój percepcji wzrokowej. Analizujesz chrupki kukurydziane pod kątem składników odżywczych. Zdecydowałem, że trzeba ci pomóc. Chcę, żebyś była szczęśliwa. Teraz nie masz czasu na nic innego tylko na niańczenie Piotrka i te głupie książki!

Monika nie odpowiedziała na zarzut męża. Uparcie wpatrywała się w talerz. Kuba założył płaszcz, a potem nachylił się i pocałował ją w czubek głowy.

– Mama zamieszka z nami na kilka dni, może tygodni. Doradzi ci przy opiece nad Piotrusiem, dopóki nie nabierzesz pewności siebie. Poza tym wspaniale będzie przeżyć razem ten czas przygotowań do gwiazdki, prawda?

Stuknęły zamykane drzwi. Monika uderzyła pięścią w blat stołu, wprawiając w drżenie stojące na nim naczynia.

Tak bardzo cieszyła się na pierwsze święta synka!

To miał być wyjątkowy czas.

To miały być nasze święta! – pomyślała.

Planowała, że pierwszą choinkę synka ubiorą we trójkę. Już w listopadzie kupiła nietłukące ozdoby ze słomy i sznurka. Upiekła pierniczki, aby przed nadejściem świąt zdążyły

pozbyć się twardości. Spędziła dwie bezsenne noce, główkując, jak rozwiązać kwestię przewodów przy lampkach choinkowych, które mogłyby być zagrożeniem dla raczkującego chłopca. Pogodziła się z myślą, że Wigilię spędzą w towarzystwie mamy Kwiatek i że będzie zmuszona bronić synka przed każdym kęsem podsuwanego na widelcu ciasta pierogowego, ale to? Zamieszkać z teściową pod jednym dachem? Pod obstrzałem jej spojrzeń wieszać firanki, pucować flizy i skrobać boki karpia z łusek?

Monika poczuła, że sama stała się karpem. Złapanym na haczyk, przyduszonym foliowym workiem i otoczonym rekinami.

Czy raczej jednym rekinem płci żeńskiej i jednym błazenkiem.

Maciej

W poniedziałkowy wieczór, kiedy po powrocie z pracy Jakub Kwiatek zastanawiał się nad dziwną oziębłością swojej żony, Maciej postanowił w końcu odwiedzić miejscową plebanię, aby rozegrać partyjkę szachów i dowiedzieć się, jaką sprawę ma do niego przyjaciel w sutannie.

Ksiądz Wojtek powitał Maćka mocnym uściskiem ręki i zaprosił do pokoju. Na niskim stoliku czekała już rozłożona szachownica. Gospodarz oddalił się do kuchni, aby zaparzyć herbatę, a Maciek z głośnym stęknieniem usiadł przy stole. Przez chwilę rozmasowywał okolice prawego pośladka, co nie uszło uwadze wikarego. Podobnie jak reklamówka, którą mężczyzna troskliwie ułożył na parapecie.

– Wybacz żart, ale czy wuefista nie powinien być w lepszej formie? – zauważył, stawiając przed przyjacielem kubek z mocną herbatą.

– Jak na pokornego sługę bożego jesteś cholernie wyszczekany – jęknął Maciej, krzywiąc się boleśnie. – Wybacz cholernie.

– Wybaczam. Co się stało?

– W sumie nic wielkiego. Taka jedna ślicznotka trochę po mnie poskakała.

– Boże, miej litość! Ile razy mam ci powtarzać rozpustniku, że nie interesują mnie twoje podboje w sypialni?

– A kto mówi o sypialni? – zdumiał się Maciek. – Twoje myśli są bardziej włochate niż materiał sutanny. A jeśli już o niej mowa, gdzie Merry?

Merry, puchata kotka wikarego, odznaczająca się gabarytami sporej lodówki turystycznej, wiecznie pozostawiała na ubraniu Wojciecha szare kłaczki. Od czasu do czasu robiła wyjątek dla Maćka i gubiła futerko na jego kolanach.

– Ma dzisiaj wychodne. Ale prosiła, żeby cię zapytać, czy ten śliczny, różowy kucyk jest dla niej.

– Och, to... – Maciek miał minę kogoś, kto właśnie przygryzł sobie czubek języka.

– No, proszę! Rumienisz się! Masz na oku nową panią, a ona ma dziewczynkę w wieku kucykolubnym? – Ksiądz Wojciech zaśmiał się znacząco.

– Nie, to nie tak... – Maciek kręcił głową, zastanawiając się w duchu, ile może zdradzić przyjacielowi. Zazwyczaj mówili sobie wszystko. Albo niemal wszystko. I naprawdę nie miał nic przeciwko, by opowiedzieć Wojtkowi o niespodziewanym upadku i spotkaniu z kobietą, których następstwem był pogruchotany kucyk. I o tym, że kiedy w końcu udało mu się wstać, ruszył za nią i widział, jak wyrzuca kartonik do kosza. I o tym, że zabrał popsutą figurkę i poszedł do najlepiej zaopatrzonego sklepu z zabawkami w miasteczku, by nabyć nowego konika. Nie potrafił jednak zdobyć się na to, by opowiedzieć Wojciechowi o kłótni na chodniku i łzach matki, której w końcu udało się kupić wymarzoną zabawkę dla córki. Cholera, było mu wstyd.

– Zostawmy zabawki i skupmy się na tobie – zaproponował szybko, a widząc zdumioną minę księdza, wyjaśnił: – mówiłeś, że masz do mnie sprawę? W związku z moim wychowawstwem w 2a?

– A tak, rzeczywiście – zreflektował się ksiądz Wojtek, przesuwając figurę po szachownicy i rozpoczynając grę. – W tej klasie jest pewna dziewczynka, Stasia... – i pokrótce nakreślił Maciejowi istotę problemu.

– Mówisz, że jest samotna?

– Zauważyłem, że izoluje się od dzieci, a one od niej. Wiem jednak z doświadczenia, że takie dzieciaki często chcą być częścią grupy, mieć przyjaciół, spędzać z nimi czas, tylko... nie wiedzą, jak przełamać lody. Dziewczynka jest bardzo wrażliwa. Martwi się, że nie spełnia oczekiwań mamy. Poprosiła Świętego Mikołaja, aby zmienił ją w taką, z jakiej mama byłaby dumna! Wydaje mi się, że matka poświęca jej trochę za mało czasu...

– Wezwę ją na dywanik! – zawołał zadowolony z siebie Maciek.

– Idź ty, sam się wezwij! Zupełnie nie rozumiesz, w czym rzecz – rozłościł się Wojtek. – To jest samotna matka, która bierze każdą dniówkę w pracy, żeby zarobić na utrzymanie swoje i córki. Wiem, że nie zaniedbuje Stasi celowo. Po prostu trzeba coś zrobić, żeby dziewczynka zrozumiała, że matka jest z niej dumna, że ją kocha. Wiara w siebie jest temu dziecku bardzo potrzebna.

– A może wystarczy porozmawiać z tą matką? Tak delikatnie? Wywiadówka już co prawda była, ale...

– Próbowałem. Poszedłem do marketu, ale była bardzo zajęta. Potem próbowałem złapać ją w domu, ale...

– Co: ale?

– Powiedzmy, że mają dobre zabezpieczenia przy wejściu.

– Gryzącego psa?

– Gorzej. Zgryźliwą dozorczynię.

– Przestraszyłeś się staruszki z miotłą? Ha, ha, ha! Myślałem, że babulinki wielbią was za ten mały biały kwadracik pod brodą!

– Ta woli połamanych wuefistów – prychnął Wojciech, a potem spojrzał na przyjaciela z namysłem. – A może ty spróbujesz? Przecież nie boisz się staruszki z miotłą? – zakpił.

– Pewnie, że spróbuję. – Maciek wzruszył ramionami, posykując przy tym z bólu. – A poza wizytą masz jakiś pomysł?

– Mam. – Książd Wojciech odsunął kubek ze stygnącą herbatą i pochylił się nad stołem. – Posłuchaj...

Zuzanna

– Trzynasty grudnia, wtorek. Do świąt pozostało dziesięć dni. Mam zakurzone szafki, niewykrochmalone obrusy, nieupieczone pierniki, zatłuszczony piekarnik i niewiernego męża – obwieściła Zuzanna, przechylając kieliszek czerwonego wina.

– I fiu-bździu w głowie – dodała Karolina. – Kto przejmuje się zatłuszczonym piekarnikiem? Przecież i tak go nie widać! Hej, czy ty to wino brałaś z najniższej półki? Tej po cztery pięćdziesiąt? Bo strasznie piecze w przełyk!

– Brałam je z myślą o gotowaniu bigosu. Skąd miałam wiedzieć, że będę nim podlewać bigos, którego narobił mój własny mąż?

– Do bigosu musisz kupić lepsze. Uwielbiam twój bigos, szkoda, żeby nie wyszedł. A teraz powtórz to jeszcze raz: skąd wiesz, że Kajtek ma kochankę?

– Przecież mówiłam już trzy razy! Odmówił mi bara-bara!

Karolina parsknęła śmiechem, plując czerwonym winem.

– Uwielbiam, jak po pijaku wymawiasz bara-bara. To brzmi, jak barrra-barrra – zamruczała.

– To nie jest śmieszne! – obraziła się Zuzanna. – Najpierw ochoczo zabrał się do rzeczy, a nagle jakby piorun w niego strzelił. Uciekł do kuchni i kiedy wrócił, był już innym człowiekiem. Nawet na mnie nie spojrzął, a gdy dotknęłam go, o tutaj – zademonstrowała na wysokości własnego pępka – strzepnął moją rękę, jakby była włochatym pajakiem. – Chlipnęła.

– Oj, Zuzka, Zuzka! Bo ty to się zabierasz jak smok do makowca. Kto maca męża po pępku?

– Chciałam tak subtelnie, zmysłowo, nawet światło zostawić usiłowałam i paznokcie opiłowałam tak ładnie, wszystko na nic. – Żaliła się Zuzanna. Wytarła nos rękawem kraciastej bluzki, dodając: – W sobotę próbowałam już klasycznie.

– To znaczy jak? – zainteresowała się Karolina.

– No, tak normalnie. Poszłam się wykąpać. Potem założyłam nową koszulkę. Przeszłam do sypialni, kiedy on leżał już w łóżku, zrzuciłam szlafrok i zaproponowałam: kochanie, może podrapiesz mnie po plecach?

Przyjaciółka parsknęła śmiechem.

– Może od razu trzeba było zapytać, czy nie chciałby z tobą froterować płytek podłogowych?

Zuzanna pominęła tę uwagę milczeniem i kontynuowała:

– Spojrzął na mnie nieprzytomnie i powiedział, że jest bardzo senny. I że może innym razem.

– A w niedzielę też próbowałaś?

– Pewnie! W niedzielę położył się do łóżka dopiero, kiedy zasnęłam. Czekałam do drugiej, w końcu zmęczenie zwyciężyło. – Zniechęcona Zuzanna potrząsnęła głową. – Unika mnie, bo ma inną kobietę! To jedyne wytłumaczenie!

– Tak, to klasyczne objawy – z żalem, ale i z leciutką satysfakcją przyznała Karolina. – Co teraz zrobisz?

– Cóż, chyba zabiorę się za szorowanie tego piekarnika. Nie chciałabym piec świątecznych ciast w takim zatłuszczonym...

– Zuzanno Fijus! Jeżeli w tej chwili naprawdę myślisz o polerowaniu szybki w piekarniku, to Bóg mi świadkiem, wyrwę to cholerstwo razem z przewodami i roztrzaskam na twojej głowie!

– A co mam zrobić?

– Masz! – Karolina podsunęła przyjaciółce zgnieciony karteluszek. – To mój gwiazdkowy prezent dla ciebie!

Zuzanna odstawiła kieliszek i sięgnęła po mocno sfatygowaną karteczkę. Czerwone wino znakomicie nadawało się do podlewania bigosu i małżeńskich zdrad, ale wzroku niestety nie wyostrzało, więc musiała lekko przymrużyć jedno oko, by w ogóle dostrzec, co zapisano na kartelusku.

– Agencja detektywistyczna *Kalina na tronie*? Co to? Reklama sedesów?

– Na tropie, ślepa pało!

– A, rzeczywiście. Tu się zamazało. Po co mi to?

– Dostałam namiar na tę babkę, kiedy podejrzewałam Romka, że ma kogoś na boku. Co prawda nie zdążyłam sprawdzić, bo mnie porzucił, ale może tobie się przyda. Słyszałam, że pani Radecka-Piórecka jest niezłą kosą na niewiernych mężów. I że ma psa, który w kluczowym momencie wgryza się w męskie genitalia.

– Nie! – zawołała zachwycona Zuza.

– Tak! Niektórzy twierdzą, że to legenda miejska, ale ja bym chętnie sprawdziła. Nie na swoich genitaliach, rzecz jasna. Ale na genitaliach twojego męża.

– Jeśli ma – zastrzegła Zuzanna. – Kochankę, jeśli ma, bo genitalia jeszcze tak. Ale może pani Radecka-Piórecka nie znajdzie dla nas czasu w przedświątecznej gorączce?

– Znajdzie. Już do niej dzwoniłam. – Karolina rozlała wino i stuknęła swoim kieliszkiem w ten trzymany przez lekko oszołomioną Zuzannę. – Dawaj jaja, Kajtek!

Stasia

Incydent z Kasią nie przeszedł bez echa. Nim wychowawczynie 2a zdążyła choćby pomyśleć o wieszaniu świeżych firanek i wdrapywaniu się po stromych stopniach chybota drabiny, wykonała telefon do rodziców obydwóch dziewczynek. Stasia przyjęła awanturę ze spokojem, ale jej koleżanka nie potrafiła przejść nad tym zdarzeniem do porządku dziennego i przez kolejne dni dokuczała Stasi. Podczas jednej z przerw podeszła do niej z ponurą miną.

– Miałam dostać pod choinkę nowego tableta. – Zalała się łzami. – Mama nigdy mi go nie kupi, nigdy. To twoja wina! – oskarżyła Stasię. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Trzeba było nie zabierać mi zeszytu.

– Nie obchodzi mnie twój głupi zeszyt.

– A mnie twój głupi tablec.

– Nawet nie wiesz, co to jest. – Kasia wsunęła różowe pasemko włosów za ucho i spojrzęła z wyższością na koleżankę. – Inaczej byś tak nie mówiła!

– Właśnie, że wiem. I uwierz: podrabiany kalkulator z rysikiem nie zastąpi ci mózgu...

Dyskusja między miłośniczką gadżetów elektronicznych a amatorką tradycyjnych notesów ponownie przeniosła się na szkolną podłogę. Tym razem różowe pasemko zostało poważnie uszczuplone.

Pół godziny później wojowniczkę stanęły przed obliczem nowego wychowawcy, przyglądając mu się z mieszaniną fascynacji, ciekawości i nabożnego lęku. Maciej starał się przybrać surowy wyraz twarzy, ale nie potrafił zachować powagi. Widząc jednak, że dziewczynki wyraźnie się rozluźniają, huknął na nie donośnie.

– Co to ma być? Wyrwane włosy? Podrapane szyje? Potargane bluzki? Wy, dziewczyny, i bójka? Powinnyście latać na różaniec, a nie obtłukiwać się po kątach!

– Teraz są roraty – zauważyła trzeźwo Kasia.

– Guzik mnie to obchodzi. Zachowujecie się skandalicznie – warknął. – Jezusek nie przyniesie wam prezentu – dodał złowrogo, widząc, że jego przemowa nie robi na nich żadnego wrażenia.

– Jezusek nie przynosi prezentów.

– Nie?

– Tylko miłość. Tak mówi ksiądz Wojtek.

– Wobec tego słuchajcie księdza, to równy chłop.

– Co to znaczy równy chłop? – zainteresowała się Stasia.

– Jesteś za mała, żeby to zrozumieć. – Machnął ręką. – Wiecie, że mam się z wami męczyć, dopóki cycatej nie zrośnie się noga?

– Komu? – zapiszczały.

– Komu? – stropił się. – Pyskatej. Przecież mówię, że pyskatej. O waszej wychowawczynie mówię. Pyskata jest, no nie?

– Tata mówi, że cycata. – Kasia wzruszyła ramionami. – Ale może się myli, bo zawsze gdy tak mówi, mama bije go po głowie i mówi: ty jełopie.

– Co to znaczy jełop? – zainteresowała się Stasia.

– W tym wypadku to samo co równy chłop – wyjaśnił Maciek. – Ale zachowajcie to dla siebie.

– Zadzwoń pan do rodziców? – zaniepokoiła się Kasia. Maciek spojrzał z namysłem na przestraszone dziewczynki. Wyglądały jak dwa aniołki, ale z pewnością miały za skórą rogatego diabełka. Obydwie. Choć nie pały do siebie sympatią, były zadziwiająco podobne. W jego głowie zakiełkował pomysł, który szybko połączył się z pomysłem, jaki wyłuszczył przed nim ksiądz Wojciech.

– Mam nie dzwonić? – zapytał z dziwnym uśmiechem. Kasia i Stasia spojrzały na siebie zdziwione, po czym szybko potrząsnęły głowami.

– Nie!

– Ale muszę wam wymierzyć jakąś karę... Inaczej nie będziecie mieć nauczki i nigdy nie zmądrzejecie...

– Nie!

– Wolicie karę czy telefon do rodziców?

– Karę! – wrzasnęła Kasia. Stasia zawahała się na moment, spojrzała na koleżankę, w końcu westchnęła i skinęła głową.

– Karę... – mruknęła.

– Doskonale! Wiecie, gdzie w rynku jest kościółek? – Dziewczynki pokiwały głowami. – Ksiądz Wojtek chce, żeby w tym roku przed ołtarzem stanęła szopka. Ale nie taka zwyczajna. Wszystko musicie wymyślić same. Nawet Jezuska. I musicie zrobić to razem, współpracować i... nie wolno wam się bić. Nie ma takiej możliwości. Dacie radę?

W napięciu czekał na decyzję, w końcu dostrzegł dwa ledwo widoczne skinienia małych główek. Niezła zabawa, pomyślał. Wojtek będzie zachwycony. Mam świetne pomysły. Jestem urodzonym wychowawcą.

Anna

Anna Jurczyk miała trzydzieści osiem lat. Od szesnastu była żoną prawdopodobnie najbardziej skąpego mężczyzny w promieniu dwustu kilometrów. Kochała męża, choć regularnie podnosił jej ciśnienie swoimi niedorzecznymi pomysłami.

Potulnie wysiadała z busa na przystanku pod dawnym Świtem, bo kierowca liczył za bilet pięćdziesiąt groszy taniej. Biegała od sklepu do sklepu, aby kupić zapałki. Ukrywała po ciemnych kątach mleczka do czyszczenia powierzchni, płyny do szyb i kremy do rąk. Cerowała chińskie skarpety, które wydawały się już prosić, by pozwoliła im dokończyć żywota w kubie na odpadki. Jednego jednak nie potrafiła Waldemarowi wybaczyć i właśnie w tym przeświadczeniu zbudziła się w poranek piętnastego grudnia. Przez moment leżała bez ruchu, wsłuchując się w spokojny oddech śpiącego obok męża i głośne bicie własnego serca, po czym wstała, aby ugotować dla Waldemara jajko na miękko.

Uśmiechała się pod nosem.

Podjęła decyzję i nic nie było w stanie jej od odwieść.

Odczekała, aż mąż zasiądzie do śniadania i obstuka czubek jajka łyżeczką od herbaty. Poczekala także do momentu, w którym zetnie wierzch jajka nożem do masła i weźmie w usta pierwszy kęs. A wtedy wypuściła z płuc całe nagromadzone powietrze i obwieściła:

– Będziemy mieli dziecko.

Konsumujący jajko Waldemar zastygł z wytrzeszczonymi oczyma i osłupiałym wyrazem twarzy. Gdyby na jego miejscu siedział ktoś inny, z pewnością wyplułby zgromadzone w ustach jedzenie, dając ujście wielkiemu zaskoczeniu. Anna znała jednak swego męża jak nikt i doskonale wiedziała, że będzie wołał tkwić w przepełnionym oszołomieniem i przerażeniem milczeniu, niż uronić choćby okruszek konsumowanego posiłku.

Obserwowała, jak jego twarz blednie, czerwienieje, przybiera odcień fioleto, by ponownie przejść kolorystyczne przeobrażenie, powrócić do trupiej bledności i ostatecznie zatrzymać się na barwie przegotowanego żółtka. Bardzo na czasie, pomyślała, podziwiając zielonkawy odcień skóry męża.

Waldemar przełknął to, co miał w ustach, z niesmakiem spojrzął na kieliszek z pozostałością jajka i odsunął go na środek stołu.

– Ale jak to? Nie rozumiem? – wydukał.

Anna wzruszyła ramionami, spuszczać wzrok. Złapała porzuconą na blacie kraciastą ściereczkę i zaczęła ją składać. Musiała zająć czymś ręce, bo była bardzo zdenerwowana i wewnątrz cała się trzęsła.

– Cóż, zwodziłeś mnie przez te wszystkie lata – powiedziała cichutko. – Po ślubie nie, bo nie było mieszkania. Kiedy nareszcie kupiliśmy mieszkanie, powiedziałeś, że nie, bo trzeba się urządzić. Jeszcze potem wiele razy mówiłeś nie, z różnych dziwnych powodów. I oto mam trzydzieści osiem lat i prawdopodobnie ostatnie jajeczka.

– Jajeczka? – Waldemar ponownie zerknął na kieliszek i odsunął go jeszcze dalej.

– Tak, mam ostatnie jajeczka. Dlatego zdecydowałam się wziąć sprawy w swoje ręce.

Mężczyzna spojrzął na Annę ze zgrozą.

– Coś ty zrobiła?

– Zdecydowałam – odparła krótko ze słodkim uśmiechem. – Nic ponadto.

Zdecydowałam, że będziemy mieli dziecko.

– Ale... – to kosztuje, miał na końcu języka. Jego wzrok padł jednak na Annę, która kraciastą ściereczką właśnie zaczynała polerować nóż do chleba. – Ale... – powtórzył z nieszczęśliwą miną. I zamilkł.

– Tak. – Żona pokiwała głową, wsuwając nóż do przegródki w szufladzie. – Ja też sądzę, że to świetny pomysł!

Kiedy nadal mocno oszołomiony i na domiar wszystkiego głodny Waldemar wyszedł już do pracy, Anna opadła na swój ulubiony fotel i w końcu rozluźniła zeszywniałe mięśnie. Jej mąż nawet nie podejrzewał, jak wielkiej siły i odwagi wymagało od niej poranne wystąpienie. Przez lata Anna była zaledwie cieniem Waldemara. Potulnie zgadzała się na jego pomysły i akceptowała każde jego słowo, jakby był wyrocznią. Jednak ostatnio zaszła w niej jakaś zmiana. Dokonywała się powoli, niemal niedostrzegalnie. Impulsem do niej stało się spotkanie z sąsiadką, Moniką Kwiatek, która codziennie krążyła wokół bloku z rozkosznie gaworzącym synkiem w wózku. Na widok chłopca Anna poczuła w sercu lekkie ukłucie. To małe ukłucie nie mijało, wprost przeciwnie: rosło i pęczniało jak stan zapalny wokół niedużej drzazgi, aż w końcu kobieta poczuła, że musi coś zrobić. I właśnie tego poranka zrozumiała co.

Posprzątała po śniadaniu, ubrała się i wyszła do miasta. Najpierw odwiedziła budynek banku. Sympatyczna kasjerka uśmiechnęła się do niej, proponując pożyczkę na zakup świątecznych upominków.

– Dziękuję, chciałabym tylko sprawdzić stan konta – odparła, podając dokument tożsamości.

Z banku spacerkiem ruszyła w kierunku przychodni zdrowia, gdzie umówiła się do ginekologa. W aptece kupiła witaminy i kwas foliowy. Wracając do domu, oddychała pełną piersią i uśmiechała się do siebie. W ostatniej chwili zdecydowała, że przejdzie się wokół rynku, poogląda wystawy i wstąpi do cukierni na filiżankę kawy i ciastko. Ten dzień był wyjątkowy i chciała to uczcić.

Po południu czekała na Waldemara z mocno bijącym sercem. Miał mnóstwo czasu, aby wszystko przemyśleć, z pewnością zaraz poda milion argumentów, dlaczego nie powinni mieć dziecka. Przygotowała własne racje i zamierzała je wysunąć jak groźny miecz. Była gotowa na walkę.

Ku jej zaskoczeniu mąż wkroczył do kuchni z wyrazem radosnego oczekiwania na twarzy.

– Kochanie, słyszałaś już o programie pięćset plus?

Monika

Mama Kwiatek wprowadziła się w czwartek, piętnastego grudnia, wypełniając sobą największy pokój, pół łazienki i trzy półki w lodówce. Kiedy Monika usiłowała zajrzeć pod pokrywkę półmiska wsuniętego na najniższą półeczkę, niemal dostała po łapach.

– Zostaw, to na święta! – huknęła teściowa z dobrotliwym uśmiechem.

– Nie zepsuje się? – zdziwiła się.

– W mojej kuchni nic się nigdy nie psuje!

– No, tak. Ale jesteśmy w mojej kuchni – zauważyła rezolutnie Monika i wycofała się do pokoju Piotrusia, by wraz z synkiem budować wieżę z kolorowych klocków.

Zdecydowała, że obecność teściowej nie wytrąci jej z równowagi, a przynajmniej nie bardziej niż uczyniła to na początku. Dlatego postanowiła, że nie będzie zwracać na nią uwagi, najmniejszej. Zamierzała prowadzić swoje normalne życie z Piotrusiem, a babcia wystąpi w roli... produktu ubocznego. Albo przybocznego.

Kiedy więc po pół godzinie rozpakowywania flanelowych koszul, styłonowych podomek i bamboszków z góralskim wzorkiem na pięcie mama Kwiatek zajrzała do pokoju wnuka, zastała swoją synową zalegającą na dywanie w dziwacznej pozycji, a obok zachwyconego chłopca. Monika przycupnęła w czymś przypominającym klęczenie, jedną nogę wyciągnęła wyprostowaną jak strzała do tyłu, głowę schyliła tak nisko, że z pewnością byłaby w stanie obwąchać własne tylne partie ciała, z kolei ramiona złożone niczym skrzydła dociskała do karku.

W pierwszej chwili mama Kwiatek pomyślała, że Monika zdejmowała coś z szafy, zleciała i skręciła kark. Znała jednak swoją synową na tyle dobrze, by pojąć, że to musiało mieć jakiś ukryty sens. Prawdopodobnie książkowy.

– Co robicie? – zagadnęła.

– Ćwiczymy jogę dla mam i dzieci raczkujących – usłyszała gdzieś spomiędzy pośladków synowej.

– Uhm. – Mama Kwiatek przewróciła oczyma, a potem ugryzła się w język. Jakub prosił, by była wyrozumiała dla nowoczesnych metod wychowawczych jego żony, nawet jeśli zupełnie nie pokrywają się one z jej własnymi. Pragnęła spokoju syna, więc obiecała mu, że ugryzie się w język za każdym razem, gdy nabierze ochoty, by zwrócić Monice uwagę. I czuła, że w najbliższych dniach jej język będzie bardzo obolały.

Cóż, Jakub musi mieć jednak na względzie, że wszystko ma swoje granice.

Nawet ból języka!

Przez krótką chwilę stała nad synową, obserwując jej poczynania. Gimnastyka Moniki była jednak dość monotonna, a poszczególne ruchy dziewczyna wykonywała w żółwym tempie. Mama Kwiatek doszła więc do wniosku, że nie doczeka się żadnych spektakularnych figur, a przynajmniej nie przed własnym pogrzebem. Wzruszyła ramionami i ruszyła na poszukiwanie przedsięwziętej roboty.

Monika odetchnęła z ulgą i zmieniła pozycję. Poszło zaskakująco gładko. Jest dokładnie tak, jak zdecydowała. Ona będzie robić swoje, a teściowa swoje. Nie chciała się przed nią tłumaczyć, nie zamierzała się denerwować i zakłócać swojej wewnętrznej równowagi. Czytała już wiele poradników i wszystkie były zgodne co do jednego: szczęśliwa mama to szczęśliwe dziecko. Monika uśmiechnęła się do Piotrusia, który z zapamiętaniem obgryzał frędzelki przy

macie, nie zdając sobie sprawy, że właśnie uczestniczy w seansie jogi.

Wszystko będzie dobrze, mały – mruknęła pod nosem, stając na baczność i unosząc jedną nogę w górę, jakby zamierzała kopnąć kogoś z wysokości w zadek. W tej samej chwili jej wzrok spoczął na oknie i z wrażenia straciła równowagę. Upadła na dywan, a drewniany klocek o kształcie gwiazdki boleśnie wbił się jej w pośladek.

Pospiesznie podniosła się na nogi i przytrzymując obolałe partie ciała, dokuśtykała do okna. Szeroko otwartymi oczyma śledziła mamę Kwiatek, która właśnie gramoliła się na drugą stronę balkonowej balustrady.

Monika porzuciła jogę i śliniącego się na podłodze synka, przebiegła przez duży pokój i dopadła do drzwi balkonowych w chwili, gdy teściowa przekładała nad barierką drugą nogę. Klara Kwiatek zamarła, wpatrując się w pobladłą twarz synowej. Monika odetchnęła z ulgą. Matka męża trzymała w zębach przewód od choinkowych lampek i najwyraźniej zabierała się za aranżację świątecznych dekoracji.

– Co mama robi? – wydusiła z siebie.

– Rożwiesz laaki na bażkonie.

– Ale my nigdy...

– Ne szkodzi. – Mama Kwiatek przerzuciła nogę do końca i przywierając całym ciałem do barierki, wyjęła w końcu kabel z ust. – Tak będzie ładniej. I weselej. Przynies mi jeszcze żółte i czerwone. Są w kuchni na stole – poleciała.

Zdezorientowana Monika cofnęła się w głąb mieszkania i wyruszyła na poszukiwanie pozostałych lampek. Zgodnie ze słowami teściowej zastała je na kuchennym stole. A także na dolnych szafkach, parapecie, kuchence gazowej, wszystkich uchwytych szafek górnych i karniszu. Oszołomiona wpatrywała się w długi ciąg kolorowych żarówek. Czy teściowa zamierzała udekorować tylko ich balkon czy wszystkie balkony w bloku?

Monika zwinęła lampki w jedną kupę i z trudem zataszczyła je na balkon. Teściowa powitała ją uśmiechem, chwając się po drugiej stronie balustrady.

– Dziękuję. Podaj mi je! I tę żółtą taśmę, która leży na parapecie. Dziękuję.

– Może coś mamie potrzymam?

– Nie, nie. Poradzę sobie. Dam radę. Możesz już wracać do misia Yogi.

– To nie miś, tylko... – zaczęła Monika, ale widząc, jak teściowa upycha kabelki w ustach i drepcze wzdłuż balkonu, przytrzymując się balustrady, zamilkła. Pomyślała, jak bardzo chciała udawać, że matka męża nie mieszka w ich domu i nie wtrąca się w przygotowania świąteczne. Pomyślała o Piotrusiu, którego zostawiła samego pośrodku maty z frędzelkami wbrew zaleceniom jakiegokolwiek poradnika. Pomyślała, że to najlepsza pora, by wypić zieloną kawę... – Na miłość boską! – warknęła i sięgnęła po drugi koniec kolorowych lampek. A może czwarty? Lub siódmy?

Pół godziny później usadzony w krzeselku do karmienia Piotruś obserwował przez szybę balkonowego okna, jak po drugiej stronie balustrady drepczą dwie postaci obwieszane od stóp do głów kolorowymi światełkami. I słuchał, jak wzajemnie się przekrzykują:

– Jeszcze czerwony, tutaj czerwony.

– Tu jest zielony, a czerwony nie może być koło zielonego, bo to zaburza harmonię...

Wracający z pracy Jakub dostrzegł wielobarwną lunę i pomyślał, że najwyraźniej w ferworze świątecznych porządków ktoś zapomniał wyłączyć żelazka. Kiedy zbliżył się do bloku, z przerażeniem stwierdził, że złowroga luna prawdopodobnie pada z jego okien. Z mocno bijącym sercem przebiegł ostatnie metry i jak wryty zatrzymał się pod balkonem, który za sprawą starań jego matki i żony przemienił się w stragan ze świątecznymi lampkami. W jednym rogu

balkonu zauważył lampki udrapowane w kształt choinki, w drugim zaś skrzyżowania reniferka z kozą... Kuba chłonął ten widok, oblewając się zimnym potem, a u jego boku zmaterializowała się sąsiadka z parteru.

– Świąteczny jarmark, niech to szlag.

Jakub skinął głową, nie rejestrując słów pani Michalskiej. Myślał o opłatach za prąd i o tym, że dostawca energii elektrycznej wiedział, co robi, przysyłając w tym roku życzenia świąteczne w postaci eleganckiej kartki. Pani Michalska odchrząknęła.

– Coś mi się wydaje, że w tym roku trzej królowie trochę pobłądzą. Waszego balkonu żadna gwiazda nie przyćmi...

Zuzanna

Podróż zatłoczonym busem nie zaliczała się do najprzyjemniejszych. Wciśnięta pomiędzy łokieć masywnej sześćdziesięciolatki w moherowej czapeczce a plecak ciamkającego gumę nastolatka Zuzanna usiłowała odpowiedzieć sobie na pytanie, czy wyprawa do Krakowa jest dobrym pomysłem. W chwili, kiedy Karolina z taką werwą rozprawiała o zdolnościach prywatnej detektyw Kaliny Radeckiej-Pióreckiej, wydawało się jej to rozwiązaniem po prostu idealnym, ale sprawiedliwie trzeba przyznać, że znajdowała się pod silnym działaniem procentów. I to wcale nie matematycznych. Jednak wraz z odejściem przyjaciółki i odpływem alkoholowego oszołomienia Zużę dopadły pierwsze wątpliwości.

W czwartkowy poranek Zuza rozkleiła się do końca. Z trudem powstrzymała się, by nie zadzwonić do pani detektyw i nie odwołać umówionego spotkania. Potem jednak doszła do wniosku, że raz kozie śmierć. Albo nie kozie. Niewiernym mężom. Z grobową miną obwieściła zaskoczonemu Kajetanowi, że tego dnia obiadu nie będzie, ponieważ jest umówiona. Mąż spojrział na nią ciut podejrziwie.

– A z kim niby?

– Z de... – zacięła się, gwałtownie pokrywając się ceglastym rumieńcem. – Z dietetyczką.

– Ach, tak? – Kajtek wyraźnie się nachmurzył. – To się nawet dobrze składa, bo ja dzisiaj muszę zostać dłużej w pracy. A nie uważasz, że ta cała wizyta to tylko strata pieniędzy?

– Zdecydowanie nie! – burknęła bliska płaczu Zuza. Po rozmowie z mężem z pewnością tak nie uważała. Proszę, proszę, wystarczy takiemu napomknąć o umówionym spotkaniu, a od razu wykorzystuje okazję i mówi, że wróci później! Czeka ty, pomyślała mściwie. Umawiaj się. Niedługo przyjdzie kryśka na matyska. Poczujesz psie zęby na genitaliach i wcale nie będę cię żałować!

Uciążliwa podróż w pozycji na jednej nodze dobiegła nareszcie końca i oszołomiona Zuzanna wysiadła na przystanku przy Alei Trzech Wieszczy. W dłoni ścisnęła otrzymaną od Karoliny karteczkę z nagryzmołonym adresem agencji detektywistycznej. Przyjaciółka miała czekać przy wejściu i Zuza poczuła ulgę na myśl, że nie musi iść tam sama.

Zuzanna nie spieszyła się na spotkanie. Chociaż szła jedną z najgłośniejszych i najbardziej zakurzonych krakowskich ulic, przechadzka sprawiła jej przyjemność. Niespiesznie oglądała nieliczne wystawy i wspominała, jak w młodości mieszkała w pobliskim miasteczku studenckim. Poza tym – choć nie chciała tego przyznać sama przed sobą – troszkę obawiała się spotkania z panią detektyw.

Zgodnie z umową Karolina czekała na nią przed drzwiami agencji. Zuzanna z zaciekawieniem zerknęła na wejście do lokalu. Sama nie miała pojęcia, czego się spodziewała – zamalowanych na czarno szyb, naklejki z dymiącym pistoletem czy wystawy wypełnionej detektywistycznymi akcesoriami – ale widok schludnego okna z poziomymi żaluzjami i wycieraczki z napisem: „Wpadnij do nas, mamy dobrą kawę” nieco ją rozczarował.

– Gotowa? – Karolina ścisnęła jej ramię.

– Nie – zaprzeczyła Zuza, przełykając ślinę. – Ale bardziej nie będę, więc miejmy to już za sobą...

Karolina nacisnęła klamkę i pchnęła do środka najpierw drzwi, a zaraz za nimi skamieniałą nagle Zuzannę. Zuza poczuła, jak ślizga się na wypolerowanych, jasnych płytkach i

nagle spostrzegła, że znajduje się pośrodku schludnego biura i jest obiektem zainteresowania dwóch par oczu. Męskich oczu. Zdecydowanie żadne z nich nie mogły należeć do Kaliny Radeckiej-Pióreckiej.

– Dzień dobry – wydukała oszołomiona, rozglądając się po wnętrzu biura.

– Dzień dobry. – Jeden z mężczyzn zamknął klapę laptopa i spojrział na nią z ciepłym uśmiechem. – W czym mogę pomóc?

– Jesteśmy umówione – obwieściła stojąca przy drzwiach Karolina.

– Naprawdę? – zdziwił się mężczyzna. – To chyba jakaś pomyłka. Nie umawialiśmy na dzisiaj żadnych spotkań. – Mężczyzna przelotnie zerknął na swojego towarzysza, ale ten jedynie wzruszył ramionami.

– To z pewnością nie pomyłka! – Na myśl, że detektywi mogą pozostawić ją samą z problemem niewiernego męża, Zuzanna poczuła nagły przypływ sił. – Byłyśmy umówione na piętnastą trzydzieści w sprawie niewierności. Potencjalnej – dodała szybko.

– Zaraz sprawdzę w terminarzu... – Mężczyzna sięgnął po leżący na blacie biurka kalendarz. – Ale nie wydaje mi się... Może panie usiądą? – Wskazał dwa fotele obite czarną skórą.

Zuzanna zbliżyła się do siedziska, ale zanim zdążyła na nie opaść, drzwi agencji otworzyły się z impetem. Zafascynowana wpatrywała się w rudo-brązowe psisko, które wpadło do środka, zamaszycie wachlując kudłatym ogonem i szczerząc lśniące zęby. Widok tych zębów i myśl, co mogą uczynić z męskimi genitaliami, sprawiły, że Zuzannie zaschło w ustach. Całą uwagę skupiła na czworonogu i niemal przegapiła kobietę, która wtoczyła się do środka tuż za nim.

– Niech to szlag! – zawołała przyjaźnie Kalina Radecka-Piórecka, opierając dłonie na wydatnym brzuchu. – Przyszły panie za wcześniej!

– No i zagadka rozwiązana. Panie pozwolą, że przedstawię: moja żona Kalina. – Mężczyzna zamknął terminarz i z krzywą miną zwrócił się do kobiety: – Kochanie, co ja ci powiedziałem przy śniadaniu?

– Że przypaliłam jajecznicę.

– A poza tym? Coś o agencji? Nie? Amnezja ciążowa? Ach, właśnie! Ciążowa! Powiedziałem: jesteś w ciąży i nie chcę widzieć, że zajmujesz się jakimikolwiek klientami!

– Właśnie dlatego umówiłam się z paniami przed drzwiami – prychnęła pani detektyw, puszczając do Zuzy oko i opadając na drugi fotel. – Chciałam przejąć klientki, zanim je zobaczysz! Skąd mogłam wiedzieć, że będą punktualne?

– Pani jest w ciąży? – wyrwało się Zuzie.

– Tak twierdzą mój mąż i ginekolog. – Wzruszyła ramionami. – Ale nie ufam szczególnie ani jednemu, ani drugiemu. Pani wie, że mężowie lubią się czasami mijać z prawdą?

– Gdybym nie wiedziała, toby mnie tu nie było... – Zuza pociągnęła żałośnie nosem.

– Proszę się nie martwić. – Kalina wychyliła się z fotela i poklepała Zużę po kolanie. – Jestem tutaj po to, aby pani pomóc. Koleżanka wspominała, że chodzi o zdradę...

– Kalina!!! – ryknęło nagle nad prawym uchem Zuzy. Mężczyzna przechylił się nad biurkiem i lodowatym spojrzeniem błękitnych oczu świdrował siedzące w fotelach kobiety. Zuza skuliła się mimowolnie.

– Strasznie tu głośno – zauważyła Radecka-Piórecka, marszcząc cieniutkie brwi. – Chyba będziemy musiały porozmawiać w innym miejscu. Zapraszam na kawę. Bezkofeinową – dodała szybko, uśmiechając się do mężczyzny.

– Nawet nie próbuj brać jakiegokolwiek sprawy! Ja się nie zgadzam!

– Tak, tak, strasznie tu głośno. Pójdziemy do kawiarni na rogu. Mam u nich rabat. Na

bezkofeinową.

– Kalina, przypominam ci, że jestem właścicielem...

– Współwłaścicielem. Widziałeś nasz szykowny szyldzik? Napisano na nim *Kalina na tropie*. Nie wyglądasz mi na Kalinę, Malinę czy inną Jagódkę! – prychnęła. – Poza tym ja nic nie biorę. Poza kwasem foliowym i witaminą w drażetkach.

– Może jednak przyjdziemy innym razem? – Zuza zerknęła lękliwie na poczerwieniałego ze złości detektywa. – Kiedy pani rodzi?

– W kwietniu! – warknął w odpowiedzi mężczyzna. – I ja naprawdę nie wiem, jak wytrzymam z tą zmanierowaną hrabianką do tego czasu. Podobno ciąża może zaowocować rozstępami i żylakiem odbytu. Nie wiem, dlaczego mnie przypadły rozstrój żołądka i nadciśnienie!

– Może dlatego, że nie jest pan kobietą... – zasugerowała nieśmiało Zuzanna. – Ja na przykład cierpiałam na hemoroidy, a mój mąż przytył piętnaście kilo... Przepraszam za zamieszanie, do widzenia! – zdążyła jeszcze krzyknąć, zanim Kalina Radecka-Piórecka wypchnęła ją na ulicę.

– Co teraz? – Zuzanna naciągnęła na uszy wełnianą czapkę i z nieszczęśliwą miną spojrzała na mocno zaokrągloną kobietę. Nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Kalina była w ciąży, więc z pewnością nie będzie chciała biegać za zdrażliwym Kajtkiem i szcuć na niego swojego groźnego... hm, no może niespecjalnie groźnego, ale za to mocno kudłatego towarzysza na czterech łapach.

– Jak to: co teraz? – zdziwiła się pani detektyw, okręcając smycz wokół nadgarstka. – Teraz pójdziemy sobie na kawę, a pani mi wszystko opowie! Wtedy zadecyduję, jaka droga działania okaże się najlepsza.

– Ale pani jest w ciąży! – wykrzyknęła załamana Zuzanna.

– No to co? – Kalina machnęła ręką. – Przecież mówiłam, że wezmę bezkofeinową...

Kajetan

Zniechęcony Kajtek noga za nogą włókł się w kierunku domu. Jego stopy ślizgały się na zaśnieżonym chodniku i momentami wymachiwał w powietrzu ramionami, żeby odzyskać równowagę i nie klapnąć na tylną część ciała. Kiedy inni mieszkańcy miasteczka wieszali psy na służbach drogowych, lokalnych politykach i złośliwości pogody, która ośmieliła się w grudniowy dzień sypnąć obficie śniegiem, Kajtek w ogóle nie zwracał uwagi na niedogodności. Jego głowę zaprzętało coś zupełnie innego, ale czy można się było temu dziwić?

Zuzanna miała romans. Nabrał pewności właśnie tego poranka, kiedy przy śniadaniu obwieściła mu, że nie przygotowuje obiadu, ponieważ ma spotkanie. Spojrzał na nią badawczo i przekonał się, że jest bardzo zdenerwowana. Poczucie winy miała dosłownie wymalowane na twarzy, a kiedy zapytał, z kim się umówiła, zająknęła się w pół słowa. Oczywiście nie uwierzył w tę bajeczkę o dietetyku. Zuza zawsze miała swoje krągotności i chociaż czasami na nie narzekała, nigdy nie posunęła się do tego, aby im przeciwdziałać. Nie zrobiła tego, gdy trójka na metce jej ubrań ustąpiła miejsce czwórce, a miałyby zajmować się tym właśnie teraz?

Zuzanna miała romans. Amen. Kropka. Spotykała się z innym mężczyzną. Kupowała dla niego skąpe majteczki z czarnej koronki.

Kajtek był zdruzgotany.

Zatopiony w niewesołych myślach zaszedł na podwórko przed blokiem i nieomal wpadł na dozorczynię. Pani Michalska dziarsko wymachiwała miotłą, zgarniając z chodnika bryłki śniegu.

– Dzień dobry się mówi! – warknęła w jego kierunku, ocierając zaczerwieniony nos.

Kajtek zatrzymał się w pół kroku i nieprzytomnie spojrzał na sąsiadkę z parteru.

– O ile ktoś ma dobry – westchnął głęboko.

– Ale kultura osobista nakazuje życzyć dobrego dnia innym. Nawet jeśli samemu miało się ciulowy.

– No tak – stropił się Kajtek. – Wobec tego dzień dobry.

– Hmm... – Sąsiadka porzuciła zmiatanie i opierając się na kiju od miotły, badawczo przyjrzała się mężczyźnie. Nagle poderwała się ożywiona. – Zwolnili cię z roboty!

– Skąd! – obruszył się Kajtek. – Po prostu... Zuzanna ma romans – palnął bez zastanowienia, natychmiast tego żałując. Pani Michalska machnęła ręką lekceważąco.

– Chwała Bogu!

– Chwała Bogu?! – Kajtek poczuł święte oburzenie. – Jak pani może tak mówić?

Sąsiadka wzruszyła ramionami i powróciła do zmiatania.

– Pomyśl logicznie, w twoim wieku łatwiej znaleźć nową żonę niż robotę.

– No, może i tak... – nieprzekonany Kajtek przestępował z nogi na nogę, bo od oblodzonego chodnika ciągnęło chłodem. – Ale mnie się nie podoba, że Zuzanna ma romans. Nie chcę, żeby spotykała się z obcym chłopem.

– Na pewno nie spotyka się z obcym – pocieszyła go pani Michalska. – Ale tak poza tym, to zupełnie się z tobą zgadzam. Musisz z tym coś zrobić.

– Ale co? – Nieszczęśliwy mąż z nadzieją spojrzał na sąsiadkę. – Co mógłbym zrobić?

– Musisz się z nim spotkać i wybić mu z głowy randki z twoją żoną. Jeśli chcesz, pożyczę ci miotłę. Mam też siekierę w składziku.

Kajtek z przerażeniem spojrzał na spokojnie zamiatającą chodnik sąsiadkę, w końcu skinął głową.

– Właściwie to chętnie dałbym mu po mordzie. Ale skąd będę wiedział, o kogo chodzi?

Sąsiadka przystanęła i spojrzała na Kajtka spod groźnie zmarszczonych brwi. Nagle jej twarz rozpogodził szeroki uśmiech.

– Zrobimy zasadzkę! – zaskrzeczała. – Zrobimy zasadzkę na twoją żonę i tego gagatka, a potem... – Złowieszco trzepnęła miotłą o krawężnik. Kajtek uśmiechnął się szeroko. Zrobiło mu się jakby lżej na myśl, że zemsta za czarne koronki nie spoczywa już tylko na jego barkach.

Maciej

Każdego dnia przed czternastą Maciej stawał na rogu obok Starego Kina, chował się za węglem budynku i obserwował wąską uliczkę naprzeciwko. Biegła ona od urzędu miasta, mijając komisariat policji, budynek poczty, miejscowe liceum, by dojść do dwóch dużych supermarketów i placu targowego. Właśnie przy tej uliczce Maciej pośliznął się na chodniku, by ściąć z nóg kobietę z kucykiem, dlatego teraz codziennie wymykał się z pracy, ściskając różowy kartonik z plastikową zabawką, mając nadzieję, że ponownie ją tu zastanie.

Miał wrażenie, że spotkał już niemal wszystkich mieszkańców ponad czterotysięcznego miasteczka. Zatrzymywali się przy nim, by zagadnąć o dzieciaki w szkole albo powspominać, jak za dawnych lat chodzili do ówczesnego kina Żarek na *Króla lwa* albo *Con Air – lot skazańców*. Maciek gawędził z nimi wesoło, ale czujnie wpatrywał się w chodnik po drugiej stronie ulicy, by nie przeoczyć nadchodzącej kobiety.

Nadchodzącej, dobre sobie. Zapadła się pod ziemię, czy ki pieron? – zastanawiał się w duchu, przytupując zmarzniętymi stopami.

Przypomniał sobie, jak pod wpływem jakiegoś impulsu wydobyl z kosza zniszczone pudełko. Sam nie wiedział, dlaczego to uczynił, ale natychmiast pobiegł do najlepiej zaopatrzonego sklepu z zabawkami, aby kupić podobnego kucyka. Na widok pogruchoatanej zabawki ekspedientka rozłożyła bezradnie ręce.

– Przykro mi, nie został kupiony u nas.
– Na pewno? – zmartwił się.
– Na pewno. Tak w ogóle... – zerknęła na niego wyraźnie spłoszona – ...to nie jest oryginalny kucyk.

– Że co? – zdumiał się Maciek. Kobieta spojrzała na niego przeproszająco.
– To podróbka. Nie sprzedajemy takich. Oczywiście, one też są ładne – zastrzegła szybko.
– Dzieci je bardzo lubią, można je czesać, przypinać im spinceczki na ogonie, ale sam pan widzi, co się z tą zabawką stało. Wygląda, jakby przeszedł po niej słoń!

– Hmm, raczej słonica, na dodatek wściekła – mruknął pod nosem mężczyzna. Potem wskazał na pudełko. – A oryginalne kucyki są...

– Droższe. – Sprzedawczyni wyszczerzyła śnieżnobiałe zęby. – Ale też trwalsze, mocniejsze... Moja córka ma takiego w domu. Rzuci nim o podłogę, o ścianę... Raz to nawet mąż na nim stanął.

– Bosko.
– Raczej boso.
– I co?
– I bardzo bolała go stopa. Ból porównywalny do tego przy stąpieniu na klocek lego... A kucyk wciąż w jednym kawałku!

– Niesamowite. I macie takie kucyki? – Sprzedawczyni z dumą skinęła głową, że owszem. – A ile taki kosztuje?

Kobieta poprowadziła Maćka do regału wypełnionego kucykami w różnych rozmiarach i kolorach. Mężczyzna poczuł, że od tej feerii barw i kształtów zaczyna boleć go głowa. Wskazał palcem różowego konika z licznymi szczotkami, spinceczkami i kokardkami, a kobieta wymieniła sumę, od której dostał wytrzeszczu oczu. W końcu jednak machnął ręką i podał jej swoją kartę

płatniczą. Kupił kucyka i teraz szukał sposobu, aby zabawka trafiła w ręce dziewczynki, dla której była przeznaczona. Szczęście mu jednak nie dopisywało i obawiał się, że nim dostarczy kucyka, dziewczynka zda maturę i pójdzie na studia!

Zrezygnowany spojrzął na zegarek i doszedł do wniosku, że nie może już dłużej czekać. Stał pod budynkiem niemal godzinę, a miał do załatwienia jeszcze jedną sprawę, być może nawet trudniejszą. Był wychowawcą Stasi i czuł się zobowiązany porozmawiać z jej matką. Nie chciał wzywać jej do szkoły. Miał nadzieję, że jeśli pomówi z nią na gruncie prywatnym, kobieta poczuje się swobodniej. Pretekstem do rozmowy z Marzeną Kamińską miało być nałożone na dziewczynki zadanie zaaranżowania szopki w kościółku u księdza Wojtka.

Przeczytał zapisany na karteczce adres i powoli ruszył w kierunku ulicy Weissa. Przyglądał się mijanym budynkom, odczytując numery z przytwierdzonych do ścian tablic. W pewnej chwili dostrzegł rześcicie oświetlony balkon. Zmrużył oczy, jakby poraziło go słońce. Czego to ludzie nie wymyślą, sarknął w duchu, przecież to wygląda jak stragan ze światełkami!

Obszedł budynek dookoła i zbliżył się do wejścia. Nieopodal opatulona od stóp do głów staruszka dziarsko wymachiwała miotłą, zgarniając z chodnika zmrożone bryłki śniegu. Na jego widok przerwała zamiatanie. Zawahał się.

– Szuka kogo? – zaskrzeczało spod kraciastego szalika.

– Dzień dobry. Szukam pani Marzeny Kamińskiej – obwieścił, równocześnie przesuwając palcem wzdłuż listy lokatorów zamieszczonej przy domofonie.

– Pod czwórka... – mruknęła, podchodząc. Przyglądała mu się badawczo, wypuszczając kłębuszki białej pary. – Pan z rady parafialnej?

– Broń Boże – wyrwało się Maćkowi. Pod jej czujnym spojrzeniem zaschło mu w ustach. Poczul się zobowiązany powiedzieć coś więcej. – Ja jestem nauczycielem Stasi.

– Aha. – Oczy staruszki rozbliły. – Jest pan żonaty?

– Ja? – zaśmiał się. – Nie, nie.

– No, dlaczego pan nie wchodzi? Pod czwórka, mówiłam. Otwarte jest przecież!

Maciek spojrzął na nią zaskoczony. Po opowieści księdza Wojtka, który w obliczu spotkania z miotłą musiał skapitulować, był przygotowany na ostrzejszą przeprawę, tymczasem dozorczyńni niemal wepchnęła go do wnętrza klatki schodowej i teraz z dołu schodów patrzyła, jak wspina się na piętro.

To dowód na to, że nawet ksiądz może grubo przesadzać! – zaśmiał się pod nosem, podchodząc do drzwi opatrzonych cyfrą cztery. Do tego stopnia skoncentrował się na tym, by dostać się do środka, że zupełnie zapomniał o zdenerwowaniu, jakie odczuwał na myśl o rozmowie z matką swojej uczennicy, i bez zastanowienia nacisnął dzwonek. W głębi mieszkania rozległy się kroki, Maciek odkasznął, przerzucił na drugie ramię plecak, w którym nosił pudełko z kucykiem, i przyoblekł czarujący uśmiech. Ale kiedy drzwi uchyliły się, a na progu stanęła niewysoka kobieta z turbanem z ręcznika na głowie, zapomniał języka w gębie. W przeciwieństwie do właścicielki mieszkania, która na jego widok aż poczerwieniała ze złości.

– To chyba jakiś żart! Co pan tu robi?!

Marzena

Przez kilka dni po wypadku na chodniku Marzena chodziła wściekła. Na myśl o gburowatym mężczyźnie bezwolnie zaciskała dłonie w pięści i zgrzytała zębami. Ale z czasem jej gniew stracił na sile i w końcu była zmuszona przyznać przed samą sobą, że tak naprawdę siłą napędową jej złości nie było zachowanie nieszczęśnika, który upadł na oblodzonym chodniku i stłukł sobie kość ogonową, ale rozgoryczenie, że nie będzie mogła wręczyć Stasi wymarzonej zabawki.

Marzena była kobietą impulsywną i zazwyczaj najpierw działała, a dopiero potem zastanawiała się, czy robi dobrze. Podobnie było z kucykiem dla Stasi. Przecież nawet nie sprawdziła, czy nie da się go skleić! Szybko pożałowała, że zabawka wylądowała w koszu, ale kiedy po nią wróciła, musiała przełknąć kolejne rozczarowanie. Kucyk znikł.

W piątek, szesnastego grudnia, Marzena pracowała na zmianę poranną. Wiedziała, że po lekcjach córka pójdzie do biblioteki, gdzie w każdy piątek odbywały się zajęcia plastyczne, więc najpierw wzięła długą kąpiel, a potem przystąpiła do pakowania prezentów gwiazdkowych. Kiedy owijała kolorowym papierem grę planszową i puzzle z kucykami, zadzwonił dzwonek u drzwi. Pospieszenie wepchnęła podarunki do szafy i poszła otworzyć. Była przekonana, że to dozorczyńni, bo ta już kilkakrotnie ją zaczepiała, mówiąc, że ma sprawę. Bez zastanowienia uchyliła drzwi. I zaskoczona stanęła oko w oko z mężczyzną, który przewrócił ją na chodniku, a teraz wpatrywał się w nią z najbardziej głupkowatym uśmiechem, jaki widziała w życiu. Na widok tego uśmieszku Marzena zapomniała, że zdjęła już z barków nieznajomego odpowiedzialność za wypadek z kucykiem.

– To chyba jakiś żart?! Co pan tu robi? – warknęła, równocześnie zaciągając poły szlafroka.

– Eee, dzień dobry... Czy pani Marzena Kamińska? – usłyszała.

– Tak. To ja. Skąd pan zna moje nazwisko? – zaniepokoiła się.

– Z listy lokatorów. Przy domofonie – wyjaśnił. – Czy możemy porozmawiać?

– Nie wydaje mi się. – Potrząsnęła głową. – Nie mamy o czym.

– Wprost przeciwnie. Proszę się nie obawiać, nie jestem psychopatą, a pani dozorczyńni wie, że zmierzałem do pani drzwi. – Skrzywił się. – Nie zaryzykuję spotkania z jej miotłą, zapewniam panią!

Marzena zawahała się. Uwaga o miotle dozorczyńni, której sama podświadomie troszeczkę się obawiała, sprawiła, że na jej wargach pojawił się przelotny uśmieszek. Mężczyzna przybrał proszącą minę. W końcu uchyliła drzwi i cofnęła się, żeby mógł przejść. Wskazała mu drzwi do dużego pokoju.

– Proszę chwilę poczekać, przebiorę się.

Kiedy po kilku minutach weszła do pokoju, mężczyzna przyglądał się skrawkom kolorowego papieru i wstążek rozrzuconym po dywanie. Marzena schyliła się i zaczęła je zbierać.

– Właśnie pakowałam prezenty, kiedy zadzwonił pan do drzwi – wyjaśniła.

– Wobec tego przyszedłem w samą porę. – Sięgnął do przerzuconego przez ramię plecaka i wydobył kartonowe pudełko. Marzena zmarszczyła brwi, wyciągając rękę po zabawkę.

– Ale dlaczego...?

– Czułem się winny, że przeze mnie pani córeczka nie dostanie wymarzonego kucyka.

Kobieta poczuła, jak pokrywa się rumieńcem. To były jej własne słowa, po czasie musiała przyznać, że niesprawiedliwe. Potrząsnęła głową.

– Przepraszam, nie powinnam tak mówić. To nie pana wina. Po prostu było ślisko i pan... i ja byłam zła. I... przepraszam – wyrzuciła z siebie. – Wszystko w porządku? Nie połamiał się pan na tym chodniku?

– Nie, ale Katariny Witt na pewno ze mnie nie będzie. – Zaśmiał się krótko. – Nie spodobało mi się, że tak zimno w... nerki.

– W każdym razie bardzo dziękuję. – Potrząsnęła kartonikiem z cenną zawartością. – Nie musiał pan tego robić, więc tym bardziej doceniam gest. Kupiłam dla córki układanki, ale kucyk... marzyła o nim od dawna, lecz wychowuję ją sama, nie mogłam sobie na ten zakup pozwolić. A za rok pewnie będzie już za duża na takie zabawki...

Pokiwał głową. Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa i Marzena pomyślała, że to bardzo dziwne, ale w ogóle nie czuje się skrępowana. Mężczyzna odkaslnął.

– To musi być trudne? Samotne wychowywanie córki?

Poczuła, jak napinają się jej mięśnie, więc zmusiła się, aby je rozluźnić. To pytanie padało często. Zbyt często. Oczywiście, że było jej ciężko, szczególnie że czasami towarzyszyło jej wrażenie, iż zupełnie sobie nie radzi. Odpowiadanie na takie pytania też było trudne i szczerze nienawidziła, kiedy padały. Tym razem zaskoczona stwierdziła, że chce wypowiedzieć na głos swoje myśli.

– Nie jest lekko, ale Stasia to kochane dziecko. Praktycznie nie sprawia żadnych problemów. No, może ostatnio, w szkole, troszkę więcej. Nauczyciele za dużo ingerują w nasze prywatne życie. Bubki – prychnęła.

– Och. – Mężczyzna pokiwał głową, dziwnie na nią patrząc. Poczuła się niezręcznie, więc podjęła temat samotnego rodzicielstwa.

– Najgorsza w życiu takiego rodzica jest samotność. Nie ma z kim przedyskutować kwestii wychowawczych, nie ma z kim wypić wieczornej herbaty i opowiedzieć o przeczytanej książce. Nie ma kogo wziąć za rękę, by pójść na długi spacer. – Nagle zaśmiała się. – Uwierzy pan, że mieszkamy tutaj już prawie pół roku, a ja jeszcze nie widziałam kalwaryjskich drózek? Podobno są piękne!

Pokiwał głową.

– Najpiękniejsze są jesienią, kiedy drzewa pokrywają kolorowe liście. Jeśli ma pani ochotę, mogę je pani pokazać.

Marzena posłała mu spłoszone spojrzenie. Uważnie przyjrzała się jego twarzy, ale ta wydawała się zupełnie szczerą. Zamyśliła się. Mężczyzna był przystojny, w ten nieco chłopięcy, zawadiacki sposób. Z pewnością nie mógł odpędzić się od pięknych dziewczyn, a jednak zaproponował jej spacer. Co nim powodowało? Poczucie winy? Współczucie? Pokręciła głową.

– Nie chcę zabierać panu czasu, szczególnie teraz, przed świętami...

– Mógłbym powiedzieć to samo o pani – odparł wesoło. – Zabierzemy go sobie wzajemnie, w porządku? Moje przygotowania do świąt ograniczają się do punktualnego pojawienia się przy wigilijnym stole. – Przewrócił oczyma, komicznie wykrzywiając twarz.

Zaśmiała się beztrudno i kiwnęła głową.

– Niech będzie. Kiedy?

– Może we wtorek? O piętnastej? Spotkamy się na dworcu autobusowym?

– Dobrze. – Kiwnęła głową.

– Wobec tego jesteśmy umówieni. To ja już... pójdę. Pani dozorczyńni pewnie czeka pod klatką ze stoperem w ręku.

Marzena wybuchła śmiechem. Uśmiechała się jeszcze, kiedy zamknęła za nim drzwi i oparła się o nie plecami. Nagle uświadomiła sobie, że nawet nie zapytała, jak się nazywa. No, pięknie! Umówiła się na spotkanie z nieznajomym, i to w najbardziej odludnym miejscu w miasteczku. Ale przecież nie zamorduje mnie tam, gdzie zmierzają pielgrzymki z całej Polski! – myślała. – Jest nie tylko przystojny i miły, ale też... – szukała w myśli odpowiedniego słowa, aż w końcu na nie natrafiła – ...pryzwoity. No, właśnie, to słowo pasuje idealnie.

Odnalazł ją i odkupił kucyka dla Stasi. Od razu zauważyła, że wybrał drogiego, markowego kucyka z dodatkami, na którego jej samej nie było stać. Było to trochę krępujące, ale w końcu wzruszyła ramionami i poszła do kuchni, aby przygotować obiad dla córki. Nie zastanawiała się, jak mężczyźnie udało się je odnaleźć. To małe miasteczko, wszyscy wszystkich znają...

W tym samym czasie szeroko uśmiechnięty Maciej wyszedł przed klatkę schodową i zatrzymał się, by zapiąć kurtkę. Lekki plecak przerzucił przez ramię i spojrzał na opartą o ścianę miotłę. To, że trafił do mieszkania kobiety, z myślą o której kupił zabawkę, było dla niego szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ale uświadomił sobie, że nie powiedział Marzenie Kamińskiej ani kim jest, ani w jakim celu tak naprawdę przyszedł. Nie porozmawiał z nią o Stasi, cholera! Potrząsnął głową, postanawiając, że naprawi to podczas wtorkowego spotkania.

Zacisnął dłoń na szelce plecaka i ruszył w stronę miasta. W oknie na parterze lekko drgnęła poruszona firanka.

Anna

– Jak długo można karmić piersią? – Anna ocknęła się z zamyślenia, przemieszała smażącą się na patelni kapustę z grzybami i spojrzała na męża. Pochylony nad stołem Waldemar rozkładał właśnie na czynniki pierwsze ich hipotetyczne rodzicielstwo, zapisując wyniki w wysłużonym notesiku.

Czynniki finansowe, naturalnie.

Odkąd Anna uświadomiła mu, że zamierza zostać mamą, a koledzy z pracy doinformowali w kwestii programu wypłat pieniężnych dla rodzin, Jurczyk chodził jak w amoku i starał się obliczyć, ile może kosztować utrzymanie takiego berbecia. Uzyskane wyniki jak na razie nie napawały go optymizmem, więc szukał, gdzie by tu można zaoszczędzić.

– Piersią? – Anna zamyśliła się na chwilę. – To zależy. Są kobiety, które karmią nawet do trzeciego roku życia dziecka.

– Przez trzy lata? Tylko? – Rozczarowany Waldemar skrzywił się boleśnie. Następnie otaksował żonę badawczym spojrzeniem. – Masz dość duże piersi. Jak myślisz, dasz radę przeciągnąć o pół roku?

– Nic nie zamierzam przeciągać! – oburzona Anna skrzyżowała ramiona na klatce piersiowej, chroniąc biust przed spojrzeniem męża. – Wielkość nie ma tu nic do rzeczy! Poza tym to moje piersi i z łaski swojej zostaw je w spokoju!

– Byłem dzisiaj w bibliotece i grzebałem trochę w internecie – ciągnął niezrażony Waldemar. – Czy wiesz, że niektóre dzieci wypijają nawet 150 ml mleka modyfikowanego co trzy godziny?

– Naprawdę? Nie wiedziałam. A czy ty wiesz, że biust matek karmiących potrafi zmienić objętość nawet o cztery rozmiary? I że trzeba kupować specjalne biustonosze, które są bardzo drogie? – Anna zdecydowała się nagiąć nieco prawdę, wiedząc, że wizja nieplanowanych wydatków zadziała na męża odstrasżająco.

– Wiem. – Waldemar powoli pokiwał głową, równocześnie zapisując coś w notesie. – Dlatego jeden kupiłem ci już teraz. Pod choinkę. Kosztował piętnaście złotych, ale ekspedientka spuściła mi dwa złote, bo miał małą plamkę na ramiączku.

– Słucham?! – Anna upuściła z wrażenia drewnianą szpatułkę, brudząc podłogę tłustym farszem do pierogów. Waldemar uniósł ręce w obronnym geście.

– Ale naprawdę malutką, nic nie widać!

– Kupiłeś mi pod choinkę biustonosz dla matek karmiących, chociaż nawet nie jestem w ciąży? – wydyszała Anna. Waldemar splótł dłonie na notesiku i przybrał pytającą minę. Anna potrząsnęła głową i odwróciła się do niego plecami. Nie miała do niego sił. Użerała się z jego skąpstwem już od kilkunastu lat, ale to, co teraz wyczyniał, przechodziło wszelkie pojęcie. Gdyby tak bardzo nie pragnęła dziecka... ale właśnie ono miało być jej pociechą w tym dziwnym, oszczędnym domu, gdzie nie wolno było kupować pachnącego papieru toaletowego i mleczka do czyszczenia zlewu. Tym razem mnie nie stłamsi! – obiecała sobie w duchu, a głośno powiedziała: – Zostawmy temat karmienia piersią do czasu, aż dziecko rzeczywiście będzie tego potrzebować...

– W porządku. – Waldemar wzruszył ramionami, następnie przerzucił kilka stron w notesie i odnalazł naprędce sporządzoną listę. Anna usiłowała dostrzec, co się na niej znajduje,

ale charakter pisma jej męża był nieczytelny. – Mam tutaj spis rzeczy dla dziecka, które dostaniemy od znajomych. Ubranka...

– Ty chyba żartujesz?

– Wanienkę da nam Lucynka z księgowości, a łóżeczko po swoim synu pani Nowakowa.

– Ona ma ponad osiemdziesiąt lat! Łóżeczko jej syna pamięta czasy dwunastu apostołów!

– To chyba dobrze? Może to antyk?

– Sam jesteś antyk! Moje dziecko nie będzie spało w łóżeczku przegryzionym przez mole.

– Mole nie zjadają łóżeczek.

– Nie szkodzi! I tak się nie zgadzam.

– Przedyskutujemy to jeszcze, w porządku? – Waldemar uśmiechnął się uspokajająco. –

Jeśli chodzi o wózek, to...

– Nie, nie, nie!

– Co: nie? – zdumiał się Jurczyk.

– Wszystko nie! Przede wszystkim nawet nie jestem jeszcze w ciąży, a ty już zbierasz po ludziach stare graty! Ja rozumiem, że można dostać albo pożyczyć różne rzeczy, żeby zaoszczędzić, ale ty przesadzasz! Domyślam się, że to będzie nasze jedyne dziecko, więc zamierzam kupić nową wyprawkę! Wózek, wanienkę, ubranka, wszystko!

– Za co? – jęknął przestraszony Waldemar.

– Za becikowe! I za twoją pensję! I za pięćset plus! – wykrzykiwała poruszona. – Bo w życiu nie chodzi tylko o pieniądze! Nie wszystko można na nie przeliczyć! Nie wszystko da się wycenić i przelać na lokatę długoterminową!

Wstrząśnięty wybuchem Anny Waldemar głośno przełknął ślinę i potarł czystą kartkę w notesie. Długopis zawisł nad stroną, lekko drżąc w niepewnej dłoni. Anna odetchnęła głęboko, schyliła się po leżącą na podłodze szpatułkę, a potem wilgotną ściereczką przetarła tłuste ślady nadzienia z kapusty i grzybów. Wyłączyła gaz i usiadła naprzeciwko męża. Chwyliła go za ciepłą rękę.

– Pragnę tego dziecka najbardziej na świecie. Obiecuj, że tego nie zepsujesz – poprosiła. – A ja obiecuję, że nie kupię jedwabnych kaftaników i kołyski ze złota! – dodała żartobliwie, by nieco rozluźnić atmosferę. Waldemar uniósł w uśmiechu jeden kącik ust i ścisnął jej palce.

– Dobrze, obiecuję! Ale teraz powiedz mi, proszę, czy w szóstym miesiącu życia dziecka możemy rozpocząć naukę korzystania z nocnika?

Monika

Życie pod jednym dachem z teściową, która w każdej kwestii musiała mieć ostatnie słowo, nie było łatwe, więc w czwarty tydzień adwentu Monika wkroczyła z żądzą mordy w oczach. Niewyspanych oczach, z racji iż zwyczaj mamy Kwiatek do odprawiania godzinek ku czci Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny wraz z audycją Radio Maryja wyrwał ją ze snu bladym świtem.

Porozumienie, jakie nawiązało się pomiędzy dwiema kobietami podczas dekorowania świątecznego balkonu, stopniało szybciej niż pierwszy listopadowy śnieg. W jego miejsce zakorzeniły się wzajemne pretensje owocujące burzliwymi kłótniami.

Pierwsza awantura wybuchła w chwili, kiedy Monika przytасzczyła z placu targowego malutką choinkę w kolorowej doniczce. Rozpromieniona teściowa aż klasnęła w dłonie.

– Jaki piękny stroik!

– To nie stroik, to nasza choinka – wyjaśniła młoda kobieta.

– Chyba żartujesz, Moniczko! Taka mizerota, co nawet metra nie ma? I to w doniczce? W doniczce to można kaktusa trzymać, a nie drzewko świąteczne! – oburzyła się mama Kwiatek. – Ubierzemy porządną choinkę, ja się wszystkim zajmę!

I rzeczywiście matka Jakuba opuściła mieszkanie, by po kilku godzinach powrócić i postawić przed Moniką wysokiego na metr pięćdziesiąt kikuta z resztką przykurzonych igieł smętnie przylegających do równie przykurzonych gałązek. Monika usiłowała zaprotestować i wyłożyć przed mamą Kwiatek istotę naturalnych choinek w doniczkach, które następnie można zasadzić w ogrodzie lub pobliskim zagajniku, ale rozpromieniona teściowa wyjawiała jej, że to pierwsza choinka Jakuba, która teraz stanie się pierwszą choinką Piotrusia. Wzajemne przekrzykiwania obudziły w końcu chłopca, który przyniesiony do dużego pokoju z zachwytem przylgnął do jaskrawozielonego monstrem. Ostatecznie stanęło na tym, że triumfująca babcia szorowała choinkę wodą z ludwikiem, a Monika swoją ustawiła na balkonie.

Kolejne animozje pojawiły się, kiedy podekscytowana Monika zapowiedziała, że w niedzielny wieczór cała rodzina będzie stroić choinkę. Mama Kwiatek zapowietrzyła się z wrażenia.

– W którą niedzielę, kochaniutka?

– W tę.

– Ale przecież tradycja mówi, że choinkę ubiera się w Wigilię!

– To prawda i zawsze tak robiliśmy – zgodziła się młoda kobieta. – Ale uważam, że Piotruś powinien odrobinę przywyknąć do zmiany w aranżacji mieszkania. Tak wiele bodźców w krótkim czasie mogłoby mu zaszkodzić – wyjaśniła, pomijając fakt, że oswojenie dziecka ze świąteczną otoczką zaleca ostatni rozdział kupionego przez nią poradnika.

– Ale tradycja... – jęczała matka Jakuba.

– Moim zdaniem Monika ma rację – wtrącił się Kuba. – Poza tym w Wigilię będziecie mieć inne obowiązki na głowie i pewnie ubieranie choinki zrzucicie na mnie i Piotrkę. A ze mnie marny designer – oznajmił ze śmiechem.

– Bodźce, designer... nie możecie mówić po ludzku? – mruknęła obrażona babcia.

Kolejna awantura przydarzyła się podczas strojenia drzewka. Wyszorowana przez mamę Kwiatek choinka została ustawiona w centralnej części dużego pokoju, a Jakub oplótł ją jedynym

pozostałym sznurem kolorowych światełek. Spełniwszy męski obowiązek, wycofał się w kierunku wersalki i schował za płachtą sportowej gazety. Na placu boju pozostała Monika wraz z synkiem i teściową. Matka Jakuba nieprzytomnie rozejrzała się wokoło.

– Gdzie masz ozdoby?

– Tutaj. – Ruchem brody Monika wskazała kartonowe pudełka kryjące ozdoby ze sznurka, wikliny, filcu i słomy. Ręcznie robione, bardzo modne i szalenie drogie, ale za to nietłukące i w pełni bezpieczne dla takiego maluszka jak Piotruś. O ile nie zdecyduje się ich zjeść.

Mama Kwiatek z zapalem rozpieczętowała pierwsze pudełko i wydobyla słomianą kukielkę w filcowej czapce mikołaja. Z przerażeniem podniosła figurkę na wysokość oczu i zademonstrowała synowej.

– Co to jest? – wykrztusiła.

– Ozdoby choinkowe – wyjaśniła wesołym tonem Monika, usiłując wepchnąć w piąstkę synka renifera z wikliny i skierować małą rączkę w kierunku choinkowej gałązki.

– A gdzie są bombki?

– W tym roku nie użyjemy baniek. Mogłyby się potłuc i pokaleczyć Piotrusia. Zamówiłam naturalne ozdoby. Ręcznie robione – wyjaśniła Monika.

– Zawsze wieszaliśmy bombki na choince i Kubie nigdy nic się nie stało – oburzyła się teściowa. – Dziecka po prostu trzeba przypilnować i...

– A ja nie pilnuję? – Monika zmarszczyła brwi. Obejrzała się w kierunku wersalki, gdzie Jakub właśnie przerzucał kolejną stronę gazety, ale nie doczekała się ze strony męża żadnej reakcji. Prawdopodobnie przebieg rozmowy nawet do niego nie dotarł, bo kiedy zatapiał się w wiadomościach sportowych, świat przestawał dla niego istnieć. Monika zrozumiała, że ten pojedynek musi stoczyć sama. Posłała teściowej stanowcze spojrzenie. – Zawiesimy ozdoby, które kupiłam.

– Niech ci będzie. – Mama Kwiatek westchnęła głęboko, by podkreślić wagę zadania, jakim jest mierzenie się z oślim uporem synowej. – Zawieśmy te twoje „cudeńka”.

Po kilkunastu minutach strojenia drzewko było gotowe. Monika przyjrzała mu się krytycznie, przekrzywiając głowę to w jedną, to w drugą stronę. Kupione przez nią ozdoby były naprawdę ładne i z pewnością prezentowały się pięknie, ale na żywej, soczystej zielonej, gęstej choince, jaka widniała na okładce kupionego poradnika. Ni w ząb nie pasowały do łysego, plastikowego kikuta! Matka Jakuba splotła ręce na biuście i wydeła wargi, leciutko prychnając.

– Może jednak przyniesiesz te bombki?

Młoda kobieta skinęła głową. Nie było jej w smak, że musi ustąpić teściowej, ale w tej postaci ich choinka mogła pretendować do tytułu Najgorzej Przystrojonego Drzewka Roku! Właściwie to można by ją zamieścić w poradniku zatytułowanym: *Jak NIE przystrajać świątecznej choinki*.

Przytaszczone z piwnicy bombki zostały naprędce odkurzone. Monika wieszała je na cienkich gałązkach, udając, że nie widzi, jak teściowa zdejmuje jej naturalne ozdoby i formuje z nich niewielki stosik na dywanie. Zachwycony barwnymi kulami Piotruś zaczął radośnie popiskiwać na dywanie, co wzbudziło zainteresowanie Jakuba. Mężczyzna odłożył gazetę i przyjrzał się choince.

– Jakie piękne drzewko! – zawołał z entuzjazmem. Monika poczuła, że w jej gardle rośnie ogromna gula.

– Prawda? – rozpromieniła się mama Kwiatek. – A to jeszcze nie wszystko! Poczekaście chwileczkę!

Z przepastnej torebki w kolorze bakłażana wychynęła foliowa torba. Mama Kwiatek

rozsupłała ją sprawnie i wydobyła zwój połyskliwych, srebrzystych nitek. W pierwszej chwili Monika pomyślała, że teściowa zamierza założyć perukę, ta jednak zaczęła rozdzielać kłębek na mniejsze strzępki i obrzucać nimi drzewko.

– Matko boska, co to za włosy? – przeraziła się.

– Anielskie – zaśmiał się Kuba, podchodząc do drzewka i pomagając zarzucić włosie na najwyższe gałązki. – No, teraz to jest naprawdę cudowna choinka! – Kręcił z podziwem głową. – Miałaś wspaniały pomysł, mamó! Przecież to nasza choinka! Pamiętam ją z dzieciństwa i anielskie włosy też pamiętam. A co się stało z bombką w kształcie Mikołaja? – dopytywał.

Monika poczuła, że nie może już słuchać tej paplaniny. Tak bardzo się starała, aby pierwsze święta we trójkę wypadły wyjątkowo! Czuła się jak idiotka! Pięknych ozdób, które tak starannie wybierała, Jakub nawet na zauważył, za to zachwycał się kolorowymi kulami ze szkła i wyliniałym srebrnym włosiem! Radośnie przekrzykiwał się z matką, wymieniając kolejne zapamiętane z dzieciństwa dekoracje. A pamiętasz te srebrne szyszki, które po zawieszeniu wyglądały jak pająki? A metalowe bombki? A szpic? A ptaszki i łańcuchy klejone z kolorowego papieru?

Nawet nie zauważyli, kiedy wyszła z pokoju, narzuciła kurtkę i opuściła mieszkanie. Zbiegła po schodach wstrząsana gwałtownym szlochem i wypadła na podwórko, w ostatniej chwili rejestrując, że na stopach ma cienutkie kapcie. Czuła chłód bijący od zmrożonego chodnika, ale opatulila się szczelniej okryciem i ruszyła przed siebie. Zawędrowała w kierunku śmietnika i usiadła na porzuconym przez kogoś metalowym wiaderku.

Zatopiona w niewesołych myślach nie zauważyła, że do kontenera zbliżyła się sąsiadka z parteru. Pani Michalska opróżniła kubek, przyjrzała się badawczo zapłakanej kobiecie, westchnęła głęboko i podeszła. Szturchnęła Monikę kościstym palcem w okolicy lewej łopatki.

– Przysłali rachunek za prąd i mąż wyrzucił cię z domu? – zapytała.

– Skąd. Sama wyszłam.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby wyrzucił – kontynuowała niezrażona sąsiadka. – Takie aluminacje muszą sporo prądu ciągnąć...

– Aluminacje? – Monika zamyśliła się, a następnie kiwnęła głową. – Na pewno.

– To dlaczego tu siedzisz?

– A nie można posiedzieć? – odpowiedziała pytaniem, przybierając zaczepny ton. – Wyszłam sobie pooddychać świeżym powietrzem.

– No, w naszym miasteczku to rzeczywiście jest czym pooddychać – sarknęła sąsiadka. – Masz zapalenie spojówek?

– Mam deficyt świętego spokoju! – warknęła.

Pani Michalska przestąpiła z nogi na nogę. Monika miała nadzieję, że sąsiadka sobie pójdzie, ale ta najwyraźniej nie zamierzała się oddalić. Rozejrzała się na boki, a nie znalazłszy nic, co mogłaby wykorzystać w charakterze siedziska, odwróciła do góry dnem własny kubek i klapnęła obok.

– Pooddycham sobie z tobą – stwierdziła. – A ta twoja teściowa to długo jeszcze zostanie?

– Nie mam pojęcia. – Monika wzruszyła ramionami. – Kilka dni, może tygodni. Z założenia do świąt, tylko nie wiadomo których.

– Daje ci w kość?

– Trochę. Nie jestem przyzwyczajona, żeby ktoś mnie ustawiał.

– To dlaczego dajesz się ustawiać?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Monika zaczerpnęła mocno powietrza, a następnie gwałtownie uwolniła je z płuc. – Nie, to nie tak. Ona mnie nie ustawia. Ona mnie przytłacza.

Wszystko wie lepiej, a na mnie patrzy jak na niedojdę! Cokolwiek powiem lub zrobię, prychna, przewraca oczami albo robi minę, jakby ugryzła się w język. Przecież ja wiem, że wielu rzeczy nie umiem. Ale staram się. Uczę się. Śmieją się ze mnie, że czytam te książki, ale...

– Jakie książki? – bezceremonialnie przerwała sąsiadka.

– A takie tam różne, poradniki dla młodych mam. – Monika poczuła, że się rumieni. – Kiedy urodził się Piotruś, nie miałam o niczym pojęcia. Jak przewijać, kąpać, bawić – wyznała w przypływie szczerości. – Pierwszy poradnik dostałam od koleżanki, a potem... potem cieszyłam się, że coś mi podpowiada, co robić.

– A twoja matka?

– Zmarła, gdy miałam piętnaście lat. Nie zdążyła mnie niczego nauczyć.

– Niech to szlag.

– No właśnie: niech to szlag.

– A teściowa nie mogła ci doradzić?

– Teściowa nic nie robiła, tylko doradzała i pouczała.

– Hmm...

– A najbardziej wkurzające jest to, kiedy szczyci się, jak wychowała Kubę! Cokolwiek on zrobi, wyniesie śmieci, zobacz, jakiego dżentelmena masz w domu! Porządnie go wychowałam. Kuba dużo zarabia, dobrze, że pilnowałam, by się uczył, dzięki temu macie Lżej i nie musisz iść do pracy. Kuba zawsze sprząta po sobie skarpetki i opuszcza deskę, ja go tego nauczyłam, dzięki temu ty nie musisz się denerwować! A ja nic nie robię, tylko się denerwuję!

– Dlaczego?

– Bo czuję się tak, jakby ona rzucała mi wyzwanie. A kiedy próbuję je podjąć, okazuje się, że wszystko robię nie tak. Kupuję nie takie zabawki. Stosuję nie taką dietę. Nie tak ubieram choinkę. Nie tak tulę. Śpiewam nie takie piosenki. Bo ja się wymądrzam i wymyślam. Bo kiedyś było inaczej, a ona wychowała takiego dobrego syna. Czuję się złą mamą i sięgam po te cholerne poradniki. Stosuję się do następnych rad i po raz kolejny słyszę to prychnięcie. Więc szukam kolejnych rad, lepszych, i kolejnych, i lepszych, i...

– Olej to! – mruknęła sąsiadka.

– Proszę?! – słowa sąsiadki wprawiły Monikę w osłupienie. Nie spodziewała się takiej uwagi po dozorczyni. Prawdę powiedziawszy, pani Michalska budziła w niej lęk. Wiecznie uzbrojona w miotłę, podparta pod boki i sarkająca na lokatorów wnoszących błoto na wypastowane schody, kojarzyła się z surową nauczycielką i taki ton zupełnie do niej nie pasował. Już bardziej...

– Głucha jesteś? To umów się na wizytę do laryngologa! – No, właśnie. Ta intonacja idealnie odpowiadała obrazowi pani Michalskiej w wyobrażeniu Moniki. Uśmiechnęła się pod nosem, tymczasem starsza pani kontynuowała: – Urodziłaś syna i nikt go za ciebie nie wychowa, ani teściowa, ani głupia książka. Przestań słuchać jednej i drugiej, zaufaj samej sobie, popatrz na synka i poczujesz, co jest dla niego lepsze. Nam wmawiali, że szpinak ma dużo żelaza i dawaliśmy się nim faszerować jak tuczone indyki, a niedawno przeczytałam, że to pic na wodę. Jakiś bęcwał pomylił się, stawiając przecinek, a ja przez to do dzisiaj mam alergię na zielone jedzenie!

– To przykre. – Monika pociągnęła nosem. Pani Michalska spojrzała na nią z ukosa.

– Przykre to będzie, jak się w tych cieniutkich paputkach przeziębisz. Wracaj do domu do męża i dziecka, a nie pociągaj mi tu nosem przy śmietniku!

– Już idę. – Monika z ociąganiem podniosła się z metalowego siedziska. Ruszyła w kierunku bloku, ale po kilku krokach obejrzała się na sąsiadkę. Pani Michalska gramoliła się z kubelka, głośno posapując, więc wróciła i złapała ją pod ramię.

- Dziękuję – burknęła po swoim dozorczyni. Monika uśmiechnęła się pod nosem.
- Nie, to ja dziękuję.

Zuzanna

Po rozmowie z Kaliną Radecką-Piórecką Zuza poczuła spokój. Pani detektyw okazała się być energiczną osobką o gorącym temperamencie i dobrym sercu. Opowiedziała Zuzannie i Karolinie, jak poznała swojego męża i wstąpiła na drogę detektywistyczną. I jak przygarnęła Młynka, porzuconą przez właściciela psią sierotę. Na zadane zalęknionym szeptem pytanie, czy pies jest rzeczywiście tak bezwzględny, jak mówią co niektórzy, Kalina przybrała poważną minę i skinęła głową.

– To niestety prawda. Potrafi bezwzględnie rozprawić się z każdą miską chrupek w trzy minuty. – I zaniósła się perlistym śmiechem.

Spotkanie nie trwało długo, ponieważ Kalina Radecka-Piórecka nie chciała drażnić męża. Marek Piórecki wolał, by na czas oczekiwania na dziecko Kalina porzuciła zajęcia związane z agencją detektywistyczną.

– Nie pozwala mi pracować, bo według niego za często pakuję się w tarapaty! Oczywiście grubo przesadza, ale nie zamierzam z nim zaczynać. Jeszcze każe nam spać na wycieracze albo, co gorsza, zadzwoni po moją matkę i załatwi mi towarzystwo na resztę wieczoru.

Kolejne spotkanie zostało umówione na poniedziałek, dziewiętnastego grudnia. Zgodnie z ustaleniami Kalina miała przyjechać do Kalwarii i przeprowadzić rekonesans na miejscu.

– Ale jak to? – dziwiła się świeżo upieczona klientka.

– Tak to. Będę chodzić po mieście i wypytywać o twojego męża. Uwierz, żonie nikt nic nie szepnie, za to zupełnie obcej babie w jednej chwili wyśpiewają, gdzie Kajetan trzyma te swoje kochanki!

– Kochanki? – pisnęła nieszczęśliwa Zuza.

Radecka-Piórecka wzruszyła ramionami z rozbrajającym uśmiechem.

– Lubię liczbę mnogą.

W poniedziałkowe popołudnie Zuzanna oczekiwała gościa z wypiekami na twarzy. Wcześniej upiekła babeczki z nadzieniem żurawinowym i zadbała, żeby mąż nie przeszkodził im w konwersacji. W tym celu poprosiła go, by po pracy wpadł do dyskontu po zakupy. Kajtek spojrział na nią z żądzą mordu w oczach, więc poklepała go po ramieniu, mówiąc:

– Mam ważne spotkanie, kochanie, więc nie mogę pójść sama. Musisz mnie wyręczyć.

– Jakie spotkanie znów?

– Z Ka... z Karoliną.

– Z Karoliną? – zdziwił się Kajetan. – Przecież Karolina siedzi u nas średnio osiem dni w tygodniu. To nie jest ważne. To jest upierdliwe.

Pozbywszy się z domu również córki, która dostała dychę na gofry i przykaz, by nie wracać przed siedemnastą, Zuzanna była gotowa na spotkanie. Czekając na Kalinę, zabrała się za szorowanie piekarnika. Święta za pasem, a on nadal był zatłuszczony! Zuzanna pociągnęła nosem. Babeczki zalatywały niedzielny kurczakiem!

Zzianą Kalina pojawiła się z dziesięciminutowym poślizgiem. Zadzwoniła do drzwi, wpadła do przedpokoju, zrzuciła buty i kurtkę, a następnie zaczęła przeproszać za spóźnienie.

– To wszystko przez Młynka – tłumaczyła. – Koniecznie musiał oznaczyć każdy krzaczek. A krzaczków to wy tu trochę macie! Na koniec obsikał jeszcze choinkę. Jeśli na wiosnę zdechnie, znaczy uschnie, proszę nam wysłać rachunek na adres agencji. Naszym stałym

klientem jest zazdrosny o żonę właściciel sklepu ogrodniczego. Proszę się nie krępować, mamy duży rabat!

– Zapamiętam. – Zuza kiwnęła głową, odbierając od gościa kurteczkę i prowadząc w kierunku kuchni. – Chętnie skorzystam. Na wiosnę będę potrzebować surfinii na balkon. Albo bratków na grób męża. Jeszcze nie wiem.

– Wszystko wkrótce ustalimy i będzie można planować wiosenne zakupy. – Kalina pociągnęła nosem. – Coś tu ładnie pachnie!

– Babeczki z nadzieniem żurawinowym! – Gospodyni rozpromieniła się. – Zapraszam.

– Nie, to coś innego. Domestos! Przepraszam, moje zmysły w ciąży oszalały. Wącham domestos, zjadam frytki z dżemem porzeczkowym, słucham... nie, nie przyznam się, czego słucham. Mówmy sobie po imieniu, dobrze? Jesteśmy za młode, by nadużywać słowa na pe. Przynajmniej takiego.

Kalina usadowiła się za stołem, jej bezwzględny pies rozłożył się pod taboretem i rozpoczął mycie poszczególnych części ciała, a Zuza postanowiła zaparzyć kawę. Pani detektyw położyła przed sobą niewielki notesik i z ciekawością rozejrzała się po kuchni.

– Przytulne mieszkanko. Zanim tu przyjechałam, trochę pobłądziłam, więc z konieczności obejrzałam też miasteczko. Nie byłam tu od lat. Ostatnio jako mała dziewczynka.

– Naprawdę? – zdziwiła się Zuzanna.

– Pewnie! Babcia zabierała mnie na odpust pod klasztor. Pamiętam kiszone ogórki z beczki i lody na cienkim patyczku.

– Pingwiny! – zawołała zachwycona Zuza. – Były białe i różowe! A może żółte? Teraz łatwiej kupić plastikowe zabawki z Chin niż porządnie dokiszzonego ogórka na Kalwarii.

– Cudowne wspomnienia z dzieciństwa, ale wtedy narzekałam. Pamiętam, że wysiadłyśmy z pociągu, babcia pokazała mi klasztor na wzgórzu, a ja położyłam się na chodniku i powiedziałam, że tam nie pójdę, bo to daleko! Leżałam na tym chodniku jak rozplaszczony naleśnik, a ludzie nade mną przechodzili. W końcu dostałam w dupę i energia mi wróciła. Babcia się nie certoliła, szczególnie w kwestiach religijnych. Dobra, musimy się streszczać. Za jakieś pół godziny mąż zacznie za mną wydzwaniać i cały detektywistyczny nastrój pójdzie w diabły!

– Jak przyjął fakt, że zajęłaś się moją sprawą?

– Wcale nie przyjął. Zapytał, gdzie jadę, więc powiedziałam, że do Kalwarii. Pewnie myśli, że modlę się o szczęśliwe rozwiązanie. Może to nie taki głupi pomysł? Podjadę pod klasztor w drodze powrotnej.

– Jak działamy? – Zuza postawiła na stole dwa kubki z kawą i spojrzała na panią detektyw wyczekująco.

– Sprawnie! – zaśmiała się Radecka-Piórecka, otwierając notesik na stronie, na której podczas pierwszego spotkania zanotowała informacje na temat małżeństwa Fijusów. – Podejrzewasz, że twój mąż ma inną kobietę, ponieważ a: przechowuje gazetki z rozebranymi paniami, b: odmawia spełniania małżeńskich obowiązków, c: ogólnie zachowuje się dziwnie i zupełnie nie jak on – odczytawszy zapiski, Kalina spojrzała na Zuzę pytająco. – Chcesz coś dodać?

– Tak! – wykrzyknęła podniecona Zuza, której zabawa w detektywa tak bardzo przypadła do gustu, że całkowicie zapomniała, iż obciążające dowody powinny wzbudzać w niej niechęć. – Podczas porządkowania szuflady z bielizną odkryłam, że Kajetan zaczął zakładać seksowne slipki, które kupiłam mu na walentynki lata temu. Majtki miały dziurę na tyłku, hmmm, były wyraźnie wyeksploatowane!

– Aha, czyli Kajtek został bez majtek – rzuciła beztróska Kalina, zapisując nowe informacje w notesiku. – Gdzie pracuje twój mąż?

– Tutaj, niedaleko, w miejscowym zakładzie stolarskim. Jest księgowym.

– Uhm. To bardzo dobrze.

– Dlaczego dobrze?

– Bo statystyki mówią, że większość romansów nawiązuje się w miejscu pracy. Poszukiwania potencjalnej kochanki zaczniemy więc od zakładu pracy Kajetana. Tym samym ograniczymy się do jednego miasteczka i nie będziemy musiały latać po Majorkach, Ibiza i innych Barcelonach.

– Takie zlecenia też miałaś? – Zuzanna wpatrywała się w Radecką-Piórecką z nabożnym zachwytem.

– Nie, ale pomarzyć można.

– Jest jeden problem. – Zuzanna sięgnęła do szuflady po kartkę papieru i długopis.

– Jaki?

– W firmie Kajtka raczej nie pracuje żadna kobieta.

– Bardzo dobrze. Będzie nam łatwiej wskazać winowajczynię.

– Ale wskazać spośród kogo? – zmartwiła się potencjalnie zdradzana żona.

– O to się nie martw. – Kalina machnęła ręką, zapisując w notesie kolejne wnioski. Zuzanna także pochyliła się nad kartką i zaczęła notować. – Wiem z doświadczenia, że coś się zawsze wygrzebie, a najciemniej jest pod latarnią. Ta twoja przyjaciółka chociażby. Czy ty jej ufasz?

– Oczywiście!

– No, właśnie. Ja swojej też ufałam. A jak przyszło co do czego, to się okazało, że mój były narzeczony umawiał się z nią na piżamówki. Na dodatek bez piżamy.

– To okropne!

– Zgadzam się. Dlatego przewietrz umysł i nie uprzedzaj faktów. – Radecka-Piórecka zmarszczyła brwi. – Co ty tam gryzmolisz?

Spłoszona Zuzanna poderwała głowę znad kartki i pokryła się rumieńcem.

– Och, nie lubię siedzieć beczynn timer. Zapisuję listę świątecznych sprawunków. Przepraszam.

– Nie przepraszaj. – Kalina wzruszyła ramionami. – Został niecały tydzień do świąt. Masz może kalkę? Mnie też przydałaby się taka lista...

– Nie mam, ale chętnie przepiszę ją dla ciebie.

– Super. Będę wdzięczna. To moje pierwsze święta w roli żony. Nie chcę dać plamy. Będzie mamusia.

– Teściowa? – ton Zuzy ociekał współczuciem.

– Gorzej, moja własna. No, dobra. – Kalina ze stęknieniem podniosła się z krzesła. – Ty sobie szoruj domestosem według uznania, a ja szoruję na miasto zasięgnąć języka o twoim mężulku. Nie dopiłam kawy, ale dla mojego pęcherza to nawet lepiej... Dam ci znać, czego się dowiedziałam, i ustalimy plan działania. Dobrze byłoby się z tym uporać przed świętami, żebyś spędziła je spokojnie.

Zuza odprowadziła Kalinę do drzwi i pożegnała ją ciepłym uśmiechem. Ośmieliła się nawet pogłodzić futro bezwzględного Młynka, który spojrział na nią zaskakująco łagodnie i zamerdał kudłatym ogonem. Wydaje się sympatyczny, pomyślała Zuzanna, nurkując pod stół i zmiatając pozostawione przez psisko kłaczki. Ale trzeba pamiętać, że to samiec, a oni potrafią mamieć.

Wyrzucając zmiecione futerko do kosza na odpadki, Zuzanna pociągnęła nosem, ale poza słabą wonią domestosu i upieczonych babeczek nie wyczuła żadnego zapachu. Niektórzy ludzie akceptowali zwierzęta w swoim życiu i mieszkaniu, inni akceptowali je w życiu innych. Zuzanna

należała do tej drugiej grupy.

Kajetan

Rozeźlony Kajtek wędrował pomiędzy regałami sklepu, ściągając z półek kolejne artykuły spożywcze. Nie potrafił pozbyć się wrażenia, że Zuzanna specjalnie opóźniła jego powrót do domu. Bo czy w świątecznych przygotowaniach tak kluczową rolę mogły odegrać płatki kukurydziane, marynowane cebulki i przyprawa curry, które odkrył na naprędce sporządzonej przez żonę liście sprawunków?

Z pewnością teraz siedziały z Karoliną przed telewizorem, oglądały babskie seriale, a Zuza roztaczała przed przyjaciółką arkana swego romansu!

Zgrzytający zębami Kajtek umieścił w koszyku dwie torebki przyprawy i ruszył na poszukiwanie kiszonych ogórków w słoiku. Przy regale z przetworami natknął się na przyjaciółkę żony. Karolina powitała go serdecznym uśmiechem. Osłupiały Kajetan przez moment nie mógł wypowiedzieć słowa i tylko otwierał i zamykał usta.

– Co ty tu robisz? – w końcu udało mu się wydukać.

Karolina spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Przecież zawsze robię tutaj zakupy! Mieszkam rzut beretem stąd!

– Wiem, gdzie mieszkasz! – burknął nieprzyjemnie Kajtek. – Myślałem, że dzisiaj spotykasz się z Zuzą? Wspominała, że macie jakieś babskie sprawy, i kazała mi pójść po zakupy, żebym wam nie przeszkadzał.

Teraz to Karolina wpatrywała się w Kajetana osłupiała, zaraz jednak odzyskała rezon.

– No, taaak! Masz zupełną rację! Spotykamy się!

– Jak to się spotykacie, skoro ty jesteś tutaj, a ona tam?

– Właśnie do wasjechałam, ale postanowiłam kupić jeszcze przekąski.

Kajtek zajął do stojącego na podłodze koszyka i aż uniósł brwi. Na dnie dostrzegł kostkę toaletową i słoik przecieru z ogórków.

– Smacznego! – rzucił w kierunku Karoliny, łapiąc rączkę koszyka i ruszając w kierunku stoiska z alkoholem. Zrozumiał, że przyjaciółka była tylko alibi, którym Zuzanna posłużyła się, planując kolejną schadzke z kochankiem. Z przerażeniem pomyślał, że jego żona staje się coraz bardziej perfidna i wyrachowana! Zaprosiła kochasia do ich mieszkania, by przyoblec czarne koronki i figlować na małżeńskiej wersalce? A może pod prysznicem, by nie pozostawić śladów? Choć tam musiałyby zrezygnować z koronek... Zdruzgotany Kajtek sięgnął po czteropak ulubionego piwa, zdecydowany zagłuszyć przykre myśli. W ostatniej chwili zmienił zdanie, odstawił trunek na półkę i wy dobył z kieszeni telefon. Wybrał numer, który wprowadził do komórki przed zaledwie kilkoma dniami.

– To ja. Zuzanna znowu to robi. Dłużej tego nie wytrzymam. Muszę rozwiązać ten problem jeszcze przed świętami, inaczej zwariuję! Spotkajmy się w kawiarni w rynku, by zaplanować naszą akcję! – zaproponował. W słuchawce zatrzeszczało coś przeciągle, a zadowolony z siebie Kajtek biegiem ruszył do wyjścia, zapominając o przyprawie curry, płatkach kukurydzianych i marynowanych cebulkach.

Stasia

Przed kościółkiem świętego Józefa dwie ośmioletnie dziewczynki stanęły naprzeciwko siebie z ponurymi minami. Jedna z nich miała na głowie białą czapczkę z ogromnym pomponem, spod której wystawała mocno wystrzępiona grzywka z jeszcze mocniej wystrzępionym różowym pasemkiem. Druga nosiła czerwony berecik z zabawną antenką.

Przez krótką chwilę dziewczynki mierzyły się spojrzeniami, aż w końcu właścicielka różowego pasemka westchnęła głęboko i wzruszyła ramionami.

– No to chodźmy.

– Chodźmy – zgodziła się Stasia.

Ramię w ramię dwie uczennice 2a wkroczyły do wnętrza kościoła i ruszyły w kierunku ławki przed ołtarzem, gdzie czekał na nie ksiądz Wojciech. Na widok dziewczynek Wojtek przeżegnał się, ucałował krzyżyk różańca i wsunął koronkę do kieszeni sutanny. Z namysłem przyglądał się dwóm wojowniczkom, które na wniosek wychowawcy miały zbudować dla niego szopkę. Początkowo był nastawiony do tego bardzo sceptycznie. Poprosił Macieja, aby ten wynalazł dla Stasi jakieś zajęcie, w które zaangażuje się także inne dziecko, ale nie podejrzewał, że wuefista przeniesie ten pomysł na jego własne podwórko. Oby nie było z tego awantury, pomyślał, wpatrując się w zawzięte buzie dwóch dziewczynek.

Poprowadził Kasię i Stasię do kącika, w którym miała powstać szopka. Za kilka dni miejsce to wypełnią choinki przystrojone jasnymi światełkami.

– Wychowawca poprosił, żebym pozwolił wam wszystko zrobić samodzielnie. Możecie korzystać z kartonów, drewna, słomy, plastikowych zwierzątek i czego tylko zapragniecie. Byle kościół stał na swoim miejscu i obyło się bez pożaru – zażartował. – Dacie radę?

Odpowiedziały mu dwa kiwnięcia małych główek. Zatoczył ręką wkoło i uśmiechnął się przyjaźnie.

– W takim razie ten kącik pozostawiam w waszych rękach. Przygotujcie taką szopkę, by nasi parafianie zapamiętali ją na długo! Powodzenia!

Kiedy ksiądz Wojtek zniknął, Stasia zdjęła czerwony beret i rozpięła kurtkę. Z plecaka wydobyła zeszyt i położyła go na kolanach.

– Musimy wszystko zaplanować – zwróciła się do koleżanki z poważną miną.

– Okej. Stajenkę zrobimy z pudełka!

– Z pudełka? Widziałaś kiedyś kartonową stajenkę?

– A masz lepszy pomysł? – zaciętrzewiła się Kasia.

– Właśnie mam. Nasza sąsiadka z parteru ma duży karmnik dla ptaków. Jeśli uzupełnimy ścianki tym pudełkiem, o którym wspominałaś, to będzie fajnie wyglądać. Może być?

– No, dobra, możemy spróbować. Ale pudełko trzeba będzie pomalować farbami. Na brązowo.

– A może lepiej na szaro?

– A w środku położymy słomę!

– Siano! Słoma jest twarda, a siano ładnie pachnie!

– Mam żłóbek.

– Chyba żłóbek – poprawiła Stasia.

– Sama jesteś żłóbek. A skąd weźmiemy zwierzęta?

- Wydrukujemy z internetu!
 - Drukowane zwierzęta? Do szopki?
 - A masz lepszy pomysł?
 - Mam! – zawołała triumfalnie Kasia. – W zerówce bawiliśmy się takimi gumowymi zwierzątkami. Może nam je wypożyczą? Były tam koza, krowa i lew.
 - Lew do szopki? – Stasia spojrzała na koleżankę sceptycznie.
 - A co? Nie wolno nikogo dyskryminować!
 - Chyba dyskryminować.
 - Przecież mówię. To co, pójdziemy jutro do zerówki po zwierzątko? W domu mam kucyka, jest co prawda różowy, ale mama ma farby w spreju, które łatwo się zmywają. Zrobię go na rudo.
 - Ja nie mam kucyka – ponuro obwieściła Stasia. – Ale mogę przynieść gwiazdę betlejemską. Moja mama ma pasek z taką dużą złotą klamrą. Na pewno nam pożyczy.
 - Dobra. A mój wujek przywiezie nam trochę siana. Pracuje w gospodarstwie rolnym – obwieściła z dumą Kasia. – Tam się robi mleko.
 - Mamy już prawie wszystko – podsumowała Stasia, notując poszczególne elementy szopki w zeszycie. – Brakuje nam tylko Jezuska...
 - Moja młodsza siostra ma maleńką laleczkę bobasa.
 - ...Józefa, Maryi i pastuszków. Chyba najlepsze będą lalki, ale muszą być do siebie chociaż trochę podobne.
- Kasia uśmiechnęła się szeroko do koleżanki, odsłaniając imponującą szczerbę w uzębieniu.
- Chyba mam takie.

Anna

Anna Jurczyk rozsiadła się w ulubionym fotelu, uruchamiając telewizor i kładąc na kolanach robótkę. Uwielbiała spędzać w ten sposób czas. Sknerstwo Waldemara pozbawiało ją przyjemności biegania po sklepach i przeglądania fatalaszków, seanse w kinie również odpadały, przyjaciółek nie miała. Czerpała więc przyjemność z tego, co posiadała: dzierganego na drutach sweterka, przyniesionej z biblioteki książki i mocnej herbaty, choć przy tej ostatniej musiała solidnie się nagimnastykować, by mąż nie zauważył, że jedną torebkę wykorzystuje do parzenia jednej herbaty, a nie trzech, jak sugerował.

Na ekranie zamigotała barwna reklama, więc Anna ściszyła głos i pochyliła głowę nad robótką. Druty poruszały się rytmicznie, postukując i wyczarowując z kłębka niebieskiej wełny coś, co miało się stać nowym elementem jej garderoby. Kobieta uśmiechnęła się na myśl, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, już wkrótce zacznie wykonywać ubranka w znacznie mniejszym rozmiarze.

Nagle jej uwagę przykuł hałas dobiegający z klatki schodowej. Czy tylko jej się wydawało, czy naprawdę usłyszała głos męża? Waldemar wyszedł do sklepu, by kupić mleko i sprawdzić, czy bezczelni sklepikarze podnieśli już ceny przed świętami. Możliwość zapisania nowych cyferek w notesie i utyskiwania na handlowców wprawiła go w wyśmienity nastrój, więc żona nie spodziewała się go szybko.

Zaintrygowana kobieta podniosła się z fotela, odłożyła robótkę na stolik i podeszła do drzwi. Wyrzała przez wizjer i zaskoczona stwierdziła, że na klatce schodowej toczy się właśnie mała wojna, a celem ataku jest jej własny, mocno zaczerwieniony małżonek. Anna przekręciła zamki, otworzyła drzwi i wychyliła się na korytarz. Na jej widok Waldemar poczerwieniał jeszcze mocniej i zamachał rękami.

– Wracaj do mieszkania!

– Ale co się...? – zaczęła, lecz mąż przerwał jej bezceremonialnie.

– Chyba nie chcesz się przeziębnić, Aniu? Nie teraz?

– Na klatce jest gorąco jak w dżungli! – parsknęła. Skrzyżowała ramiona na piersi i odwróciła się w stronę drugiej strony konfliktu, którą stanowiła sąsiadka z trzeciego piętra, pani Malinowska. – Czy ja się w końcu dowiem, o co tutaj chodzi?

– Proszę bardzo! – fuknęła rozwścieczona kobieta, nacierając na Waldemara z groźnie wysuniętym palcem wskazującym. Mężczyzna cofnął się o dwa kroki i skrył za plecami Anny. – Właśnie mówię pani małżonkowi, żeby przestał wyjadać moje korniszonki!

– Słucham? – Zszokowana Anna spojrzała na sąsiadkę wytrzeszczonymi oczyma.

– Korniszonki. Nie po to robię przetwory na zimę, aby obcy mi je potem wyjadał! Cichaczem!

– Ale w jaki sposób ktoś miałby zjadać pani korniszonki? – dopytywała Anna. Sytuacja wydawała się tak absurdalna, że miała wrażenie, że zaraz zaśmieje się sąsiadce prosto w twarz. A na domiar złego na schodach zadudniły kroki i ukazała się mocno zziębnięta Zuzanna Fijus. Na widok zebrania pod mieszkaniem Jurczyków przystanęła i oparłszy na biodrze wiklinowy kosz z wilgotnym praniem, bez skrępowania zaczęła przysłuchiwać się dyskusji.

– Jak mniemam, ustami – tłumaczyła tymczasem właścicielka korniszonów. – Bo chyba tylko tak zjada się przetwory...

– Jeśli już o przetworach mowa – ożywiona Zuzanna przerwała bezceremonialnie pani Malinowskiej – to u mnie zniknęły kompoty. Wiśniowe i truskawkowe.

Zza pleców Anny dobiegło prychnięcie. Kobieta obejrzała się na męża, a widząc jego rozbiegane spojrzenie, poczuła pierwsze ukłucie niepokoju.

– Mam zanotowane, ile przygotowuję kompotów z wiśni, ile z truskawek, a ile z brzoskwiń – z dumą wyjaśniła Zuzanna, podzuczając na biodrze ciężki koszyk. – Zapisuję też, ile wypijamy, żeby wiedzieć, czy w kolejnym roku zrobić więcej.

– Świetny pomysł – wykazała uprzejmie uznanie pani Malinowska.

– Dzięki temu wiem, że od początku grudnia ktoś wypił cztery kompoty truskawkowe, trzy wiśniowe i jeden brzoskwiniowy – kontynuowała Zuzanna.

– Jak widać, takie notatki są w pełni wskazane – zauważyła sąsiadka z trzeciego piętra, znacząco spoglądając na Jurczyków. – Ja co prawda nie zapisywałam, za to znalazłam kilka naruszonych słoików. W jednym ogórek był nadgryziony do połowy! – Mina pani Malinowskiej wskazywała, że mocniej uraziła ją niedojedzona połówka ogórka niż opróżnione słoiki. Czyżby złodziejaskowi nie posmakowały jej przetwory?

– Drogie panie, spokojnie! – Anna parsknęła śmiechem i nerwowo obejrzała się na męża.

– Przecież wasze oskarżenia są absurdalne! Jak możecie podejrzewać mojego męża, że wyjada i wypija wasze przetwory? Przecież my mamy własne!

– Też tak pomyślałam. – Pani Malinowska pokiwała głową. – Dlatego zakradłam się do piwnicy i obejrzałam wasze słoiki. Korniszonków nie macie – rzuciła oskarżycielsko.

– Bo ich nie lubimy! – westchnęła Anna. – Prawda, Walduś?

– Uhm. – Mężczyzna zgodnie skinął głową. – W ogóle nie lubimy.

– Też tak pomyślałam. – Pani Malinowska ruszyła powoli w kierunku schodów, w ostatniej chwili obejrzała się jednak przez ramię i triumfalnie wycelowała palcem w Annę. – Dlatego pewnego wieczoru zakradłam się do piwnicy za pani mężem i przyłapałam go na gorącym uczynku! Młaskał.

– Naprawdę? – Anna spojrzała pytająco na męża, ale ten wyraźnie unikał jej wzroku. Tymczasem triumfująca pani Malinowska zniknęła za załomem schodów i na placu boju przed mieszkaniem Jurczyków pozostała tylko zakłopotana Zuzanna i oni sami. Sąsiadka spod piątki pokiwała głową.

– Panie Waldku, nie wstyd panu?

– Mnie? – parsknął Jurczyk, wychylając się zza pleców zdumionej żony. – To nie ja powinienem się wstydzić, ale pani! Wypominać mi jeden kompocik albo pięć, a samej trzymać takie świństwa w piwnicy?!

– Waldek! – wykrzyknęła zduszonym głosem Anna, usiłując powstrzymać męża, ale Waldemar odzyskał już rezon i teraz spoglądał na zaskoczoną i lekko przestraszoną Zuzannę ze złością.

– Świństwa? – łamiącym się głosem powtórzyła sąsiadka. – Nikt nigdy nic nie zarzucił moim kompotom! Są gotowane według tradycyjnej receptury przekazywanej w naszej rodzinie z matki na córkę... Rozumiem, że pan wypił, ale tak wyszydzać?

– A pani się uwiesiła tych kompotów jak pajac choinki! – chrypiał Waldemar. – Nie będę z panią rozmawiał na temat zawartości waszej piwnicy, żeby oszczędzić wstydu przed moją żoną. Ona jest delikatna z natury i prawie spodziewa się dziecka!

– Być może żona jest delikatna, za to pan jest z natury prostak! – zachnęła się Zuzanna. – Zapewniam, że nie pozostawię tych oszczerstw ot tak! Moje kompoty zwyciężyły w konkursie organizowanym przez radę parafialną w 2014 roku i nie zasługują na takie potwarze! I znam psa, który rzuca się na męskie genitalia!

– Żegnam! – ryknął Waldemar, wpychając przerażoną Annę do mieszkania. Zamknął za nimi drzwi, przekręcając wszystkie zamki, i wyrztał przez wizjer na klatkę schodową. Kobieta wpatrywała się w niego oszołomiona.

– Waldek, o co chodzi? Jakie korniszony? Jakie kompoty? Jakie świństwa?

– Daj mi spokój, dobrze? Głowa mnie rozboleła od jazgotu tych dwóch wariatek! Robić tyle rabanu z powodu przesłodzonych kompotów i kilku słoików ogórków?

– Ale przecież...

– Przecież, przecież... nie ukradłem, przysięgam. Postawiły na naszej półce, a co u nas, to nasze, tak?

– Waldek, tak nie można! My tutaj mieszkamy, musimy dobrze żyć z ludźmi! Trzeba przeprosić sąsiadki, słyszysz?

– Zapomnij. I ty też masz się od nich trzymać z daleka. Rozumiemy się?

– Ale o co chodzi, Waldek? Dlaczego?

– Oni nie są tacy, za jakich chcą uchodzić – mruknął Waldemar, kręcąc głową. Przyciągnął do siebie Annę i pocałował ją w czubek głowy, a potem spojrzał jej prosto w oczy. – Zuzanna Fijus to zła, zepsuta kobieta! Zajmuje się świństwami i... i... dodaje do słoika kompotu co najmniej pół kilograma cukru!

Mama kwiatek

Matka Jakuba Kwiatka była kobietą zdecydowaną, dlatego już pięć minut po tym, jak syn przedstawił jej aktualną dziewczynę, zdecydowała, że ta się dla niego nie nadaje. Nie spodobała się jej ani czerwona sukienka („Bardzo twarzowa, ale do tego odcienia trzeba mieć karnację”), kierunek, na którym studiowała wybranka syna („ASP, naprawdę? No, popatrz, a ja nie potrzebowałam pięciu lat, by nauczyć się maziąć pędzlem, ha, ha, ha”), przyniesiona bombonierka („Nie musiałaś, kochaniutka. Tyle pieniędzy, a to i tak sam cukier”), ani pogodne usposobienie („Kubuś, dlaczego ona nie przestaje się uśmiechać? Może to jakaś skaza genetyczna?”).

Tak, matka Jakuba natychmiast dostrzegła, że Monika nie nadaje się na towarzyszkę życia jej syna. Problem w tym, że w ogóle nie dostrzegał tego Jakub.

Kiedy młodym Kwiatkom urodził się synek, matka Jakuba ze wstrzymanym oddechem oczekiwała, jak poradzi sobie świeżo upieczona mama, a następnie pokiwała głową z głośnym, znaczącym westchnięciem. Było dokładnie tak, jak przewidziała: Monika zupełnie nie odnalazła się w nowej roli. Była nieporadna, niezdecydowana i roztrzęsiona, zupełnie jakby bała się własnego dziecka! Od czego jednak są doświadczone, skore do pomocy babcie?

Mama Kwiatek z zapalem zabrała się do udzielania wskazówek i upomnień, opierając się na własnym, dość odległym w czasie doświadczeniu związanym z pielęgnacją niemowląt. Święcie wierzyła, że robi dobrze, więc kiedy zauważyła, że nad jej cenne rady synowa przedkłada mądrości zaczerpnięte z czytanych książek, poczuła się urażona.

Nie dała tego po sobie poznać, o nie! Cierpliwie czekała na dzień, kiedy jej mądrym synkowi powróci zdrowy rozsądek i zwróci się do niej o pomoc. Wiedziała, że prędzej czy później ten moment nadejdzie, i nie pomyliła się. A kiedy już do tego doszło, nie wykrzyknęła: „A nie mówiłam!”, jak uczyniłoby na jej miejscu wiele matek. Pokiwała głową i obiecała zrobić, co w jej mocy.

I właśnie tym zajmowała się od dnia, kiedy zamieszkała w mieszkaniu syna i synowej.

Zawiesiła świąteczne oświetlenie.

Przeforsowała porządną, plastikową choinkę i równie porządne ozdoby, a słomiane pierdółki synowej wyniosła do kontenera na surowce wtórne.

Wy rzuciła wykiełkowane nasionka, które synowa nie wiedzieć po co trzymała w lodówce.

Wybieliła kremowe biustonosze, myśląc, że dla niektórych pranie wciąż jest zbyt skomplikowane.

Przegoniła majstra, który przyszedł zmierzyć pokój wnuczka przed wykonaniem półki na książki (kolejnej!).

A dzisiaj zabrała się do przygotowywania pierogów z kapustą i grzybami według swojego tradycyjnego przepisu. Monika wzięła Piotrusia na spacer, więc miała całe mieszkanie dla siebie, dlatego zdumiała się, kiedy usłyszała dzwonek.

– Chyba nie kolejny majster? – mruknęła pod nosem, wycierając dłonie w ściereczkę i podchodząc do drzwi.

Na progu stała uśmiechnięta starowinka w kraciastym szaliku. Matka Jakuba uniosła pytającą brwi.

– Dzień dobry – wychrypiała przybyła. – Czy zastałam może Monikę?

– Niestety. – Mama Kwiatek potrząsnęła głową przecząco. – Synowa wyszła z Piotrusiem na spacer. Chociaż mówiłam, że dzisiaj za mocno wieje – dodała z westchnieniem, spoglądając wyczekująco na gościa.

– Strasznie wieje – przyznała staruszka, potrząsając zawiązanym pod szyją szalikiem. – Widzi pani, jaka jestem naubierana. W moim wieku trzeba zważać na przeciągi!

– Może pani wejdzie? – Mama Kwiatek odsunęła się z przejścia, gościnnie uchylając drzwi.

– Chętnie, dziękuję! – Staruszka wpadła do przedpokoju i energicznie zsunęła kozaki na grubej podszewie. – Tylko buty zdejmę, bo u was tak pięknie podłogi pomyte, że szkoda zdeptać. Wpadłam zapytać, czy pani Monika przyłączy się do wspólnego ubierania choinki przed blokiem.

– Tutaj? – Matka Jakuba wyciągnęła szyję w kierunku kuchennego okna.

– Nie, choinka rośnie od podwórka. – Staruszka przysunęła sobie taboret i opadła na niego ze stęknieniem. – Szkoda, że jej nie ma, bo zasapałam się straszliwie, a i tak przyszłam na darmo.

– No, nie wiem, czy Monikę interesują takie rzeczy. – Matka Jakuba zapaliła płomień pod czajnikiem i nie pytając gościa o zdanie, sięgnęła po dwie filiżanki. – Synowej daleko do tradycjonalistki. Pani wie, młode, wszystko wie po swojemu, zwyczaj i doświadczenie ma za nic... Siłą musiałam zmusić, by choinkę porządną ubrali dla dziecka.

– Bardzo ładna. – Pokiwała głową starsza pani, wyciągając szyję w kierunku drzwi do dużego pokoju. – Ma pani dobry gust. Przyda nam się taka osoba przy strojeniu drzewka przed blokiem. Proszę namówić syna i synową i dołączyć do nas w Wigilię.

– Kto wie? – Mama Kwiatek rozplątywała się w uśmiechach, stawiając przed starowinką filiżankę z kawą. – Może rzeczywiście przyjdę? Kiedyś ubierałam choinkę w naszym parafialnym kościółku! Ksiądz proboszcz wyczytał mnie z ambony! – obwieściła z dumą.

– Naprawdę? – Starowinka skrzywiła się boleśnie, najwyraźniej gorąca kawa sparzyła ją w język. – To rzeczywiście wielki zaszczyt. A co tam pani pichci? Pachnie bardzo smakowicie...

– Pierogi! – Mama Kwiatek trzasnęła filiżanką o blat stołu i rozpromieniona podbiegła do ustawionej na kuchennym blacie stolnicy. Złapała rondelkę po farszu i podetknęła gościowi pod nos. – Ten zapach to zasługa prawdziwych leśnych grzybków, które były suszone na słońcu. Osobiście zbieranych, przy takich rzeczach obcym nie można ufać! Moja sąsiadka kupiła kiedyś grzyby na placu i dramat! Prawdziwy dramat!

– Co się stało?

– Spleśniały! – wyszeptwała mama Kwiatek, wkładając w swoje słowa dramatyzm godny uśmiercenia co najmniej czteroosobowej rodziny. – Dlatego ja swoje grzybki zbieram sama. Nie lubię tego robić, ale raz do roku się poświęcam dla rodziny i udanej Wigilii. Idę w znane sobie miejsce w lesie, zbieram, suszę, a kiedy przychodzą święta: zużywam.

– Zużywa pani? – zdziwiła się staruszka.

– Tak, zużywam. Całe grzyby. Do farszu na pierogi właśnie. Bo widzi pani... – tu Mama Kwiatek pochylała się nad staruszką konfidencjonalnie – ...ja w ogóle grzybów nie lubię. Ani zbierać, ani jeść. Ale dla rodziny się poświęcam. Raz do roku zbieram i raz do roku zużywam. I raz do roku zjadam.

– Ciekawe. – Starowinka zajrzała do rondelka, którego brzegi oblepiały resztki aromatycznego farszu. – To bardzo miłe, że robi pani pierogi dla syna i synowej.

– Och. – Mama Kwiatek skrzywiła się boleśnie, odstawiając rondelkę na blat. – Nie mam wyjścia, droga pani. Moja synowa nie ceni tradycyjnej kuchni. Nie wie, że ja wiem, ale wiem, że

zamierzała w tym roku postawić na świątecznym stole pierogi z farszem... marchewkowym! No, czy słyszał kto kiedy takie nonsensy!

– Nigdy! – przyznał gość entuzjastycznie. – I dużo pani tych pierogów zrobiła?

– Malutko. Tyle co dla naszej czwórki. Ledwie sto.

– Dla czwórki? – zainteresowała się kobieta. – Macie państwo gościa na Wigilii?

– Skądże! – obruszyła się mama Kwiatek. – Przecież jest nas czworo: Kubuś, Monika, Piotruś i ja.

– Piotruś... – zadumała się staruszka. – Ale on przecież nie ma jeszcze roku, więc chyba nie rzuci się na pani pierogi – zażartowała.

– Oj, żeby się pani nie zdziwiła! – Zaśmiała się amatorka kuchni tradycyjnej, machając trzymaną w dłoni łyżeczką. – Moje pierogi są naprawdę wyśmienite, a jedna mała kluska jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Kuba w wieku Piotrusia jadł to, co wszyscy, i wyrósł na silnego i mądrego mężczyznę. Sama pani przyzna. – Matka Jakuba posłała przybyłej zaczepne spojrzenie.

– Przyznaję! – Staruszka odstawiła filiżankę na blat i rozejrzała się po kuchni. – Bardzo lubię pierogi. Już pani kończy, jak widzę?

– Tak, pozostało mi je tylko obgotować, przestudzić i zamrozić na święta. Co prawda od Wigilii dzieli nas już tylko kilka dni, ale nie chcę, by coś się popsulo. Moje pierogi muszą być idealne. O, widzi pani, mam tutaj rondelki, woda już prawie wrze. Wrzucę na trzy, cztery sekundy, wyjmę i gotowe!

– Bardzo sprytnie! – Kiwnęła głową staruszka, podnosząc się z krzeselka. – A czy ja mogłabym skorzystać z łazienki? Byłam wczoraj w kawiarni i chyba wypłam za dużo kapuczino, bo mój pęcherz się buntuje.

– Ależ bardzo proszę! – Mama Kwiatek uczyniła zapraszający gest. – Drzwi zaraz przy wejściu. Przepraszam za bałagan, ale synowa ma dużo kosmetyków. Ja w tym czasie obgotuję pierożki i może zrobię dla nas jeszcze kawę? Tak miło się gawędzi.

– Chętnie. – Gość skinął głową i zniknął w przedpokoju. Mama Kwiatek uśmiechnęła się pod nosem i zakrzętnęła się przy filiżankach. Pomyślała, że właściwie to mogłaby mieszkać w takim miłym, ciepłym mieszkanku w bloku. Jakub i Monika mogliby chodzić do pracy, a ona opiekowałaby się Piotrusiem i domem. Gotowałyby pyszne obiady, a miłe sąsiadki wpadałyby do niej na kawę, herbatę i kokosowe herbatniki. – Przepraszam... – usłyszała nagle głos staruszki. – Przepraszam, że zawracam głowę, ale chyba skończył się papier toaletowy.

– Och, już biegnę! – zaczęła mama Kwiatek, zalewając brązowe grudki kawy rozpuszczalnej i odstawiając czajnik. – Sekundkę! Musi mnie pani przepuścić na chwilkę, mamy tak malutką łazienkę, że obydwie się nie zmieścimy.

– Żaden kłopot – zapewniła staruszka, przepuszczając gospodynię do ciasnego wnętrza. – Usiądę sobie na krzeselku i poczekam, proszę się nie spieszyć.

– Tak, już, już... Muszę poszukać, bo nie wiem, gdzie synowa trzyma papier...

Mama Kwiatek z głośnym stęknieniem opadła na kolana i zajęła się przetrząsaniem łazienkowej szafki, zlorzecząc pod nosem na wszystkie pudełka, buteleczki i puzdereczka trzymane na półkach przez synową. Nie można się nawet dostać do zachomikowanego na samym spodzie papieru, tymczasem biedna starowinka z pewnością siedzi jak na szpilkach, przebierając bosymi stopami!

Matka Jakuba bez wątplenia byłaby zaskoczona osobliwym zachowaniem „biednej starowinki”, która zamiast usiąść spokojnie na krześle (i przebierać nogami), z energią rzuciła się w kierunku szafek kuchennych. Zlustrowawszy je bystrym spojrzeniem, zlokalizowała torebkę soli jodowanej i z entuzjazmem przechyliła ją nad rondelkami z wrzącą wodą. Doprawiwszy wrzątek ponad pół kilogramem białego proszku, staruszka odstawiła torebkę na miejsce,

delikatnie zamknęła szafkę i powróciła na krzeselko z miną kogoś, kto właśnie spełnił swój obowiązek.

Kiedy po kilku minutach do kuchni powróciła mocno zasapana i jeszcze mocniej zaczerwieniona mama Kwiatek, zastała swego gościa za stołem, popijającego z filiżanki świeżo zrobioną kawę. Zachęcona przez gospodynię staruszka udała się do łazienki, skorzystała z toalety i aromatyzowanego papieru toaletowego, a następnie zaczęła się żegnać. Mama Kwiatek była wyraźnie rozczarowana, ale właśnie rzucała na wrzątek swoje idealne pierogi, więc poprzestała jedynie na zaproszeniu swego gościa do kolejnych odwiedzin. Staruszka solennie obiecała, że zjawi się zaraz po świętach.

– Może zostaną dla mnie jakieś pierogi? – rzuciła z porozumiewawczym uśmiechem. – Bo ja, droga pani, cenię sobie i tradycyjną kuchnię, i tradycyjne święta. I tradycyjny model rodziny też sobie cenię!

Marzena i Maciej

W chwili, kiedy mama Kwiatek wrzucała na osolony wrzątek pierogi, a pani Michalska z miną kota, który upolował tłusciutką myszkę, wracała do swojego mieszkania, w lokalu pod numerem czwartym rozgrywał się cichy dramat.

Marzena Kamińska przygotowywała się do spotkania z Maciejem i właśnie dokonała odkrycia tak dobrze znanego wszelkim przedstawicielkom jej płci żyjącym na przestrzeni wieków: nie miała w co się ubrać. Stała przed otwartą na oścież szafą i wybebeszoną komodą, nerwowo przestępowała z nogi na nogę i przeklinała pod nosem – deficyt kiecek, pogodę, a przede wszystkim siebie samą, ponieważ zgodziła się na to spotkanie, a teraz przeżywała je jak pierwsza lepsza dzierlatka.

Minionej nocy Marzena przewracała się z boku na bok, robiąc w myśli przegląd wszystkich elementów garderoby, które mogłaby założyć, i tematów, jakie mogłaby poruszyć podczas spaceru z Maćkiem. Zасыpiając, miała przed oczyma czarną dzianinową sukienkę do kolan i kozaczki na niewysokim, bardzo wygodnym obcasiku. Do tego płaszczyk z futerkowym kapturem. Niezbyt elegancko, ale ze smakiem.

Obudziła się w stanie radosnego podekscytowania. Usiłowała zdusić to uczucie, bo przecież cóż takiego się działo? Fakt, że po raz pierwszy od pięciu, nie!, sześciu lat miała pójść na spacer z mężczyzną, nie był wystarczającym usprawiedliwieniem dla szczyżenia zębów do lustra i radosnego podśpiewywania podczas parzenia pierwszego kubka kawy. Nawet podniesienie żaluzji w kuchennym oknie i obserwowanie, jak zacinający deszcz zmienia zalegający na trawniku śnieg w szaroburą breję nie ostudziło jej zapału. Oklapła dopiero w chwili, gdy zrozumiała, że o założeniu seksownych kozaczków może co najwyżej pomarzyć, no chyba, że chce zniszczyć buty i nabawić się na święta paskudnego przeziębienia!

Za kwadrans piętnasta Marzena wyruszyła w kierunku przystanku autobusowego. Na sobie miała czarną, dzianinową sukienkę, ulubiony płaszczyk z kapturem obszytym futerkiem i szmaragdowe kalosze w czerwone serduszka. Wbrew usilnym staraniom w szafce z butami nie znalazła nic odpowiedniejszego, więc zmierzając na miejsce spotkania, kulila się pod parasolem i unikała spojrzeń mijanych ludzi.

Gdy weszła na teren dworca i złożyła parasolkę, z ławki poderwał się zakapturzony mężczyzna.

– Bałem się, że ta pogoda panią wystraszy, a przecież nie wymieniliśmy się numerami komórek!

– Rzeczywiście! – Zaśmiała się. Nagle spoważniała. – Chce pan zrezygnować?

– W życiu! Przecież nie jesteśmy z cukru! Poza tym już prawie nie pada.

– Właśnie. – Kiwnęła głową, mrużąc oczy. Nagły podmuch wiatru cisnął jej w twarz lodowatym deszczem. Poczowała, jak strużki wody spływają po czole, zalewają oczy i spływają niżej, zabierając ze sobą makijaż, który tak starannie nakładała. Mężczyzna parsknął śmiechem. – Niech to szlag – skwitowała.

– Mam chusteczki – zaofiarował się.

– A ponton?

– Niestety.

– Wobec tego poproszę o chusteczkę. Nasza wycieczka chyba nie dojdzie do skutku –

powiedziała z żalem, ocierając wilgotną twarz. Maciej wzruszył ramionami.

– Oczywiście, że dojdzie! Po prostu musimy poczekać na bardziej sprzyjające warunki pogodowe. A tymczasem... zapraszam na kawę. Przyda nam się coś na rozgrzanie, prawda?

– O tak! – Zwinęła chusteczkę w kulkę i wcisnęła ją w kieszeń płaszcza. – To znaczy... jeśli nie ma pan nic innego do roboty. Nie chciałabym zabierać czasu.

– Nie mam. A pani?

– Nie.

– To idziemy?

– Idziemy!

Kiedy po krótkim czasie usiedli w przytulnej kawiarni i zamówili gorące napoje, Maciej nachylił się w jej stronę konfidencjonalnie.

– Wyznaję prostą zasadę. Zwracam się po imieniu do kobiet, którym ofiarowuję swoje chusteczki higieniczne.

Marzena parsknęła śmiechem.

– To dziwne, kieruję się tą samą zasadą względem mężczyzn, którzy zwalają mnie z nóg!

– Cieszę się, że jesteśmy tacy zgodni. Jestem Maciek.

– Marzena.

– Wiem, jak masz na imię, wiem, że masz córkę i że bierzesz do kawy dodatkowy cukier.

Czego o tobie nie wiem?

– Wiesz, co na temat kobiety powiedział Wyspiański? Jest tajemnicą.

– Chyba go nie lubię.

– Zupełnie niesłusznie, przecież znał kobiecą duszę jak mało kto. – Zaśmiała się. – Ale skoro ci zależy, mogę co nieco zdradzić. Z pewnością nie wiesz, że przyjechalśmy tutaj z Radomia.

– Z Radomia? To kawałek stąd. Dlaczego właśnie do Kalwarii? – zainteresował się.

– Bo właśnie tu mieszkała moja prababcia. Byłam tutaj tylko raz, jako bardzo mała dziewczynka. Z całej wizyty zapamiętałam jedynie huśtawkę zawieszoną na gałęzi jabłoni. Kiedy prababcia bujała mnie na niej, z nieba opadał deszcz białych płatków, zasypując mi włosy, twarz i kolana. Przez krótką chwilę poczułam się jak wróżka.

– I dlatego zamieszkałaś tutaj z córką? Żeby czuć się jak wróżka? – Maciej odsunął się, by ustąpić miejsca kelnerce, która właśnie zbliżyła się do stolika z wielką tacą. Stały na niej filiżanki pełne aromatycznej kawy i sernik.

– Niezupełnie. Ta scena była tak sielska i cudowna, że wpiła się w moją pamięć i towarzyszyła mi przez niemal całe życie. Po śmierci ojca Stasi potrzebowałam choćby maleńkiej namiastki bezpieczeństwa i piękna. Długo dojrzywałam do tego, aby opuścić Radom, który kojarzył mi się ze śmiercią i żałobą. Pomyślałam, że z dala od tamtego miejsca rozpoczniemy nowe życie i będzie nam łatwiej. Pewnego dnia spojrzałam na mapę południowej Polski, a przed moimi oczyma zawirowały białe płatki. Po prostu poczułam, że tutaj mogę być szczęśliwa.

– I jesteś?

– Pewnie, że tak. Mam cudowną córeczkę, jesteśmy zdrowe, znalazłam pracę. Czego chciałabym więcej?

– Są ludzie, którzy ciągle chcą więcej.

– Ja do nich nie należę. – Potrząsnęła głową, wsypując do filiżanki trzy torebeczki cukru. Maciej uśmiechnął się pod nosem.

– A ja kiedyś należałam. Wyjechałam stąd, bo sądziłem, że taka dziura nie może mi nic zaoferować. Więc najpierw studia w Krakowie, potem praca w charakterze robotnika gdzieś na końcu świata. Zjeździłem pół Europy, szukając swojego miejsca do życia, by po latach powrócić

do miasteczka, którego tak nienawidziłem – powiedział, upijając maleńki łysek kawy.

– I jak się z tym czujesz?

– Teraz już dobrze, ale długo nie potrafiłem znaleźć sobie miejsca. Nie zamierzałem wracać do Kalwarii. Śmierć ojca zweryfikowała moje plany. Matka nie była w stanie poradzić sobie z jego zakładem stolarskim, musiałem się tym zająć. Początkowo odczuwałem złość, natomiast dziś, przechodząc przez miasto, czuję, że jestem na swoim miejscu. Ma swoje wady i irytuje, jak większość takich małych miasteczek, ale to przecież nasza piękna Kalwaria!

Marzena zerknęła przez okno na zalaną deszczem ulicę i zmarszczyła nos, na co on zaśmiał się krótko i uniośł dłonie w geście rezygnacji.

– No, dobra. Może dzisiaj nie prezentuje się najlepiej.

– Nie o to chodzi! – Potrząsnęła głową. – Po prostu żałuję, że nie udała nam się ta wycieczka. Przez kilka dni chodziłam i myślałam, jak przyjemnie będzie przejść dróżki z kimś, kto je zna. Kto pokaże mi wszystkie ładne miejsca i co nieco opowie.

Maciej pokiwał głową z poważną miną.

– W zimowej scenerii wyglądają po prostu bajkowo. Koniecznie musimy pójść na Most Anielski.

– A co to?

– To most-kaplica nad Cedronem zwieńczony figurami czterech aniołów. Wyglądają jak strażnicy jakiegoś niezwykłego zakątka. Spodoba ci się. Murywany most pochodzi z 1907 roku. Oczywiście niektórzy pielgrzymi przechodzą strumień w bród.

Marzena spojrzała na Maćka z podziwem.

– O, rety! Ty naprawdę się na tym znasz!

Pokiwał głową, sięgając po filiżankę i upijając duży łyk, a potem spojrzał na nią z figlarnym błyskiem w oku.

– Przeczytałem o tym na Wikipedii.

Marzena wpatrywała się w niego ze zdumionym wyrazem twarzy. W końcu wybuchła śmiechem.

– A ja sądziłam, że trafiłam na prawdziwego pasjonata miejscowych zabytków, który mi wszystko pokaże.

– Oczywiście, że ci pokażę. Jeśli chcesz, możemy wybrać się na wycieczkę we trójkę, razem ze Stasią, ale ostrzegam lojalnie, że będziemy musieli kupić jakiś przewodnik. Niewiele pamiętam z czasów, gdy szwendałem się w tamtych rejonach, a i tak bardziej niż kapliczki interesowało mnie boisko piłkarskie na Bugaju.

– Wobec tego obejrzymy i boisko na Bugaju – zażartowała.

– Obawiam się, że trafiłaś na marnego pasjonata. Przyjeżdżający na Kalwarię pielgrzymi z pewnością wiedzą na temat lokalnych zabytków więcej niż ja. – Spojrzał na nią przeproszająco.

– Cóż, często tak jest. Krążymy po świecie, podziwiając imponujące zabytki, kolekcjonując fotografie i plastikowe pamiątki z podróży, a tymczasem pod bokiem mamy piękne miejsca, których w ogóle nie doceniamy.

– To przytyk do mnie? – obruszył się żartobliwie.

– Hmm, do ciebie, do mnie i wielu innych ludzi. Wycieczka krajoznawcza nam się nie udała, za to kulinarna jak najbardziej. Serniczek podają tutaj pierwsza klasa!

– Jeszcze jeden?

– Nie, nie zmieszczę! Poza tym powinnam się już zbierać. Stasia wróci do domu lada chwila. Codziennie biega gdzieś po mieście. Wychowawca zadał im jakieś przedświąteczne zajęcia, bęćwał jeden – mruknęła. Maciej przygryzł wargę. – Dziękuję za towarzystwo. To miłe spotkać się z kimś, kto jest w zbliżonym wieku i nie podsuwa mi pod nos swoich kredek.

– Akurat dzisiaj mój piórnik został na kuchennym stole – skwitował wesoło. – Czy chciałabyś jednak wymienić się numerami? Bo może pogoda się zmieni...

– Bardzo chętnie. – Marzena sięgnęła do kieszeni płaszcza po telefon i zapisała w nim podany przez mężczyznę ciąg cyfr, a następnie posłała mu krótki sygnał. – Cóż, będę się zbierać...

– Odprowadzę cię. Jest ciemno i... ślisko. Jeszcze jakiś idiota podetnie ci nogi na chodniku.

Kiedy wyszli przed budynek cukierni, Marzena zauważyła, że miejsce padającego deszczu ponownie zajął śnieg. Wirujące w powietrzu płatki opadały na mokry chodnik i zmieniały się w śliskie błoto. I chociaż przejmujące zimno wciskało się jej pod okrycie, a palce pozbawione zapomnianych z cukierni rękawiczek nieprzyjemnie drętwiały, kobieta poczuła, jak od środka ogarnia ją kojące ciepło. Być może wiązało się ono z dotykiem mężczyzny, który ujawszy jej rękę, wsunął ją pod swoje ramię i stanowczo przycisnął do silnego boku.

Zuzanna

Po spotkaniu z Kaliną Radecką-Piórecką Zuzanna wpadła w szal porządków przedświątecznych. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że po raz pierwszy jest do świąt zupełnie nieprzygotowana. Nie upiekła tradycyjnych pierniczków. Nie wykrochmalila śnieżnobiałego obrusu, który każdego roku kładła na świąteczny stół. Nie zamówiła karpia u stałego dostawcy. Całkowicie poświęciła się ściganiu niewiernego małżonka i dumaniu nad tym, co mu robi, kiedy już go doścignie.

No, ale jak skoncentrować się na szorowaniu parapetów i polerowaniu widelców, kiedy Kajtek deptał przysięgę małżeńską jak zużytą wycieraczkę?

– Koniec tego – powiedziała do córki. – Zabieram się za porządki świąteczne. Wyniosę na balkon wszystkie kołdry, niech się porządnie przewietrzą. A potem zajmę się dywanem w dużym pokoju – dodała z dziwnym błyskiem w oku.

Według zapewnień producenta odkurzaczy, którego szczęśliwą posiadaczką była Zuzanna, miał być prawdziwym cudem najnowszej technologii. Jego odruch ssania, jak zapowiedział sprzedawca w dziale AGD, radził sobie z najmniejszym paproszkiem i najcieńszym włoskiem. „Jeżeli kiedykolwiek zdecyduje się pani unicestwić męża, ten odkurzacz rozprawi się z całym DNA” – kusił.

Nabyty odkurzacz spisywał się naprawdę dobrze. Ba, zdecydowana większość jego użytkowniczek powiedziałyby, że doskonale. Niestety Zuzanna nie zaliczała się do zdecydowanej większości. Dlatego wpięrowo dokładnie odkurzała całe mieszkanie, usuwając najmniejsze paproszki i najcieńsze włoski, a następnie odrzucała urządzenie, opadała na kolana i poprawiała po nim, szczotkując powierzchnię dywanu specjalną szczoteczką. Dopiero, kiedy to uczyniła, mogła uznać, że dywan rzeczywiście jest nieskazitelny. „To – za każdym razem wskazywała na kosztowne urządzenie, które Fijusowie zafundowali sobie z okazji dwunastej rocznicy ślubu – odkurza dobrze, ja odkurzam idealnie”.

Także i tym razem odkurzyła wszystkie powierzchnie mogące nawiązać kontakt z odkurzaczem, a następnie wycesała gęste włosie dywanu szczotką. Zmyła podłogi, zerwała firanki i zasłony, zastępując je nowymi, wstawiła pranie, wypolerowała parapety i spodeczki pod doniczkami oraz nawodniła rośliny. Na koniec wyszorowała żeberka kaloryfera, wykorzystując do tego ulubiony t-shirt męża, i wyrzuciła zalegające na stoliku gazety ze szczególnym uwzględnieniem prasy sportowej. Zadowolona z siebie rozglądała się po uporządkowanym wnętrzu i szukała wzrokiem, co by tu jeszcze zrobić.

Właśnie główkowała, czy puchar za dokonania sportowe Kajetana lepiej sprawdzi się w roli nowej doniczki dla paprotki czy pojemnika na kostki toaletowe, kiedy zadzwonił telefon. Widząc na wyświetlaczu numer Kaliny, Zuzanna zapiszczała jak przydeptana mysz.

– Mam kiepskie wieści – dzwoniąca nie traciła czasu na powitania.

– To znaczy?

– Według najnowszych informacji twój mąż spotkał się wczoraj w kawiarni z kobietą!

– O nie! Tylko nie to! – jęknęła Zuzanna. – Czułam, po prostu czułam, że ma coś na sumieniu! Wysłałam go tylko do sklepu, a ta szumowina wykorzystała każdą sposobność, aby umówić się z kochanką! I nie dość, że robi to praktycznie pod moim nosem, umawiając się z nią w miejscowej kawiarni, to nawet nie kupił tego, o co prosiłam!

– To nie wszystko. Słuchasz mnie?

– Słucham.

– Musimy namierzyć tę kobietę. Może coś skojarzysz? Według moich informatorów była od niego starsza.

– Starsza? – zdziwiła się Zuzanna. – Nie młodsza? Nie szczuplejsza, ładniejsza, jędrniejsza? Co z niego za perwers? Jak to starsza? Ile starsza?

– Tego nie wiem. Musisz zrozumieć, że to miało miejsce w godzinach popołudniowych, o tej porze wzrok moich rozmówców był już troszeczkę zamglony.

– Uhm, rozumiem. Co teraz zrobimy?

– Cóż, nie wiem jak ty, ale ja się muszę wysikać. Kawy też bym się napiła...

– Och, zapraszam! – zreflektowała się Zuzanna.

– Dzięki. Będziemy za kilka minut. Obmyślmy dalszy plan działania.

Zuzanna zakończyła połączenie i zdruzgotana opadła na wersalkę. Do tej pory romans Kajtka był czymś nierzeczywistym i pozbawionym sensu, ale w świetle uzyskanych informacji musiała przyznać, że mają poważne tarapaty. Sprawę dodatkowo komplikował wiek potencjalnej kochanki. Zuza zetknęła się ze zjawiskiem zdrady na kartkach czytanych powieści i w kolorowych tygodnikach, ale zdrada poczyniona przez jej własnego męża wymykała się wszelkim schematom. Mężczyźni w średnim wieku zazwyczaj rzucali się na młodsze partnerki, udowadniającym tym sobie własną atrakcyjność. Czy Kajtek naprawdę nie mógł zachować się jak inni? Czy ze świńskich gazetek musiał przerzucić się na starsze panie?

Zuzanna wyrwała się z ponurych rozmyślań, przypomniawszy sobie o wietrznej na balkonie pościeli. Najwyższa pora zabrać ją do domu. Chociaż popołudnie było pogodne i rześkie, a po wczorajszym deszczu pozostały tylko oblodzone chodniki i wzmożona aktywność na chirurgii urazowej, Zuza nie zamierzała ryzykować, że koldry przenikną nieprzyjemną wilgocią.

Złapała dwie poduszki i przycisnęła je do piersi. Nagle poczuła osobliwy zapach. Pociągnęła nosem, równocześnie kręcąc się w kółko i usiłując dostrzec źródło fetoru. Z przerażeniem skonstatowała, że ma je bezpośrednio przed sobą. Ostrożnie uniosła poduszki do nosa i odrzuciła je z okrzykiem obrzydzenia!

Poszewki, które tak starannie prała, krochmaliła i prasowała, znaczyły nieładne żółte plamy. I właśnie z tych plam unosił się ten nieprzyjemny zapaszek! Po chwili wahania Zuza podniosła poduszki i ponownie przytknęła je do nosa. Skrzywiła się z obrzydzeniem.

– Rany boskie! – wrzasnęła. Zaalarmowana krzykiem Agata przybiegła ze swojego pokoju i z przerażeniem wpatrywała się w matkę, która miotła się po ciasnym balkoniku, zlorzcząc i zrywając poszewki.

– Co się stało? – wydukała.

– Mocz – zawyła Zuzanna, potrząsając poduszką. – Oto co się stało!

– Mocz? Ale czyj? Twój?

– Mój?! Jeszcze czego! – Zdruzgotana Zuzanna wpatrywała się w zniszczone poszewki, dokonując przeglądu wszystkich szubrawców, których los postawił na drodze jej życia i którzy byliby w stanie posunąć się do tak haniebnego postępku. Nagle doznała olśnienia. – Jurczyk! Zabiję gada!

– Mamo, o czym ty mówisz! Dlaczego pan Jurczyk miałby sikać na naszą pościel?

– Nie mam pojęcia! Skoro wyłopał nasze kompoty, to na pewno jest zdolny siknąć na nasze poduszki. Co za obrzydliwiec! Psychopata! Gdzie tłuczek do mięsa?

Zuzanna cisnęła poduszki na posadzkę balkonu i jak burza przemknęła przez pokój, łapiąc po drodze puchar Kajetana. W progu mieszkania zderzyła się z Kaliną. Radecka-Piórecka posłała

jej zdumione spojrzenie.

– Dokąd idziesz?

– Zamordować sąsiada. Czekasz czy idziesz ze mną?

– Mogę pójść. – Pani detektyw kiwnęła głową łaskawie. – Ale musisz się pospieszyć.

Ostatnio nie żyję w zgodzie ze swoim pęcherzem.

– To zajmie minutkę! – zapewniła Zuzanna, wspinając się po schodach z głośnym sapaniem. Za plecami słyszała głośny oddech Kaliny i podążającego za nią Młynka. Na myśl, że towarzyszy jej prawdziwa pani detektyw i pies obronny, poczuła przyływ odwagi. Zdecydowanym ruchem zastukała do drzwi oznaczonych dziewiątką.

Po krótkiej chwili zazgrzytały zamki, drzwi uchyliły się, a na progu stała przestraszona Anna. Na widok żony Jurczyka Zuzanna poczuła się niepewnie. Bądź co bądź Anna była prawie w ciąży.

– Dzień dobry – starała się nadać głosowi przyjazne brzmienie, chociaż od środka cała się trzęsła. – Chciałabym porozmawiać z pani mężem.

– Męża nie ma w domu! – Anna niepewnie potrząsnęła głową. – Mogę zapytać, o co chodzi? Czy znowu coś... wypił?

– Nie. Tym razem chodzi o coś zupełnie innego – wyrzuciła z siebie płaczliwym tonem Zuzanna. – Tym razem, tym razem... zwrócił.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Ja też. Ja też nie rozumiem. – Zdenerwowana Zuzanna nie wiedziała, jak ma przedstawić Annie, że jej mąż jest wariatem, który wypija ludziom przetwory, obraża ich zdolności kulinarne, a na domiar złego odczuwa przyjemność z sikania po cudzych balkonach.

– Ehem, przepraszam. – Kalina nerwowo przestąpiła z nogi na nogę. – Naprawdę nie chciałam się wtrącać, ale mój pęcherz... Pani... – Wychyliła się, by odczytać nazwisko z tabliczki przytwierdzonej do drzwi. – Pani Jurczyk, moja przyjaciółka chce zasygnalizować, że pani małżonek obsikał jej balkon.

– Proszę? – zdębiała Anna.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się Zuza.

– Och, z pewnością wie o tym już cała Kalwaria. Byłaś, ekhem, dość głośna. Muszę cię jednak rozczarować. Pan Jurczyk nie posikał twoich poszewek!

– Nie? – ucieszyła się Anna.

– Nie? – zmartwiła się Zuza, chowając za plecami puchar Kajetana. – Jesteś pewna?

– Oczywiście! Jak wnioskuję na podstawie rozkładu mieszkań, Jurcykowie nie mają okien wychodzących na twoją stronę!

– Och. – Stropiona Zuzanna spojrzała na Annę. – Przepraszam, pani Anno.

– Nie szkodzi. – Właścicielka mieszkania pod numerem dziewiątym uśmiechnęła się leciutko. – Nie wiem, o co chodzi z tymi kompotami, ale musiały być naprawdę pyszne, skoro Waldemar się nie oparł.

– Dziękuję, to bardzo miłe.

– Miło to będzie, jeśli pozwoli mi pani skorzystać z łazienki – burknęła Radecka-Piórecka. – Czy mogłabym...?

– Oczywiście! – Rozbawiona Anna wpuściła niespodziewanego gościa do mieszkania i wskazała drzwi łazienki. Przez myśl przemknęło jej, że sąsiadka ma osobliwych znajomych. Tymczasem Zuzanna dumiała nad zjawiskiem posikanych poszewek. Skoro nie stał za nimi gburowaty Waldemar Jurczyk, który nie dość, że wypił, to jeszcze wyszydził jej smakowite kompoty, to kto za nie odpowiadał? W zamyśleniu spojrzała na drzwi mieszkania młodego małżeństwa Kwiatków. Może to ich sprawka? Może niespecjalnie? Tręcili nocnik synka? Albo

Jakub ku ucieście sąsiadek z naprzeciwka lunatykował podczas popołudniowej drzemki i w niecodzienny sposób nawadniał ustawioną na balkonie choinkę?

Gdy na klatkę schodową powróciła wyraźnie rozluźniona Kalina, Zuzanna podzieliła się z nią swoimi przemyśleniami i w napięciu oczekiwała na jej reakcję. Bądź co bądź taka pani detektyw powinna celować w rozwiązywaniu zagadek, nawet tak dziwacznym i... hm, co tu ukrywać, śmierzdzącym.

– A kto mieszka nad Kwiatkami? Może twój sikający prześladowca znajduje się piętro wyżej?

– To jakaś para – wtrąciła Anna. – Nie znam ich, widziałam tylko że, pani jest bardzo atrakcyjna. Futerko, kozaczki na szpilce... Kilka dni temu Waldemar pomagał jej uwolnić obcas, który zaklinował się w kostce brukowej.

– Ja też ich nie znam. Wprowadzili się niedawno, ale bardzo rzadko bywają w domu – odparła zniechęcona Zuza. Myśl, że posiada własnego prześladowcę, ani trochę nie przypadła jej do gustu. Poza tym, czym miałyby się narazić atrakcyjnej starszej sąsiadce? Nagle doznała olśnienia. – O mój Boże, już wszystko rozumiem! To jasne!

– Co jest jasne? – Dwie pozostałe kobiety spojrzały na nią podejrzliwie. Nawet Młynek nadstawił ucha. Zuzanna wyprostowała się dumnie i wyszeptała łamiącym się głosem:

– Starsza pani, atrakcyjna, z pretensjami... Jak bum cyk cyk to kochanka Kajtka!

– Jak bum... co?

– Och, nieważne! – zirytowała się Zuzanna, do której dotarło, że mąż trzymał kochankę nie tylko pod jej bokiem, ale również nad głową.

– Ale dlaczego kochanka Kajtka miałyby sikać na balkonie?

– Jak to: dlaczego? Żeby mnie upokorzyć! Poza tym nie wiadomo, jakie praktyki ona preferuje. Kajtek bez powodu nie wydobyłby tych obcisłych slipek... A może sikał jej mąż, a mocz był przeznaczony dla Kajtka? Zaznaczał swoje terytorium! Wy też tak robicie, prawda? – zwróciła się do Młynka, co ten skwapliwie potwierdził machnięciem ogona.

– Cóż, twoja teoria jest dość mocno naciągana, ale z własnego doświadczenia wiem, że wszystko się może zdarzyć. Musimy pójść do tego mieszkania i wy badać jego właścicieli, czy coś wiedzą na temat twoich poszewek – stwierdziła Kalina.

Trzy kobiety wspięły się na wyższe piętro. Kalina zastukała w drzwi oznaczone numerem jedenastym, a następnie przytknęła do nich ucho. Stropiona obejrzała się na stojące tuż obok kobiety.

– Chyba mamy pecha. Wychodzi na to, że nikogo nie zastałyśmy.

– Może śpią? – zasugerowała Anna.

– Zastukaj mocniej! – poleciła Zuzanna.

Pani detektyw posłusznie załomotała do drzwi. Tym razem reakcja nastąpiła błyskawicznie, bowiem z sąsiednich drzwi wyłoniła się głowa pokryta dziesiątkami maleńkich wałeczków.

– I czego się tak tłuczecie? Pali się? – wykrzyknęła pani Malinowska, opatulając się podomką.

– Jeszcze nie – wyjaśniła uprzejmie Zuzanna. – Ale jeśli moje podejrzenia się potwierdzą, ktoś spali się ze wstydu.

– Nie ma ich. – Sąsiadka wrzuciła ramionami. – Prawie nigdy ich nie ma.

– Skoro prawie nigdy ich nie ma, to nie mieli kiedy nasikać – szepnęła cichutko Anna.

– Cii... – bezceremonialnie przerwała im Kalina. W napięciu wpatrywała się w Młynka, który obwąchiwał szparę pomiędzy drzwiami i podłogą, głośno przy tym prychnając. Pies skrobął pazurami w drzwi, zaskomlał i spojrzał wyczekująco na swoją opiekunkę. Kalina

uderzyła otwartą dłonią w czoło. – Trup, jak mi Bóg miły. Tam jest trup.

– Na balkonie! – wrzasnęła Zuzanna. – Na pewno trzymają go na balkonie i on sika, znaczy ścieka, na moją pościel! A może ściecze? Albo ciecze?

– Musimy dostać się do środka! – zakomenderowała pani detektyw, rozglądając się na boki. Nagle znieruchomiała. – Cii... – Przytknęła ucho do dziurki od klucza. – Jeszcze żyje. Musimy się pospieszyć!

– Wezwijmy policję i pogotowie! – zasugerowała Anna. Kalina potrząsnęła głową.

– Nie mamy na to czasu. Ten trup jest już na ostatnim zakręcie!

– Musimy kogoś zawołać i wyłamać te drzwi! – zawołała gorączkowo Zuza. – Jeśli teraz umrze, już nigdy się nie dowiem, co i dlaczego spotkało moje poszewki! I czy miało to związek z romanssem Kajtka!

Po krótkich pertraktacjach Zuzanna została oddelegowana do namierzenia silnego, pozbawionego skrupułów osobnika płci męskiej i przyprowadzenia go pod drzwi w celu ich wyłamania. W tym samym czasie Kalina miała połączyć się z policją i wezwać na miejsce posiłki. Zuzanna zbiegła na parter i oszołomiona rozejrzała się na boki. Do którego sąsiada biec po ratunek? O tej godzinie praktycznie nikogo nie było w domu! Nagle dostrzegła przystojnego mężczyznę o potężnej sylwetce, który z ponurym wyrazem twarzy wpatrywał się w listę lokatorów na domofonie.

– Przepraszam... – zaczepiła go. – Potrzebuję pomocy, ale muszę wiedzieć, czy jest pan osobnikiem pozbawionym skrupułów?

– Jestem wuefistą – padła uprzejma odpowiedź. – I kretynem, nawiasem mówiąc.

– To się nie wyklucza. Ma pan odpowiednie warunki. Rzecz w tym, że musimy dokonać włamania do mieszkania na trzecim piętrze. Najlepiej przed przybyciem policji.

– Hmm, nie znam się na tym zbyt dobrze, ale z reguły dokonuje się tego przed przybyciem policji.

– Nie zrozumiał mnie pan. Proszę ze mną, wszystko wytłumaczę po drodze! – Zuzanna pospiesznie złapała mężczyznę pod ramię i zaczęła wciągać na górę. W okolicy pierwszego piętra, a dokładniej mówiąc pod drzwiami mieszkania numer pięć, wuefista zbladł. Mimo to Zuza prowadziła go dalej, trochę ciągnąc, trochę popychając, a przy tym tłumacząc, dlaczego koniecznie muszą dostać się do mieszkania pod numerem jedenastym.

– To były moje najlepsze poszewki, więc sam pan rozumie – zakończyła swoją dramatyczną opowieść.

– Uhm. – Mężczyzna kiwnął głową dyplomatycznie. Zuzanna zamierzała właśnie dodać, że w dzisiejszych czasach ciężko dostać dobrą gatunkowo pościel, ale właśnie wspięli się na trzecie piętro i stanęli oko w oko z poruszoną Kaliną.

– Casting przeprowadzałaś, czy ki diabeł?

– Och, wybacz! – obraziła się Zuzanna. – Ale wypada wyjaśnić człowiekowi, dlaczego namawia się go do dokonania włamania!

– To sytuacja zagrożenia życia, więc nie ma mowy o włamaniu – wyjaśniła Kalina. – Rozmawiałam z policją, samochód jest już w drodze. Ale skoro trup jęczy, to można wyłamywać, powiedzieli.

– Wobec tego zapraszamy! – Zuzanna wskazała mężczyźnie drzwi oznaczone liczbą jedenaście.

Wuefista-kretyn nie okazał najmniejszych skrupułów i z energią natarł na drzwi. Coś skrzypnęło, coś trzasnęło i drzwi stanęły otworem. Kalina wychyliła się w kierunku przedpokoju, ale w ostatniej chwili zrezygnowała, czyniąc zapraszający gest dłonią.

– Czy mógłby pan... bo jeśli mój mąż się dowie, że znalazłam trupa, na dodatek żywego,

to mnie... – Wykonała kolejny znaczący gest, tym razem w okolicy własnej szyi.

– Jasne. Skoro i tak zostałem w to wmieszany, to mogę znaleźć trupa w pani imieniu – zgodził się mężczyzna. – Proszę tutaj poczekać.

Minęła dłuższa chwila, w czasie której mężczyzna przetrząsał mieszkanie, a trzy kobiety tłoczyły się w progu, wyciągając szyje i usiłując dojrzeć coś poza zagraconą kosmetykami komódką i zegarem z kukułką zawieszonym naprzeciwko wejścia. Zza ich pleców co rusz dochodził skrzekliwy szept pani Malinowskiej, która dopytywała, czy trup został już znaleziony. Trzymany w dłoni telefon najlepiej mówił o tym, co zamierza z uzyskaną informacją uczynić.

Z głębi mieszkania dochodziły odgłosy otwieranych drzwi. W końcu mężczyzna powrócił do przedpokoju. Trzy kobiety w napięciu wpatrywały się w jego uśmiechniętą twarz.

– Spokojnie, tutaj nie ma żadnego trupa – powiedział.

– Nie? – zdziwiła się Kalina. Spojrzała na trzymanego za obrozę psa z wyrzutem. – Receptory węchu ci szwankują, kolego. Nie ma trupa, słyszysz?

– Ale będzie – dodał mężczyzna, zaciskając szczęki – kiedy właściciele mieszkania wrócą do domu.

– A co z moimi poszewkami? – wykrzyknęła zrozpaczona Zuzanna. – Co z Kajtkową... co z tą drugą sprawą?

– Proszę za mną. – Mężczyzna uczynił zapraszający gest i wskazał drzwi na lewo. Zupełnie niepotrzebnie, bo mieszkanie Zuzanny miało dokładnie taki sam rozkład i doskonale wiedziała, jak trafić na balkon. Mimo to razem z pozostałymi kobietami niepewnie podążała za mężczyzną i pozwoliła poprowadzić się na miejsce. Kiedy odsunięto suto marszczoną firankę, Zuzanna zaniemówiła.

– Niech to szlag! – krzyknęła oszołomiona Kalina, skracając smycz z szamoczącym się Młynkiem.

Niemal całą powierzchnię balkonu mieszkania pod numerem jedenastym zagracały stare meble i uschnięte rośliny w doniczkach. Wyjątkiem była nieduża wnęka pomiędzy balustradą a pluszowym, niezbyt ładnie pachnącym fotelem i właśnie w tę wnękę wciskał się przestraszony, drżący na całym ciele psiak.

– O Boże! – wykrztusiła Anna.

– Oto sprawca całego zamieszania. A raczej sprawczyni – wyjaśnił mężczyzna suchym tonem. – Właściciele zamykają ją tutaj, kiedy wychodzą z mieszkania, a sądząc po stanie balkonu, następuje to bardzo często...

– Pewnie sikała po parkiecie! – prychnęła Kalina. – Weźcie mnie trzymajcie, bo zaraz eksploduję! Przecież przez ostatnie dwa tygodnie było nawet po piętnaście stopni mrozu!

Wstrząśnięta Zuzanna nie mogła wydusić ani słowa. Tego naprawdę się nie spodziewała! Dopuszczała do siebie zupełnie irracjonalne wytłumaczenie w postaci lunatykującego sąsiada, który podsikuje swoje roślinki, ale nie potrafiła objąć rozumem takiego okrucieństwa wobec żywej istoty. Po co ludziom zwierzęta, skoro nie zamierzają otoczyć ich opieką i fundują im piekło na ziemi?

– Jest taka cichutka i zastraszona, że nawet jej nie słyszać. – Anna odwróciła się i spojrzała na podeksycytowaną sąsiadkę, która z telefonem w dłoni i z wypiekami na twarzy wtargnęła właśnie do pokoju. – Prawda, pani Malinowska? Pani ma taki dobry słuch, wszystko pani wie, a nie dosłyszała pani, że pies skamle na balkonie?

– Nic nie słyszałam! – gorączkowała się właścicielka mieszkania za ścianą. – A nawet jak coś było słyszać, to nie moja sprawa. Każdy może mieć psa!

– Ale, jak widać, nie każdy powinien! O korniszonkach to pani pytlowała na cały budynek, a że psa zaniedbują to cicho sza!

Zapowiadającą się awanturę przerwało nadejście stróżów prawa, którzy cierpliwie wysłuchali opowieści o zasikanych poszewkach, podejrzeniach względem Waldemara Jurczyka i Jakuba Kwiatka oraz wnioskach, jakich wyciągnięcie przywiodło trzy kobiety pod drzwi mieszkania numer jedenaste. Następnie przedstawiono im szczegóły związane z domniemaną obecnością trupa na ostatnim zakręcie i potrzebą natychmiastowego podjęcia akcji ratunkowej, która zakończyła się ujawnieniem biednego zwierzęcia przetrzymywanego na balkonie.

– Sprawa jest jasna, mamy tutaj podejrzenie znęcania się nad zwierzętami. Suczka zostanie przebadana przez weterynarza, a następnie odtransportowana do schroniska. Tam poczeka na nowych właścicieli.

– Tere-fere – prychnęła Kalina. – Taki malec nie poradzi sobie w schronisku. Przecież to kłębek nieszczęścia pokryty strachem. Nie możecie jej odesłać! Musicie znaleźć jej dom!

– Czy pani wie, jak wygląda zakres obowiązków policjanta?

– Tak się składa, że wiem! A czy pan wie, jak działają hormony u ciężarnej?

– Ja – wtrąciła Zuzanna, zaskakując tym samą siebie.

– Co? – zirytowała się Kalina, która nie lubiła, gdy się jej przerywało.

– Ja ją wezmę. Dość już przeszła. Nie planowałam tego, ale cóż... Wymyślę jej imię i zamieszka z nami.

– To nie takie proste, proszę pani! – zaprotestował policjant. – Istnieją procedury, które...

– Procedura, bardzo ładne imię. W skrócie Dusia. Bardzo ładnie.

– Ale...

– Człowieku, daj spokój! – zirytował się wuefista. – Psinie trafia się dom z prawdziwego zdarzenia, nie rób problemów, zasłaniając się procedurami. Podzielisz się opłatkiem, wiedząc, że wysłałeś biedne zwierzę do schroniskowej budy? Gdzie nadal będzie siedzieć na mrozie, tyle że od czasu do czasu życzliwa ręka pogładzi je po futerku?

Policjant zerkał na wzburzonego mężczyznę. Najpierw potarł czoło, przybrał strapiiony wyraz twarzy, a w końcu machnął ręką z westchnieniem.

– Dobra, pani bierze tego psa i znika.

– No! – Kalina spojrzała na stróża prawa z uznaniem. – Teraz zachowuje się pan, jak na prawdziwego mężczyznę przystało.

Delegacja złożona z trzech kobiet, mężczyzny i dwóch psów opuściła mieszkanie pod numerem jedenastym, odprowadzana spojrzzeniami dwóch par oczu. Jedna para – należąca do młodego policjanta – była nieco przestraszona, druga – zerkająca zza futryny drzwi sąsiedniego mieszkania – spoglądała z dezaprobatą. Nagle na schodach rozległy się kroki. Do drzwi opatrzonych jedenastką zbliżył się korpulentny mężczyzna w eleganckim garniturze i wyglancowanych na błysk butach. Pani Malinowska nie wytrzymała i oderwawszy się od framugi, podbiegła do sąsiada z wypiekami na twarzy.

– W waszym mieszkaniu czeka policja! Zostawiliście psa na balkonie i ci państwo...

– O co chodzi? – Mężczyzna przesunął obojętnym spojrzeniem po zgromadzonych. Na ściskającej w objęciach psa Zuzannie zatrzymał wzrok nieco dłużej, ale nie dał po sobie poznać, czy rozpoznaje czworonoga.

– To pana pies? – ostrym tonem przerwał mu stojący obok Zuzy mężczyzna.

– Tak, ale...

Silny cios w szczękę pchnął mężczyznę na drzwi sąsiedniego lokalu. Przez moment opierał się o nie, wytrzeszczonymi oczyma wpatrując się w rozmasowującego pięść napastnika, a następnie powoli zjechał po nich, siadając na posadzce z głośnym plaśnięciem.

– No i mamy trupa – stwierdziła zadowolona Kalina. – W kwestii trupów Młynek nigdy się nie myli.

Kajetan

W tym samym czasie, kiedy wojowniczo nastawiona Zuzanna pukała do mieszkania Jurczyków w celu roztrzaskania właścicielowi głowy za pomocą pucharu za zajęcie pierwszego miejsca w biegach przełajowych na stadionie Kalwarianki, Kajetan Fijus dumał nad tym, jak przerwać romans swojej żony.

Po dłuższym namyśle doszedł do wniosku, że najlepszym posunięciem będzie wzięcie urlopu. Dysponując wolnym czasem, całkowicie poświęci się ściganiu Zuzy i jej lowelasa oraz planowaniu razem z sąsiadką z parteru zasadzki na wiarołomnych kochanków. Poza tym w pracy nie potrafił się skupić, ponieważ nieustannie rozmyślał, w jaki sposób Zuzanna wykorzystuje sześćdziesiąt metrów kwadratowych ich mieszkania w czasie, kiedy on zarabia pieniądze na utrzymanie rodziny.

Do pokoju, w którym pracował Kajetan, zajrzał Michał. Gdy zobaczył zamyśloną, a nawet zatroskaną twarz przyjaciela, podszedł do biurka.

– Wskoczmy na piwko po pracy?
– E, nie. – Kajtek potrząsnął głową. – Muszę wracać do domu.
– Słuchaj, stary. Zachowujesz się jakoś dziwnie. Wszystko w porządku?
– W porządku. – Odpowiedzi towarzyszyło mechaniczne kiwnięcie głową. – A u ciebie?
– Właściwie to tak. Sytuacja z Elwirką została opanowana. Mógłbym już odebrać moje maleństwa...

– W porządku – powtórzył Kajtek. Nagle zamyślony spojrzał na przyjaciela. – Zastanawiasz się czasami, co Elwirka robi, kiedy jesteś w pracy? O, chociażby dzisiaj?

– Dzisiaj? Pewnie ubiera choinkę albo dekoruje pierniczki, ewentualnie gotuje jajka do sałatki jarzynowej. Co miałyby robić? – zdumiał się Michał.

– Och, zdziwiłbyś się! – Kajtek uśmiechnął się smutno. Następnie pochylił się nad biurkiem i zajął się wypełnianiem wniosku urlopowego. Przez moment obgryzał końcówkę długopisu, zastanawiając się, ile dni wpisać. Początkowo planował wrócić do pracy zaraz po świętach, ale w końcu doszedł do wniosku, że za te wszystkie nerwy związane z romansem Zuzanny należy mu się drobna rekompensata. – Nie będzie mnie do drugiego stycznia – obwieścił zaskoczonemu Michałowi.

– Bierzesz wolne przed świętami? Życie ci niemiłe?
– Bo?
– Bo dywany, bo płytki w łazience, bo zapomniałam kupić ryby, proszku do pieczenia i maku, bo, bo, bo. Bo to przed świętami, kiedy w domu jest huk roboty! Nie lepiej spokojnie przeczekać to w pracy? Przecież nikt nie każe nam pracować!

– Mam swoje powody – tajemniczo odparł Kajetan, składając na wniosku urlopowym zamaszysty podpis.

– Stary, nie pozwól zaprzęgnąć się do pługa świątecznego terroru!
– Nie pozwolę. Zamierzam dzisiaj usiąść na wersalce z założonymi rękoma i obserwować. Nie kiwnę małym palcem.

– Co obserwować?
– Wszystko.
Zaniepokojony Michał spojrzał na Kajetana badawczo. Byli przyjaciółmi od ponad

trzydziestu lat. Ich więź zawiązała się jeszcze w zerówce, kiedy stoczyli okupiony krwawiącymi nosami bój o plastikową ciężarówkę z czerwoną przyczepką. Umocniły ją wspólne eskapady brzegami Cedronu, budowanie baz w podmiejskich zagajnikach (raz dostali w dupę, bo rozmontowali rogale do suszenia siana z pobliskiej łąki i właściciel przyszedł na skargę), kolekcje samochodów z gum Turbo i wypita ukradkiem butelka taniego wina Venus, po której obaj tak rzygali, że obejrzeni z bliska swoje narządy. Kajtek był jedną z najważniejszych osób w życiu Michała, przyjacielem przez duże pe, a teraz zachowywał się tak dziwacznie i zupełnie niepodobnie do siebie, że ten poczuł się nieswojo. Postanowił, że przy najbliższej okazji wpadnie do Fijusów niezapowiedziany i sprawdzi, czy wszystko u nich w porządku.

Tymczasem Kajtek spjrzał na zegarek, z ulgą stwierdził, że może już pójść do domu, i przepraszająco uśmiechnął się do kumpla.

– Wesółych świąt! – Poklepał go po ramieniu. – Jak już mówiłem, zamierzam wrócić do pracy drugiego stycznia, ale gdyby coś poszło nie po mojej myśli, to w niebieskiej teście są sprawozdania dla szefa...

– O czym ty mówisz? – wybąkał Michał. – Co może pójść nie po twojej myśli?

Kajtek nie wiedział, co odrzec. Bo jak wytłumaczyć przyjacielowi, nawet najlepszemu, że zamierza się urządzić zasadzkę na własną, wiarołomną żonę? I że w takiej sytuacji nerwy mogą wziąć górę, a wtedy to już tylko pasiasty drelich, miska wody i pajda chleba?

A może wcale nie będzie tak źle? – dumał Kajtek kilkanaście minut później, parkując samochód pod blokiem przy ulicy Weissa. – Może to tylko incydentalny przypadek, którego Zuzanna już żałuje? Wtedy zasadzka nie byłaby potrzebna, a on mógłby spokojnie wrócić do pracy w nowym roku i przestać zaprzętać sobie głowę koronkowymi ekscesami żony.

Nadzieje Kajetana zostały jednak zdeptane szybciej niż grudki błota, którymi zachlapał nieskazitelnie wypastowane buty. Bo kiedy tylko otworzył drzwiczki samochodu, jego oczom ukazała się scena, od której zrobiło mu się potwornie gorąco.

Drzwi klatki schodowej uchyliły się, wypuszczając dużego rudo-brązowego psa i kołyszącą się na boki kobietę. Zaraz za nią wyszedł przystojny, barczysty mężczyzna. Kajtek miał wrażenie, że skądś go zna, ale z tej odległości nie widział zbyt dobrze, poza tym zaraz skupił uwagę na kolejnej osobie, która wyszła przed blok. Zuza! Uśmiechnięta i promienna, skinęła głową odchodzącej kobiecie, a następnie zwróciła się w kierunku mężczyzny.

To nic nie znaczy! – upomniał się w duchu zdruzgotany Kajtek. – Przecież to może być znajomy, pan z gazowni, jakiś ankieter albo dziennikarz, który szuka kandydatek do programu o gospodyniach domowych. To może być dietetyk!

Jeżeli rozmowa dotyczyła ustalanego jadłospisu, to przebiegała niezwykle dynamicznie. Zuzanna tłumaczyła coś mężczyźnie z przejęciem, a ten kiwał głową z zadowoloną miną. Kajtek rozluźnił się i już miał odetchnąć z ulgą, kiedy nagle Zuzanna objęła mężczyznę i mocno go do siebie przycisnęła.

Z gardła Kajtka wydobył się okrzyk oburzenia. Musiał być dość głośny, ponieważ stojąca pod blokiem para zerknęła w kierunku samochodu. Kajetan pospiesznie zsunął się na siedzeniu, chcąc umknąć przed ich wzrokiem, ale szybko dotarło do niego, że musi to wyglądać straszliwie głupio. Powrócił do normalnej pozycji i w tej samej chwili jego oczy spotkały się z zaciekawionymi oczami kobiety z psem, która najwyraźniej właśnie mijając jego samochód i teraz przystanęła, wpatrując się w Kajetana pytającym spojrzeniem. Odruchowo zsunął się po raz drugi, a kobieta ruchem dłoni pokazała mu, by opuścił szybę.

– W porządku? – zapytała, kiedy to uczynił. Próbował skinąć głową przyciśniętą nienaturalnie do klatki piersiowej. – To nie atak serca albo... coś w tym rodzaju? – dociekała.

– Robię przysiad – wychrypiał.

- Przysiady – powtórzyła, marszcząc brwi.
- To bardzo zdrowe dla mięśni.
- A nie byłoby wygodniej wysiąść i robić je w normalniejszych warunkach?

– Jest zimno – wyjaśnił, podnosząc szybę. Ponieważ kobieta z psem nadal stała obok jego samochodu i wpatrywała się w niego z zagadkowym wyrazem twarzy, specjalnie dla niej podniósł i zsunął się jeszcze kilka razy. W końcu wzruszyła ramionami i odeszła, a on mógł powrócić do obserwowania żony i jej kochasia. Niestety, muskularny mężczyzna i Zuzanna zniknęli. Kajtek zaklął pod nosem. Cholera, przez ciekawską babę nie zauważył, czy się całowali!

Zdenerwowany Kajtek wysiadł z samochodu i ruszył w kierunku wejścia do klatki schodowej. Wspinając się na pierwsze piętro, wrócił myślami do spotkania w cukierni, podczas którego pani Michalska obiecała mieć Zuzę na oku i dać mu znać, gdy tylko na horyzoncie pojawi się ktoś podejrzany. Marnie się spisała – pomyślał rozgoryczony Kajetan, wchodząc do mieszkania.

Zuzanna wyjrzała z kuchni. Czy mu się zdawało, czy naprawdę była lekko zdenerwowana?

– Wydawało mi się, że widzę pod blokiem twój samochód, ale pomyślałam, że to niemożliwe. Wyszedłeś wcześniej z pracy? Źle się czujesz?

– Nie. – Potrząsnął głową. – Pomyślałem, że przyda ci się pomoc przed świętami. Wziąłem... – W ostatniej chwili ugryzł się w język, dzięki czemu nie zdradził się z planami urlopowymi. Jeżeli nic nie powie, będzie mógł ukradkiem śledzić Zuzannę i przyłapać ją na gorącym uczynku. Spotkanie pod blokiem, którego świadkiem stał się przed momentem, było żywym dowodem, że jego żona nie jest zbyt ostrożna. – ...odebrałem kilka nadgodzin. Co na obiad?

– Och. – Spłoszona Zuzanna wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma. – Nie ma obiadu.

– Nie ma? – Dopiero teraz zauważył, że Zuzanna chowa coś za plecami. Próbował przesunąć się nieco, aby zobaczyć, co to takiego, ale żona wyczuła jego intencje i także się przesunęła, skutecznie uniemożliwiając mu dostrzeżenie trzymanego przez nią przedmiotu. – Dlaczego nie ma?

– Nie miałam czasu ugotować. Byłam zajęta. – Zachichotała nerwowo, cofając się w kierunku łazienki. – Wstawię parówki.

– Parówki? – Kajetan przeraził się nie na żarty. W ich małżeństwie bywało różnie, ale nigdy nie zdarzyło się, żeby Zuzanna nie miała czasu przygotować dla niego obiadu! Owszem, czasami rezygnowali z gotowania i szli zjeść coś na mieście całą rodziną, ale była to ich wspólna decyzja, najczęściej dyktowana skamlącymi naciskami Agaty, która uwielbiała pizzę. Przez piętnaście lat małżeństwa Zuzanna nigdy nie zastąpiła obiadu parówkami! – Parówki? Nie miałaś czasu ugotować obiadu? Co robiłaś?

– Och, takie tam! Nic wielkiego! – Zuzanna machnęła ręką. – Wietrzyłam pościel, zmieniałam firanki, czyściłam kaloryfery, odkurzałam dywan, myłam podłogi i przygarnęłam psa.

– Cóż, wobec tego poczekam na te parówki. – Kajetan rzucił żonie urażone spojrzenie i ruszył w kierunku dużego pokoju. W ostatniej chwili zerknął w zawieszony na ścianie lustro, w którego odbiciu zauważył, jak Zuzanna unosi do nosa jego szlafrok.

Poczuł, że robi mu się niedobrze. Z pewnością owinęła nim swojego kochasia, a teraz upaja się zapachem, który pozostawił! Po prostu wspaniale! Nie dość, że nie miał już żony, to teraz okazuje się, że szlafroka też już nie ma!

Zniechęcony powlókł się w kierunku dużego pokoju, sięgnął po pilota od telewizora i opadł na ulubiony fotel.

Jazgot, który wypełnił pokój, o mało przy nie przyprawił go o zawał serca. Prerażony Kajtek zerwał się z fotela, przy okazji trącając małym palcem lewej stopy w podstawę stojącej tuż obok ławy. Łapiąc się za pulsującą tęnym bólem część ciała i podskakując na prawej nodze, z niedowierzaniem wpatrywał się w oskarżycielskie oczy piszczącego stworzenia. Dopiero teraz dotarło do niego, co odpowiedziała Zuzanna, kiedy zapytał ją, jak spędziła dzień.

Zaalarmowana żona przybiegła do pokoju i chwyciła pieska w objęcia. Zwierzak przylgnął do niej i przesunął różowym języczkiem po gładkim policzku. Zuza zachichotała, a potem spojrzała na męża z wyrzutem.

– Dlaczego nie patrzysz, gdzie siadasz?

– To mój fotel – zauważył, ostrożnie stawiając lewą stopę na podłodze i kuśtykając w kierunku siedziska.

– Och, czyżby? – sarknęła Zuzanna. – Nie za wcześnie dokonujesz podziału majątku małżeńskiego?

Zlekceważył jej słowa i ruchem głowy wskazał zwierzątko.

– Dlaczego pies wyleguje się na moim, przepraszam, naszym, fotelu?

– To sunia. Wybrała sobie to miejsce, kiedy ją przyniosłam. Najwyraźniej spodobał się jej twój zapach, bo... hmmm, twój szlafrok też sobie wybrała. – Wzruszyła ramionami.

– Ach, tak! – Kajetan sam nie wiedział, czy cieszyć się, że z jego ulubionego szlafroka w miejsce kochanka Zuzanny korzystała kupka futra. – A skąd pies w naszym domu?

Zuzanna przez moment wpatrywała się w niego, przygryzając wargę. W końcu wzruszyła ramionami i przepędzając Kajtka od fotela, troskliwie ułożyła na nim zwierzątko.

– Należała do znajomego, ale nie potrafił się nią zajmować! – wyjaśniła, gładząc czarne futerko suczki. Kajetan zrozumiał, że piesek jest prezentem od kochanka. Spojrzał na żonę ze złością.

– A może ja nie chcę mieć psa?

– Nie masz wyjścia. – Zuzanna posłała mu harde spojrzenie.

Przez moment mierzyli się wzrokiem. Ten niecodzienny pojedynek spojrzeń przerwało trzaśnięcie drzwi wejściowych. Do pokoju wbiegła Agata. Widząc wypieki na jej twarzy, Kajetan zrozumiał, że córka została już poinformowana na okoliczność przybycia psa.

– Kupiłam karmę! Suchą i mokrą! – Przypadła do fotela i zachwycona pochyliła się nad równie zachwyconą sunią. Rozpromieniona dziewczynka spojrzała na ojca. – Dałam jej na imię Nuda. Super, no nie?

– No – przyznał ponuro Kajetan, poruszając obolałą stopą. Cienki czarny ogonek załomotał o siedzisko. Kajtek poczuł w ustach gorycz. Nie miał żony, nie miał szlafroka i fotela też już nie miał.

Anna

W czwartkowe popołudnie ponownie zaczął padać śnieg. Anna siedziała przy kuchennym stole, obserwując wirujące w powietrzu płatki, i układała w myśli plan uwiedzenia własnego męża.

Doszła do wniosku, że Waldemar wystarczająco oswoił się już z myślą, że zostanie ojcem, tym bardziej że od kilku dni nie rozprawiał o niczym innym tylko o tym, co zrobi z uzyskanym pięćset plus. Teraz nadeszła pora, by ich zamiary wcielić w życie. Nie od dziś przecież wiadomo, że do tanga trzeba dwojga, a jeśli chodzi o to tango... cóż, Waldemar nie wykazywał większego zainteresowania, przypominając sobie o istnieniu żony średnio raz w miesiącu. Anna obawiała się, że z taką częstotliwością łóżkowych ekscesów doczeka się potomstwa w okolicach sześćdziesiątki!

Inna kobieta na miejscu Anny poczułaby się zagrożona, że w życiu męża pojawiła się kochanka, jednak ona doskonale wiedziała, że to chorobliwa oszczędność Waldemara wysysa z niego całą energię. Każdego dnia przemierzał kalwaryjskie sklepy, by upolować najtańsze oferty i zanotować zmieniające się ceny. Przykładając zmęczoną głowę do poduszki, myślał o krągłościach, ale nie leżącej obok żony, tylko dziewiątek, dzięki którym mógł zatrzymywać w portfelu cenne grosiki.

Anna dokonała w myśli szybkiego przeglądu lodówki. Planowała ugotować na kolację coś pysznego. Musiało być również tanie, wszak chodziło o to, by wprawić Waldemara w doskonały nastrój i zachęcić do małżeńskich igraszek. A nic nie podniecało Jurczyka bardziej niż niskie koszty utrzymania domu.

Anna dopiła herbatę i uniosła się zza stołu, by wyciągnąć z lodówki niezbędne składniki. Przez moment jej spojrzenie zatrzymało się na lichej jodełce kołysanej podmuchami lodowatego wiatru i coraz mocniej oprószonej białym puchem. Anna uśmiechnęła się i kręcąc głową, sięgnęła do jednej z kuchennych szuflad. Pani Michalska była nieco zdziwaczałą staruszką, która za pomocą miotły i ostrego języka starała się trzymać ludzi na dystans, ale Anna ją lubiła. A pomysł przystrojenia choinki rosnącej pod blokiem od razu przypadł jej do gustu. Wydobywając z szuflady mocno zużyte, ale wciąż jeszcze ładne, szklane soplek, Anna zadumała się nad relacjami mieszkańców ich klatki. Przypomniała sobie nieprzyjemną sytuację z korniszonkami pani Malinowskiej i kompotami Zuzanny, która koniec końców okazała się być całkiem sympatyczna. Przywołała obraz zaniedbanej suni, którą nikt się nie zainteresował, kiedy skamlała i trzęsła się pozostawiona na nieosłoniętym balkonie. Chociaż mieszkali w jednym budynku i pozornie wiedzieli o sobie wszystko, tak naprawdę nie zadali sobie trudu, by choć odrobinę się poznać. Wpatrywali się w czubki własnych nosów, wmawiając sobie, że ich to nie dotyczy. W naszym bloku zagnieździła się zniczulica – pomyślała Anna, wpatrując się w czubek poruszanej wiatrem jodełki. – Ale może nie jest za późno, aby ją wytrzebić? Przecież możemy ubrać tę naszą chudą choinkę, a w wieczór wigilijny spotkać się pod nią i zaśpiewać kolędę albo dwie!

Rozmyślenia Anny przerwało grzechotanie otwieranych zamków. Po chwili do kuchni zajrzał uśmiechnięty Waldemar.

– Jajka po sześćdziesiąt groszy, dasz wiarę?

– Pewnie. – Kiwnęła głową, uśmiechając się do niego przymilnie. – Krwiopijcy!

– No! – Skinął z uznaniem głową, siadając za stołem. – Patrzą tylko, żeby wydusić z

człowieka ostatnią złotówkę. A święta to dla nich idealne warunki, bo ludzie tracą głowy i kupują wszystko, co tylko napatoczy się im pod rękę. Co to? – Zapytał, biorąc do ręki pudełko z sopelkami.

– Takie tam stare ozdoby choinkowe. – Anna wzruszyła ramionami, przeklinając w duchu własną bezmyślność. – Pani Michalska zaproponowała, żebyśmy wspólnie ubrali choinkę przed blokiem.

– A tak, coś wspominała.

– To chyba dobry pomysł – powiedziała ostrożnie Anna.

– Dobry? – zdziwił się. – Według mnie beznadziejny!

– A to niby dlaczego? – Anna ujęła się pod boki. – Przyjemnie będzie udekorować wspólne drzewko i zadbać o świąteczny nastrój w bloku. Spójrz, nawet śnieg nam sprzyja, będą piękne święta!

– Cztery płatki na krzyż – prychnął lekceważąco Waldemar. – Po co ubierać choinkę przed blokiem? Przecież w mieszkaniu każdy ma własną! Wieczorem zawieszicie bańki, a rano już ich nie będzie, bo znajdzie się ktoś, komu się przydadzą! – Wziął do ręki kartonik i przyjrzał się zawartości podejrzliwie. – To nasze?

– To stare ozdoby! – wyjaśniła zmęczonym głosem Anna. – Nie są nam już potrzebne. Mamy inne.

– Jakie?

– Zrobiłam na szydełku.

– Skoro nie są nam już potrzebne – Waldemar potrząsnął pudełkiem, aż znajdujące się w pudełku ozdoby zabrzęczały – to sprzedajmy je w internecie. Możemy pójść do biblioteki i wystawić aukcję.

– Są odrapane! – oburzyła się Anna.

– Obniżymy cenę o dziesięć groszy.

– Nikt ich nie kupi! Chyba że mu dopłacimy! – Podeszła do męża, wyrwała mu pudełko i na powrót wrzuciła je do szuflady. Cóż, dzisiejszego wieczoru próby uwiedzenia Waldemara nie miały już najmniejszego sensu. Oddychała głęboko, walcząc ze łzami. W końcu spojrzała na siedzącego za stołem mężczyznę. – Porozmawiajmy o dziecku...

– O, właśnie! – ucieszył się Waldemar. – Dobrze, że o tym wspominasz, bo sam chciałem poruszyć ten temat. Doszedłem do wniosku, że perspektywy, jakie czekają na nasze dziecko w tym kraju, nie są różowe.

– To znaczy?

– Co prawda nasz rząd zachwala swoją politykę prorodzinną, ale to wszystko zamki na piasku. Uważam, że powinniśmy wyjechać za granicę.

– Dlaczego? – Anna opadła na krzesło i zdumiona wpatrywała się w męża.

– Dlaczego? Bo tam czeka na nas lepsze życie.

– Znowu naopowiadali ci jakichś głupot? – Spojrzała na niego z politowaniem. Koledzy z pracy Waldemara często raczyli go różnymi opowieściami, z których on wyławiał najsmakowitsze i najbardziej opłacalne kąski.

– To nie są głupoty! – oburzył się Waldemar. – Weźmy taką Anglię na przykład... socjal wysoki, dziecko otrzyma bene... bene... beneficjaty.

– Benefity. A dlaczego uważasz, że brytyjskie zasiłki są wyższe od polskich?

Teraz to Waldemar posłał żonie pełne politowania spojrzenie.

– To tak, jakbyś porównywała duże soczyste jabłko i małą wisienkę.

– Lubię wisienki – mruknęła pod nosem.

– A ja wolę wielkie, ogromne, kolosalne jabłka – warknął Waldemar. – Haruję już

dwadzieścia lat i będę harował kolejne dwadzieścia, a i tak niczego nie osiągniemy w tym kraju!
Za granicą to co innego, tam praca czeka na ulicy.

- To mrzonki – westchnęła Anna.
- Nie znasz się!
- A ty nie znasz języka!
- Ale z młotkiem po angielsku nie będę gadał! – prychnął. – Takiego specjalistę wezmą z pocałowaniem ręki! – Wyprężył dumnie pierś.
- Uhm. – Anna pokiwała głową nad wybujałym ego męża, podsycanym przez kolegów z warsztatu, w którym pracował. Posłała mu proszące spojrzenie. – To kiepski pomysł, Walduś!
- Ty chyba nie zrozumiałeś? – wycedził, unosząc się zza stołu. – Ja nie pytam, czy chcesz wyjechać. Ja mówię, że wyjeżdżamy. Nie w przyszłym roku, nie za miesiąc. Zaraz po świętach!
- Oszalałeś?
- Znajomy zabierze nas samochodem i pozwoli zatrzymać się w swoim domu, póki nie staniemy na nogi. Możesz zacząć się pakować.
- A jeśli ja nie wyjadę?
- Twój wybór. Ale dobrze się zastanów. Jesteś ode mnie uzależniona. Masz trzydzieści osiem lat. Nigdy nie pracowałaś. Nic nie potrafisz.
- To nie fair!
- No, popatrz! – ucieszył się. – Już mówisz po angielsku! Umiesz dopasować się do sytuacji!
- Waldek, ja nie chcę wyjeżdżać. – Spojrzała na niego prosząco.
- Nie masz wyjścia, kochanie. Nie zmienię zdania. Jeśli naprawdę chcesz mieć dziecko, pojedziesz ze mną!

Wstrząśnięta Anna spoglądała na drzwi, za którymi zniknął jej mąż, zastanawiając się, czy sytuacja, która właśnie miała miejsce, nie była czasem wytworem jej wyobraźni. To niemożliwe, by Waldemar zachował się w tak bezduszny sposób! Przecież знаła swojego męża, mieszkała z nim pod jednym dachem od wielu lat. Miał swoje dziwactwa, ale do cholery, kto ich nie miał? Osobiście znała kobietę, która w nieparzyste dni tygodnia ubierała się na czerwono i na pogrzeb własnego ojca poszła w karminowym płaszczu! Waldemar był upierdliwy i nieustępliwy jak komar po zgaszeniu światła, ale nigdy nie był okrutny.

Wsluchując się w szum uruchamianego telewizora, Anna podniosła się zza stołu. Przez moment wpatrywała się w czubek jodelki rosnącej pod blokiem. Z oddali przypominała zielonego pierniczka posypanego cukrem pudrem. Bez wahania szarpnęła szufladę i ponownie wyjęła pudełko z sopolkami. Grzechotały w kartonie, kiedy niosła je do przedpokoju i wsuwała stopy w znoszone kozaki. Waldemar zawołał coś z pokoju, ale Anna zdecydowała się to zignorować. Zarzuciła kurtkę i szybko wybiegła z mieszkania, obawiając się w duchu, że za chwilę się rozmyśli.

Wyszła przed blok i zaczerpnęła solidny haust powietrza. Nie było świeże, o ekologii wciąż zapominało w miasteczku zbyt wielu użytkowników pieców, ale i tak poczuła się lepiej, kiedy powoli wypełniło jej płuca. Spojrzała w niebo, wysunęła koniuszek języka i złapała kilka płatków śniegu. A potem zbliżyła się do choinki i zaczęła wieszać kolorowe sopolki.

Monika

– Po południu pójde do spowiedzi – obwieściła mama Kwiatek podczas czwartkowego obiadu.

– Dobry pomysł. – Monika starała się przybrać obojętny ton głosu, choć w głębi ducha aż skakała z radości. Odkąd matka męża zamieszkała w ich niedużym bądź co bądź mieszkanku, nawet przez dziesięć sekund nie poczuła się swobodnie. Cały czas miała wrażenie, że teściowa obserwuje jej poczynania z mocno zaciśniętymi ustami.

– A wy? – dociekała starsza pani.

– A my... nie dzisiaj – ucięła szybko.

– Aha. No to pójde sama. – Mama Kwiatek wzruszyła ramionami i zamilkła. Bez przekonania grzebała widelcem w potrawce z kurczaka. Monika przyglądała się jej ukradkiem.

Od kilku dni teściowa nie była sobą. Od kilku dni, a dokładniej mówiąc, od poniedziałkowego popołudnia, kiedy warknęła na synową, że jest zbyt wietrznie, by zabierać Piotrusia na spacer. Oburzona słowami teściowej Monika nie dość, że przedłużyła przechadzkę, to jeszcze zawędrowała do kawiarni, gdzie spędziła ponad godzinę, racząc się kawą i szarlotką, i obserwując raczkującego w kąciку dla najmłodszych synka. Kiedy wróciła do domu, niemal zapadł już zmrok. Matka Jakuba była przygaszona i milcząca. Foch – pomyślała wówczas Monika, wzruszając ramionami, ale teraz nie była już tego taka pewna. Minęły dwa dni, a mama Kwiatek wciąż zachowywała się jak nie ona! Co prawda nadal rzucała znaczące spojrzenia i zaciskała cienkie wargi, ale jakoś straciło to na sile.

Dotknięta wyrzutami sumienia Monika postanowiła ocieplić nieco rodzinną atmosferę.

– Słyszałam, że dzieci przygotowują w kościółku szopkę. Może pójdziemy jutro obejrzeć?

– Uhm.

– Święta zapowiadają się białe.

– Tak.

– Nasze światełka są najjaśniejsze w całej Kalwarii.

– Tauron się ucieszy.

Zdesperowana Monika załadowała do ust kopiastrą porcję ziemniaków z potrawką i powoli przeżuwała, dumając nad dziwnym zachowaniem teściowej. Zdecydowała się nawiązać do wybitnych uzdolnień kulinarnych mamy Kwiatek.

– A kiedy mama przygotowuje swoje słynne pierogi? – zagadnęła. Ku jej zdumieniu matka Jakuba pokryła się buraczkowym rumieńcem i pospiesznie zaczęła wstawać od stołu.

– Doszłam do wniosku, że w tym roku nie ma sensu ich robić – odparła zmieszana.

– Nie?

– Piotruś jest za mały, a ja ostatnio mam problemy żołądkowe.

Zaskoczona Monika zamarła z widelcem w pół drogi do ust, obserwując, jak matka Jakuba szybko myje talerz, odkłada go na suszarkę i sięga po torebkę. Uśmiechnęła się do synowej przepaszająco.

– Chyba już pójde. Co prawda spowiedź zaczyna się dopiero za dwie godziny, ale wolę zająć miejsce w kolejce.

Spojrzenie Moniki odprowadziło teściową do drzwi i zawisło na nich dłuższą chwilę po

tym, jak już się zamknęły. W końcu kobieta podniosła widelec do ust, dokładnie go oblizała i również wstała od stołu. Pobieźnie opłukała naczynia i ruszyła w kierunku małego pokoju. Przez krótki moment obserwowała śpiącego synka, po czym zdjęła gruby sweterek i sięgnęła po koc. Ułożyła się na wersalce i z błogim uśmiechem naciągnęła przykrycie. Spowiedź zaczynała się dopiero za dwie godziny, miała więc ponad sto dwadzieścia minut, by poczuć się sobą. Nic się nie stanie, jeśli połowę tego czasu prześpi...

Maciej

Do Marzena: „Dziękuję za miłe spotkanie :)”

Do Maciej: „To ja dziękuję :)”

Do Marzena: „Mam nadzieję, że cię nie zanudziłem. Wiem, że liczyłaś na wycieczkę krajoznawczą ;)”

Do Maciej: „No wiesz, takie wycieczki też lubię. Przynajmniej nogi miałam suche. A na wycieczki krajoznawcze, mam nadzieję, też przyjdzie pora”

Do Marzena: „Pewnie, że tak! Nie mogę się doczekać!”

Do Marzena: „PS Masz ładne... kalosze!”

Maciej uśmiechał się pod nosem, wciskając kolejne znaki na ekranie swojego smartfona. Już dawno nie czuł się taki lekki i zadowolony. Podejrzywał, że to wpływ uroku Marzeny, która okazała się być niezwykle interesującą kobietą. Była nie tylko piękna, w delikatny i naturalny sposób, ale również ciepła i sympatyczna. Miło spędził z nią czas i sam przed sobą musiał przyznać, że nie może się doczekać kolejnego spotkania.

Był przystojnym facetem, który nigdy nie miał problemu z przyciąganiem uwagi kobiet. Zaangażował się w kilka związków, krótszych i dłuższych, jednak wszystkie okazały się niewypałem. Odkąd wrócił do miasteczka, nie związał się z żadną kobietą. Poszedł na kilka niezobowiązujących spotkań, parę razy dostał kosza, między innymi od wychowawczynie 2a, ale nie przejął się tym zbyt. Tym razem było inaczej. Chciał, by było inaczej.

Zerknął na telefon, by sprawdzić, czy nadeszła odpowiedź, i wsunął aparat do kieszonki na piersi. Z założonymi na plecach rękoma przechadzał się po szkolnym korytarzu, obserwując dokuczające na przerwie dzieci. Raz czy dwa mignęła mu jasnowłosa główka Stasi, a wtedy zmarszczył brwi.

Stasia! Na myśl, że spotyka się z kobietą, która nie ma pojęcia, że jest wychowawcą jej córki, poczuł w żołądku bolesny ucisk. Naturalnie w samym fakcie, że nim jest, nie było nic złego. Ale to, że nie wspominał o tym ani słówkiem, chociaż miał ku temu aż dwie okazje, było już całkiem inną kwestią. Maciej podejrzewał, że Marzena nie będzie tym zachwycona i cholera jasna, zupełnie słusznie!

Sam nie wiedział, dlaczego nie wyjaśnił jej wszystkiego, gdy była ku temu najlepsza sposobność. Kiedy natknął się na nią w mieszkaniu przy ulicy Weissa, stracił głowę i myślał tylko o tym, by przekazać kupioną zabawkę. Potem, gdy wspomniła o nauczycielach mieszkających się w życie swoich uczniów i ich rodzin, stchórzył. Bo kim był, jak nie takim nauczycielem właśnie? Gotowym interweniować, ponieważ uznał, że matka poświęca zbyt mało czasu swojej córeczce? Podczas spotkania w kawiarni przyłapał się na tym, że odkłada wyjawienie jej, kim jest, na później, aż w końcu wcale tego nie zrobił. Następnego dnia poszedł do sklepu, w którym pracowała, ale okazało się, że już wyszła. Nie zastał jej także w domu, a na domiar złego wplątano go w zupełnie zwariowaną historię z przetrzymywanym na balkonie psem, która zakończyła się dla niego obtartymi kłykciami.

Czuł, że musi jak najszybciej powiedzieć Marzenie, kim jest. Zanim uświadomi jej to ktoś inny, a cieniutka nić sympatii, jaka zdążyła się między nimi zawiązać, zostanie zerwana. Sięgnął po smartfona i wystukał krótką wiadomość z propozycją spotkania, a potem prędko kliknął

komunikat „WYŚLIJ”, by się nie rozmyślić.

Stasia

Dwie małe konstruktorki nie traciły czasu i szopka w kalwaryjskim kościółku powstawała w zawrotnym tempie. Jej podstawę tworzyło ogromne pudło po kuchence mikrofalowej, pomalowane plakatówkami na kolor błota i dodatkowo oblepione zebranych na plantach zeschniętymi liśćmi. Dach został wykonany z użyczonego przez panią Michalską karmnika dla ptaków, do którego klamerkami do włosów doprowadzonymi ukradkiem z salonu mamy Kasi przytroczono wielką błyszczącą gwiazdę. Gwiazda stanowiła ozdobną klamrę przy pasku Marzeny Kamińskiej i była inkrustowana kolorowymi szkiełkami, ale projektantkom bynajmniej to nie przeszkadzało. Patrzyły zachwycone, jak migocze w nich padające z żyrandola światło. Taka gwiazda skusiłaby nie tylko trzech króli, ale i wszystkie sroki w gminie!

Przed szopką ustawiono żłobek (lub żłóbek) wycięty z kartonu, który cierpliwie czekał, aż zostanie napełniony pachnącym siankiem i będzie mógł przyjąć swojego niezwyklego lokatora. Z obu stron szopki powtykano połamane gałązki brzozy i kłującej sosny, które imitowały rosnące drzewa. Przy wejściu do stajenki stała plastikowa krowa, obok niej pluszowa owieczka kupiona na straganie w Zakopanem. Napis reklamujący zimową stolicę Polski został zalepiony taśmą malarską, dzięki czemu zwierzątko wyglądało jak karykaturalna miss przepasana żółtą wstęgą. Naprzeciwko owieczki ustawiono niezdarnie pomalowanego rudym sprejem kucyka. Konik ciekawie zaglądał do stajenki, prężąc w kierunku przednich ławek swój sterczący ogon. Spreju było mniej, niż spodziewały się dziewczynki, więc gdzieś tam wystawały spod niego tęczowe pasemka. Ostatnim lokatorem nowo wybudowanej szopki był gumowy lew chowający się za ścianą stajenki i wstydliwie kulący pod siebie cienki ogon zakończony śmiesznym frędzelkiem.

Zadowolone z siebie dziewczynki stały dwa kroki przed szopką i kontemplowały swoje dzieło. Spojrzały na siebie z uśmiechem.

- Jeszcze lalki – zauważyła Kasia.
- I siano – dodała druga dziewczynka.
- Chodźmy po nie od razu.

Gospodarstwo rolne, w którym pracował wujek Kasi, znajdowało się w sąsiednich Zebrzydowicach. Dziewczynki ruszyły w drogę. Po raz pierwszy przebywały w swoim towarzystwie w okolicznościach, które zmuszały do rozmowy, i po kilku niezdarnych próbach nawiązania dialogu terkotały jak najęte, nie zdając sobie z tego sprawy. W tej chwili nie miało najmniejszego znaczenia, że Stasia jest nowa, a Kasia zadziera nosa. Dwie koleżanki połączyła wspólna misja, a misję należało szczegółowo zaplanować.

Kiedy dziewczynki dotarły w końcu do gospodarstwa, okazało się, że muszą zmodyfikować swój plan. Napotkany przy bramie wjazdowej pracownik poinformował je, że wujek Kasi ma tego dnia wolne. Na uprzejme pytanie, skąd mogą wziąć trochę siana, zaśmiał się pod nosem.

- Nie mam pojęcia! Ale kiedy się dowiecie, dajcie znać. Przed świętami siano zawsze się przyda!
- Pewnie chce włożyć pod obrus – szepnęła Kasia do koleżanki. – Moja mama też tak robi.

Stasia skinęła głową z poważną miną. Kiedy mieszkały jeszcze w Radomiu, mama co roku wsuwała pachnące sianko pod obrus na stole wigilijnym. Żdziebelka kupowała w foliowej

torebce na straganie pod kościołem. Musiało być jakieś wyjątkowe. Chciała to powiedzieć roześmianemu mężczyźnie, ale okazało się, że znikł. Stuknęła zamykana brama i dziewczynki zostały same.

– I co teraz? – płaczliwym tonem zawołała Kasia.

Stasia przyjrzała się bramie badawczo, a następnie cofnęła się kilka kroków i podobnym spojrzeniem zmierzyła kamienne ogrodzenie ginące w gąszczu nagich, splątanych zarośli.

– Może poszukamy jakiejś dziury w murze?

– Wejdziemy i tak po prostu weźmiemy sobie siano? – Druga dziewczyna pokręciła głową. – Księdzu się to nie spodoba!

– Dlaczego? Przecież twój wujek powiedział, że możemy sobie trochę wziąć! Tak?

– No, taaak... – z ociąganiem przyznała Kasia. Westchnęła, przyciskając twarz do zardzewiałych prętów bramy i starając się coś dostrzec na podwórku gospodarstwa. Nagle podskoczyła podekscytowana. – Tam! Tam jest siano!

– Musimy tam wejść! – gorączkowała się Stasia. Pociągnęła Kasię za rękaw zielonej kurtki i powoli ruszyły poboczem w kierunku przejazdu kolejowego. Idąc, uważnie lustrowały ogrodzenie z wysokich, betonowych paneli, szukając jakiegoś wylomu albo drzewa, po którym mogłyby przedostać się na drugą stronę, ale nie natrafiły na nic takiego. W pewnym momencie minęły kolejną bramę z metalowej siatki, ale również ona była dokładnie zamknięta. Doszły do końca ogrodzenia i z wahaniem patrzyły, jak załamuje się i biegnie wzdłuż torów kolejowych. Nie odważyły się jednak ruszyć dalej i po chwili zawróciły pod bramę.

Bez słowa wpatrywały się w majaczące w oddali budynki i porzucone w kącie bale siana. Nagle Kasia drgnęła. W kierunku bramy powoli toczył się samochód. Bez chwili namysłu dziewczynki zanurkowały w pokrytym śniegiem rowie i przylgnęły do stromeego brzegu. Kierowca samochodu wysiadł i uchylił metalowe skrzydło, a następnie wskoczył do szoferki i odjechał. Brama pozostała otwarta. Dziewczynki spojrzały na siebie z uśmiechem, jakby nie wierząc własnemu szczęściu, wygramoliły się z rowu i biegiem ruszyły w kierunku upragnionego siana.

Kiedy zziąjane dopadły do bala, szarpały pachnące źdźbła i pospiesznie upychały swoją zdobycz w szkolnych plecakach. Nagle podwórko przeciął ostry głos.

– Hej, wy dwie! Co tam robicie?

Dziewczynki rzuciły się do ucieczki. Stasia biegła pierwsza, ciężki plecak, którego nie zdążyła zarzucić na ramię, boleśnie uderzał ją po nogach. Za plecami słyszała przyspieszony oddech i mamrotanie koleżanki. Brama była już o krok...

Druga dziewczynka starała się dotrzymać kroku Stasi, ale jej kozaki nieprzyjemnie ślizgały się po pokrytym topniejącym śniegiem podwórku. W pewnej chwili straciła równowagę i opadła na jedno kolano, znacząc je błotnistymi maziemi. Próbowwała szybko wstać, ale w tym samym momencie potężne ramię poderwało ją do góry i przytrzymało wysoko, wierzgającą ubłoconymi nogami. Krzyknęła.

Stasia przystanęła i z niedowierzaniem patrzyła na szamoczącą się koleżankę. Mężczyzna, którego wcześniej spotkały przy bramie, już się nie uśmiechał. Postawił zapłakaną Kasię na ziemi i kiwnął palcem na przerażoną Stasię.

– Z której szkoły jesteście, królewny? Zaraz tam zadzwonimy...

Stasia usłyszała dzwonienie w uszach i mocne bicie własnego serca. Powoli zawróciła i stanęła obok koleżanki. Bez słowa objęły się ramionami.

Zuzanna

Tuż przed piętnastą w mieszkaniu Fijusów zabręczął dzwonek. Zuzanna, która właśnie bezwiednie kroїła pieczarki, zamieniając je w bezkształtną papkę, równocześnie zastanawiając się, jak też może wyglądać kochanka Kajtka, wytarła dłonie w ściereczkę i pospieszyła otworzyć. Na progu stała mocno zziębnięta pani Michalska.

– Dzień dobry – zaskrzeczała. – Przyszłam zapytać, czy przyłączycie się do ubierania naszej choinki.

– Naprawdę nie wiem. – Zuzanna oparła się o uchylone drzwi. – W tym roku w ogóle nie mam głowy do świątecznych przygotowań.

– A to niby dlaczego? – zainteresowała się sąsiadka z parteru. – Stało się coś?

– A żeby pani Michalska wiedziała. Mamy poważne rodzinne zawirowania, a ja stoję przed nie lada dylematem. Kto wie, czy nie zakończy się rozpadem rodziny! – Gospodyni pociągnęła nosem. Dozorczyńni patrzyła na Zuzannę z osłupieniem.

– Nie miałam pojęcia, że to zabrnęło tak daleko! – wyszeptowała.

– A więc pani już wie? – Zuza sięgnęła do kieszonki fartucha po chusteczkę, chlipnęła, a następnie głośno wyczyściła nos. – Nie miałam pojęcia, że to aż tak rzuca się w oczy!

– Cóż, może nie rzuca się aż tak – pocieszająco mruknęła staruszka – ale co nieco do mnie dotarło. Dziwię się, że mówisz o tym tak otwarcie!

– A dlaczego miałabym to ukrywać? Pewnych rzeczy nie da się przemilczeć, bo po prostu są! No, to co z tą choinką? – dodała, kiedy zapadło kłopotliwe milczenie.

Pani Michalska porzuciła ponure rozważania na temat niewesołej sytuacji rodzinnej Fijusów i skupiła się na kwestii dekorowania rosnącej przed blokiem jodełki. Natychmiast się ożywiła. Oczy w siateczce drobniutek zmarszczone rozświetliły się nieoczekiwanym blaskiem. Jakże ona ma piękne oczy! – pomyślała z podziwem Zuzanna.

– Udekorujemy naszą choinkę i spotkamy się pod nią w wigilijny wieczór, aby zaśpiewać kolędę i złożyć sobie życzenia – zapowiedziała. – Widziałam przed momentem, jak Anna Jurczyk wieszala na niej ozdoby.

– Hmm, postaram się wybrać jakieś bańki. Nie obiecuję, bo tak jak mówię, u nas panuje dość napięta atmosfera... – Zuzanna skrzywiła się na wspomnienie wyrazu twarzy męża, który rano odkrył wilgotną i dość śmierdzącą niespodziankę w jednym ze swoich pantofli.

– Postaraj się! – przykazała surowym tonem pani Michalska, machając wyprostowanym sękatym palcem. Zwróciła się w kierunku schodów, po których właśnie wspinało się dwóch muskularnych mężczyzn w niebieskich kombinezonach. Uśmiechnęła się do Zuzanny. – No, na mnie już czas. Mam dziś huk roboty!

Zuzanna zamknęła za sąsiadką drzwi i wolnym krokiem wróciła do kuchni. Z niechęcią spojrzała na rozciapane pieczarki, które pierwotnie zamierzała usmażyć do ulubionych kroketów męża, po czym zgarnęła je do kosza na odpadki. Sama przed sobą musiała przyznać, że w ogóle nie czuje zbliżającej się Gwiazdki i nie ma najmniejszej ochoty uczestniczyć w świątecznych przygotowaniach. Bo czy można odczuwać bożonarodzeniową radość, kiedy traci się tak bliską osobę?

Monika

Natarczywy dzwonek wyrwał Monikę z błogiej drzemki. Przeżona poderwała się do pozycji siedzącej, przyciskając do klatki piersiowej ciepłutki koc. Nieprzytomnie spojrzała najpierw w okno, a potem na regał, gdzie stał budzik. Czyżby spała tak długo, że teściowa zdążyła wrócić z kościoła? Wskazówki wskazywały jednak dopiero piętnastą z minutami, więc było to mało prawdopodobne. Młoda kobieta zgramoliła się z wersalki, narzuciła sweterek i ruszyła do przedpokoju, starannie zamykając za sobą drzwi do pokoju, gdzie nadal spał synek.

Zerknęła w judasza i zmarszczyła brwi. Przed mieszkaniem stało dwóch młodych mężczyzn w niebieskich kombinezonach. Wyglądali na pracowników firmy transportowej. Uchyliła drzwi i spojrzała na nich pytająco.

– Przyjechaliśmy po odbiór makulatury – usłyszała.

– Jakiej makulatury? – zdębiała.

– No, nie wiem. – Mężczyzna podrapał się po czole. – A jaką pani ma?

– To pomyłka! – zapewniała. – Nie mam żadnej makulatury!

– Dostaliśmy zlecenie na odbiór makulatury – wtrącił się drugi mężczyzna. – Pójdę do samochodu i jeszcze raz sprawdzę adres, jeśli pani twierdzi, że to pomyłka...

– Żadna pomyłka, żadna pomyłka! – zaskrzeczało zza pleców pracowników firmy transportowej. Osłupiała Monika obserwowała, jak sąsiadka z parteru zmusza mężczyzn, by się przed nią rozstąpili, a następnie wskazuje wejście do jej przedpokoju. – Panowie wejść. Tylko na paluszkach, bo jak dziecko obudzą, to miotłą pogonię! – Pogroziła palcem.

W niedużym przedpokoju zapanował ścisk. Mężczyźni popatrywali na Monikę, ona popatrywała na nich i głowiła się, o co chodzi. W końcu pochyliła się w kierunku pani Michalskiej.

– To jakaś zbiórka? Obywatelska?

– Taaa! – prychnęła pod nosem sąsiadka. – Na produkcję srajtaśmy dla miłościwie nam rządzących. Dawaj książki!

– Które książki? – przeraziła się kobieta.

– Wszystkie! – uściśliła sąsiadka. – Możesz sobie zostawić Biblię i książkę kucharską. O ile potrafisz z nich mądrze korzystać!

– Nie rozumiem!

– I to jest właśnie twój największy problem! Nie rozumiesz. Nie dotarło do ciebie, że możesz być świetną mamą bez tych głupich poradników? Już jesteś!

– Nie jestem – załkała Monika. – Zmieniłam pokój własnego syna w tubkę po cukierkach Skittles!

– Mam trochę inne skojarzenie, ale niech ci będzie. Pakuj mi te książki. Może o tym nie wiesz, ale panowie sobie słono liczą za godzinę!

Odnalezienie i spakowanie wszystkich poradników dla młodych rodziców zajęło Monice kilkanaście minut. Zgarniając z półek kolejne książki i zerkając na ich okładki, młoda kobieta śmiała się pod nosem. *Wychowaj geniusza w trzy lata. Twoje dziecko jest geniuszem. Twoje dziecko nie musi być geniuszem. Marchewka i inni przyjaciele twego dziecka. Twoje dziecko nie musi przyjaźnić się z marchewką. Bądź przyjaciółką swojego syna, granice nie istnieją. Wytoczaj wyraźne granice w relacjach z synem.* Czy ja naprawdę przeczytałam te wszystkie książki? Czy

właśnie na nich opierałam swoją wiedzę i metody wychowawcze? Rany boskie! – złapała się za głowę, wrzucając kolejne ciężkie tomy do dużego, czarnego worka.

Kiedy zataszczyła wór do przedpokoju i przekazała książki mężczyznom, pani Michalska skinęła głową z uznaniem. Oczekwała, aż za tragarzami zatrzasną się drzwi, i delikatnie poklepała młodą matkę po ramieniu.

– Dasz sobie radę! – zapewniła łagodnym tonem. A potem, jakby chcąc zrównoważyć sąsiedzką serdeczność, odchrząknęła i przybrała surowy wyraz twarzy. – Mam nadzieję, że przygotowałaś już ozdoby, które zawieszicie na naszej wspólnej choince?

– Nieee... – zająknęła się Monika.

– Lepiej przygotuj – sarknęła sąsiadka. – Żebyś nie szukała na ostatnią chwilę. I uśmiechnij się, na miłość boską! Zabrałam tylko twoje książki, a nie wytatuowałam ci motylka na prawym pódupku!

Marzena

– Przepraszam, te mandarynki, z jakiego kraju pochodzą? – piskliwy głos klientki wyrwał Marzenę ze słodkiego zamyślenia. Właśnie zaczęła popołudniową zmianę i z żalem rozstała się z telefonem komórkowym. Choć może to i dobrze, że kierowniczką zmiany zamykała komórki w specjalnie wydzielonej szafeczce, inaczej spędziłaby całe popołudnie, gapiąc się w ekran i czytając wiadomości od Maćka z głupawym uśmiechem na twarzy. Ta o kaloszach rozłożyła ją na łopatki.

Boże, miała trzydziestkę na karku, a zachowywała się jak nastolatka!

Nieprzytomnym wzrokiem spojrzała na zniecierpliwioną klientkę. Kobieta czekała na odpowiedź, postukując czubkiem brązowego kozaczka na szpilce. Spod ronda filcowego kapelusika spoglądały na Marzenę podmalowane szmaragdowym cieniem oczy. O co ona pytała, na miłość boską?

– Mandarynki – wycodziła klientka chłodnym tonem. – Wie pani, skąd pochodzą?

– Nie wiem – przyznała Marzena. – Może na skrzynce umieszczono informację?

Klientka prychnęła i odwróciła się na pięcie, w ostatniej chwili rzucając przez ramię:

– Powinniście wiedzieć takie rzeczy!

– A Kopernik była kobietą – mruknęła pod nosem Marzena.

Upewniła się, że amatorka cytrusów zniknęła przy dziale z warzywami, a sama sięgnęła do wielkiego, metalowego wózka po kolejną zgrzewkę soku. Przed świętami w sklepie panowało istne szaleństwo. Ludzie kupowali na potęgę, zupełnie jakby spodziewali się nie narodzin Syna Bożego, ale wojny atomowej. Z półek zniknęły kolejne artykuły, pozostawiając ogromne, ziejące dziury. Kierowniczką zmiany biegła pomiędzy regałami, skrzeczając: „Frontujcie, frontujcie!”. Ale żadne przekładanie towaru na front nie było w stanie pomóc, gdy w markecie panował taki ruch. Marzena wcisnęła folię ze zgrzewki do pustego pudełka po małych soczkach z rurką i wydobyla z wózka ciężki sześciopak wody mineralnej. W pracy czas szybko płynie, ciekawe czy na komórce czeka jakaś wiadomość od Maćka...

Nagle obok Marzeny zmaterializowała się kierowniczką zmiany. W dłoni trzymała przenośny aparat.

– Telefon do ciebie. Dzwonią ze szkoły.

– Ze szkoły? – przerażona Marzena sięgnęła po telefon, ale przełożona ruchem brody wskazała jej wyjście na zaplecze. Kobieta ruszyła za nią do magazynu, wycierając wilgotne od potu dłonie w zielony fartuszek i wsłuchując się w kołaczące serce. Stasia, myślała w panice, na pewno coś stało się Stasi!

– Halo! – zawołała do słuchawki, kiedy znalazły się poza zasięgiem wzroku klientów. – Mówi Marzena Kamińska, co się stało? Coś ze Staśką? – Przez moment słuchała w milczeniu, a jej oczy robiły się coraz bardziej okrągłe. – Że co?! Nie, to musi być jakaś pomyłka! Zaraz tam będę!

Kierowniczką zmiany złapała rzucony przez Marzenę telefon i zdumiona wpatrywała się, jak ta szamocze się ze zrywaniem naprędce fartuszkami.

– Nie możesz teraz wyjść! – zapiszczała. – Widziałas, co dzieje się na sklepie?

– Guzik mnie to obchodzi! Moja córka ma kłopoty i potrzebuje mnie właśnie teraz!

– Szefowi się to nie spodoba!

– Przecież jemu i tak nic się nie podoba! – prychnęła rozzłoszczona Marzena. Pospiesznie zarzuciła na siebie płaszcz i sięgnęła po telefon komórkowy. Niedbale wrzuciła go do torebki, podobnie jak czapkę, szalik i rękawiczki. Wybiegła ze sklepu, potrącając stojących przy kasie klientów.

Odległość pomiędzy sklepem a szkołą przy ulicy Mickiewicza pokonała w cztery minuty. Do sekretariatu wpadła zziębnięta i potargana. Przez moment uspokajała oszalały oddech, a następnie zbliżyła się do sekretarki.

– Nazywam się Marzena Kamińska. O co w tym wszystkim chodzi? Ja nic nie rozumiem!
– Proszę się uspokoić! – Siedząca za biurkiem kobieta spojrzała na nią ze współczuciem.
– Dziewczynki zostały przyłapane na próbie kradzieży, ale mamy nadzieję, że to wszystko jakoś się wyjaśni.

Jej wzrok powędrował ponad ramieniem Marzeny, więc odwróciła się i ujrzała, że na krześle siedzi druga kobieta. Miała mocno nastroszone włosy w kolorze marchewki. Dłonie, w których trzymała plastikowy kubek z wodą, mocno drżały. Marzena domyśliła się, że ma do czynienia z matką drugiej dziewczynki.

– To musi być jakaś pomyłka! Przecież one mają dopiero osiem lat! – jęknęła. – Gdzie jest teraz moja córka?

– Wychowawca dziewczynek pojechał je odebrać.

– Długo to potrwa? Wybiegłam z pracy... i mogę mieć nieprzyjemności. Chciałabym ich uprzedzić, ile mnie nie będzie.

– Nie mam pojęcia. – Sekretarka potrząsnęła głową. Nagle jej twarz rozjaśnił uśmiech. – Może pani zadzwonić do wychowawcy i zapytać. Podam pani jego numer.

Marzena uznała, że to dobry pomysł. Wydobyła z torebki komórkę i zbliżyła się do biurka, aby zanotować numer kontaktowy do wychowawcy Stasi. Nie spotkała go wcześniej, ale córka wspominała o wypadku nauczycielki i tymczasowym zastępstwie. W głębi duszy Marzena cieszyła się, że sprawy nie znajdują się w rękach nieco nieporadnej Samanty. Miała nadzieję, że mężczyzna wie, co robi, i pomoże jakoś naprostować tę okropną pomyłkę. Stasia i kradzież? To śmieszne!

Zanotowała numer i odeszła parę kroków, by w spokoju wykonać połączenie. Przytknęła aparat do ucha i zamyśliła się nad tym, co powiedzieć. Nagle w telefonie coś trzasnęło i odezwał się znajomy głos. Marzena spojrzała z niedowierzaniem na ekran komórki. Czyżby tak mocno bujała w obłokach, że nieświadomie wybrała numer mężczyzny, o którym myślała przez cały dzień? Ponownie uniosła telefon do ucha.

– Marzena? – usłyszała. – Marzena, jesteś tam?

– To jakiś żart? – zapytała.

– Nie, posłuchaj... To nie żart. Chciałem ci powiedzieć, ale...

– Nie mówmy o tym – ucięła gwałtownie. – Gdzie Stasia?

– Jest ze mną. Właśnie wiozę dziewczynki do szkoły. Słuchaj, przykro mi, że to tak niezręcznie wyszło.

– Niezręcznie? – szepnęła do telefonu, odwracając się plecami do sekretarki, która popatrywała na nią z zainteresowaniem. – Dziwne masz określenie na kłamstwo. Czekałam na córkę.

Rozłączyła się i cała roztrzęsiona opadła na krzeselko pod ścianą. Sekretarka i druga matka spoglądały na nią pytająco. Marzena poczuła napływające łzy wściekłości i rozczarowania. To byłoby zbyt piękne, powiedziała sobie w duchu. Czując na sobie taksujące spojrzenia, opuściła głowę, kryjąc się za zasłoną opadających włosów, i utkwiała wzrok w wyświetlaczu komórki. Kolejno, jedną po drugiej, skasowała wszystkie wiadomości. Ostatnia była wciąż

nieodczytana, ale w tej chwili nie miało to najmniejszego znaczenia. Na moment zawahała się nad SMS-em o kaloszach, a potem z furią wcisnęła komunikat „usuń”.

Anna

Jeszcze nigdy Anna Jurczyk nie czuła się tak zagubiona. Miała trzydzieści osiem lat, a mogła się porównać do osiemnastolatki stojącej na pierwszym życiowym zakręcie. Słowa Waldemara wwierciły się jej pod czaszkę i rozsadziły głowę pulsującym bólem. Chwila poświęcona na wieszanie szklanych soplek na choince przyniosła tylko krótką ulgę. Wykonywana mechanicznie czynność odwróciła uwagę od problemu i decyzji, którą musiała podjąć, ale ozdoby skończyły się bardzo szybko i kobieta pozostała z pustym kartonikiem w dłoni i natłokiem myśli.

Nie chciała jeszcze wracać do mieszkania, w którym siedzący przed telewizorem mąż ślinił się na angielskie zasiłki. Wolno, noga za nogą, powlokła się w kierunku miasta. Minęła nowo wybudowane bloki, plac targowy i supermarkety. Wspięła się wąską uliczką pod urząd miasta i już była w centrum miasteczka. Powoli okrążyła rynek, przyglądając się świątecznie udekorowanym wystawom, minęła choinkę przy światłach naprzeciwko kościołka i dostrzegła wielką świetlistą bombkę. Moja głowa przypomina tę bombkę. Wielka, nabrzmiała, a w środku pusta! – pomyślała, wsuwając się do środka. Skuliła się w świetlistym wnętrzu, by ukryć się przed ciekawskimi spojrzeniami przechodniów. Kaftan bezpieczeństwa i wizyta w Kobierzynie nie były jej teraz do szczęścia potrzebne.

Popłaczę sobie, postanowiła, kucając pod kolorowymi światełkami. Oczy mi się przeczyszczą, żal wypłynie, a może nawet w głowie się trochę rozjaśni. Bo ja naprawdę nie wiem, co zrobić! Nie chcę wyjeżdżać, ale to mój mąż! Spędziliśmy razem tyle lat i przecież go Kocham!

– To jakiś nowy konfesjonał? – zaskrzeczał nagle znajomy głos. – Szykowny, może i ja skorzystam?

Anna zacisnęła mocno pięści, boleśnie wbijając paznokcie we wnętrza dłoni. Lubiła panią Michalską, ale do cholery jasnej, czy w tym zakichanym miasteczku nie można sobie nawet w spokoju popłakać? Albo posiedzieć wewnątrz dekoracyjnej bombki?

– Chciałam obejrzeć od środka – wyjaśniła. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że przeszła jej cała ochota na płacz. Poczowała rozbawienie, bo oczyma wyobraźni ujrzała samą siebie, skuloną wewnątrz ogromnej zielonej bombki, kucającą, jakby nagle zachciało się jej siku. Matko boska, jeszcze dostanę mandat, a wtedy Waldemar ... dostanie zawału i nie pojedzie do tej swojej Anglii, pomyślała spanikowana, usiłując stłumić pierwsze niekontrolowane parsknięcia śmiechu. Spojrzała na sąsiadkę z parteru i zrozumiała, że za moment sytuacja stanie się jeszcze bardziej absurdalna. Pani Michalska zamachała ręką niecierpliwie.

– Posuń się trochę, też chcę obejrzeć! – I zaczęła gramolić się do środka. Anna posłusznie przesunęła się, ile była w stanie, a staruszka natychmiast zajęła zwolnioną przestrzeń. Teraz kucały w bombce obydwie i Anna nie była w stanie dłużej powstrzymać śmiechu.

Pani Michalska posłała jej karcące spojrzenie.

– Uspokój się, dziewczyno, bo nas zamkną! – Na moment zapadło milczenie. Staruszka utkwiała w Annie przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu. – Mam nadzieję, że przyjdziecie pośpiewać kolędy?

Anna skinęła głową.

– Nie mogę decydować za Waldka, ale ja przyjdę na pewno. Tym bardziej, że to nasze

ostatnie święta w Kalwarii – wypowiadając te słowa, uświadomiła sobie, że kolejny raz pozwoliła mężowi zdecydować za siebie.

– Jak to ostatnie? – zdumiała się pani Michalska. – Gdzie się wybieracie?

– Waldemar chce wyjechać do Anglii – wyjaśniła cichutko.

Pani Michalska uniosła grube, posiwiałe brwi.

– A czego ty chcesz?

Anna zaśmiała się krótko, bez śladu wesołości w głosie. Poczowała, że znowu zbiera w niej płacz. Pokręciła głową, mówiąc:

– A czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

– Oczywiście, że ma i jesteś głupia, jeśli myślisz inaczej! – zagrzała pani Michalska, uderzając pięścią w podkulone kolano.

– Waldemar uważa inaczej – zauważyła cicho Anna.

– Jesteś wspaniałą kobietą, a twoim jedynym deficytem jest przyklejony do pośladka pasożyt.

– Jak pani może tak mówić? – Anna pokręciła głową, a po jej policzku stoczyła się pierwsza łza.

– Mówię to, co myślę. – Staruszka wzruszyła ramionami, wprawiając w lekkie drzenie świetlistą konstrukcję. – Jesteś piękną i wartościową dziewczyną, a pozwoliłaś sprowadzić się do roli cienia swojego męża. Stłamsił cię, ot co! Decyduje, co ugotujesz na obiad i jaki szampon kupisz w sklepie. Wybrał dla ciebie włóczkę, z której wydziergałaś szalik...

– Zielona była najtańsza – wyszeptowała.

– ... a teraz zdecydował, gdzie zamieszkacie. Sam. Nie pozostawił ci wyboru, prawda?

– Nie. – Z gardła Anny wydobył się urywany szloch. – Powiedział, że bez niego nic nie znaczą. Nic nie umiem. Nigdy nie pracowałam.

– Ponieważ tak zdecydował. – Pani Michalska kiwnęła głową i sięgnęła do kieszeni po kraciatą chusteczkę, by mocno wydmuchać nos. – Wybacz, ale kiedy mieszka się w jednym budynku przez tyle lat i jest się zdziwaczałą staruszką uzależnioną od *Rozmów w toku* i *Faktów* na TVN-ie, można wiele zaobserwować. Wiesz, co zaobserwowałam?

– Nie. – Anna zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy, choć znakomicie wiedziała.

– Że nie jesteś szczęśliwa. Że wracając z zakupów, jesteś zamyślona i chociaż potykasz się o moje nogi, nigdy nie odpowiadasz na pozdrowienia. Że kiedy on ma wrócić z pracy, stoisz w oknie i nerwowo mniesz firankę. Że masz ten sam płaszczyk od niemal dziesięciu lat. Że chowasz mleczko do czyszczenia w wazonie, a płyn do szyb w reklamówce na obierki pod zlewem. To nie jest normalne w małżeństwie, wiesz?

– Ma pani rację. – Anna spuściła wzrok na swoje dłonie i zauważyła, że zacisnęła je na kolanach tak mocno, że aż zbieleły kostki. – To nie jest normalne. Podobnie jak to, że zdrowe na ciele małżeństwo nie ma dzieci, choć chce. Ja tak bardzo pragnę dziecka. On może mi je dać. Dla dziecka jestem w stanie znieść szorowanie kuchenki kawałkiem cytryny i noszenie jednego płaszczka przez kolejne dziesięć lat. Jestem w stanie znieść dużo więcej.

– Rozumiem. Ale czy właśnie takiego życia chcesz dla swojego dziecka? Pocerowanych sweterków, ukrytych w kieszeni lizaków? Strachu? Skup się, wyobraź sobie, jak wyglądałoby wasze życie!

Anna przymknęła oczy i przez moment błądziła myślami, próbując wyobrazić sobie życie z Waldemarem i ich wspólnym dzieckiem. Obraz, który pojawił się za zamkniętymi powiekami, opierał się na jej wieloletnich przeżyciach. Ze smutkiem pokręciła głową i spojrzała na sąsiadkę.

– Co ja mam zrobić?

– Ja ci tego nie powiem. Wsłuchaj się w siebie. W swoje marzenia. W swoje pragnienia.

Zapytaj samą siebie, jak powinnaś postąpić, aby w końcu być szczęśliwą! – Pani Michalska zaczęła się gramolić na zewnątrz, głośno postępując. Anna obserwowała ją ciepłym spojrzeniem, podtrzymując za łokieć i pomagając odzyskać równowagę. – I jeszcze jedno. To nieprawda, że nic nie potrafisz! Jesteś pracowitą mróweczką, mistrzynią logistyki. W każdym supermarkecie wezmą cię z pocałowaniem ręki! Tylko taki Waldemar o umyśle krewetki może sądzić, że nie dasz sobie rady!

– Dziękuję – wybąkała wzruszona Anna. Pani Michalska zajrzała do bombki.

– Wracasz do domu?

– A nie, jeszcze sobie trochę posiedzę. Dobrze na mnie działa ten... konfesjonał.

– To dlatego, że jest zielony – uznała staruszka, prostując się i wytężając wzrok. Anna wychyliła się w samą porę, by dostrzec sąsiadkę spod czwórki, Marzenę Kamińską, która przemierzała plac, mocno pociągając nosem.

– Masz ci los! Jeszcze jedna! – Pani Michalska dramatycznym gestem wyrzuciła w górę ramiona. – Cały dzień biegam jak kot z pęcherzem. Czy ja w końcu siądę na tyłku?

Marzena

Marzena szła przez miasteczko ze spuszczoną głową, przełykając dławiące ją łzy. Przeklinała w duchu własną głupotę. Czy naprawdę była tak naiwna, by przypuszczać, że ta znajomość ma szansę przemienić się w coś głębszego? Nie śmiała nawet marzyć o miłości, miała wrażenie, że przedwczesna śmierć męża i rozpacz, która po niej nastąpiła, skutecznie wyleczyły ją z porywów serca. Poza tym ze względu na Stasię musiała zachować ostrożność, nie mogła otworzyć się przed byle kim. Z Maćkiem było jednak inaczej, choć ich znajomość zaczęła się tak niefortunnie! Ujął ją gestem odkupienia zniszczonej zabawki. Tak łatwo nawiązali wspólny język, tak szybko się przed nim otworzyła! I po co to wszystko, skoro okazało się, że nie potrafi być z nią szczerzy w jednej głupiej kwestii?

Kiedy przywiózł do szkoły dziewczynki, nawet na niego nie spojrzała. Nie zwracała uwagi, że chce coś powiedzieć, i nie obchodziło ją, czy dotyczy to ich znajomości czy występku, którego dopuściła się jej córka z koleżanką. Zślepią gniwem złapała przestraszoną Stasię za rękę i wybiegła ze szkoły. Nie odzywała się całą drogę, mimo że dziewczynka chlipała pod nosem. Dopiero w mieszkaniu zapytała, co się wydarzyło. Stasia patrzyła na nią bez słowa. Nie odpowiedziała na jej pytanie. Poczowała bezsilność.

– Rozczarowałaś mnie – powiedziała. Stasia pobladła, ale nadal milczała.

Pomyślała, że obydwie potrzebują czasu. Córeczka na pewno z nią porozmawia. Wyjaśni, czego wraz z koleżanką szukała w gospodarstwie rolnym w sąsiedniej miejscowości i dlaczego zostały posądzone o kradzież. Zdecydowała, że przewietrzy głowę. Najpierw zadzwoniła do sklepu i powiedziała, że musi zająć się dzieckiem. A potem wyciszyła telefon, który bombardował ją kolejnymi połączeniami oraz wiadomościami od Maćka, i wyszła z mieszkania.

Pogrążona w myślach zawędrowała do rynku. Szybki marsz pomógł jej wypociec gniew, ale jego miejsce natychmiast zajęło rozczarowanie. Brakiem szczerości ze strony Maćka. Zachowaniem Stasi. Sobą. Wstydziła się słów, które wypowiedziała pod adresem córeczki. Musiała przyznać, że w rzeczywistości wyładowała swój gniew na dziecku.

Przystanęła przed witryną eleganckiego butiku, aby wyszperać chusteczkę higieniczną i wytrzeć nos. Kątem oka zauważyła wielką, połyskującą bombkę. Pomyślała, że przyjemnie byłoby koło niej posiedzieć, ale kiedy ruszyła w jej stronę, zauważyła, że się spóźniła. Z wnętrza zielonej kuli gramoliła się pani Michalska. Marzena nie miała ochoty wysłuchiwać kolejnych tyrad na temat konieczności przystrojenia choinki przed blokiem, więc gwałtownie skręciła w drugą stronę, mocno pociągając nosem. Po chwili spostrzegła, że jej wybieg na nic się zdał, ponieważ sąsiadka sunie za nią, głośno posapując. Odwróciła się gwałtownie.

– Czego pani chce?! – warknęła.

– Jezu, a ciebie co ugryzło? – Pani Michalska zatrzymała się tak raptownie, że niemal straciła równowagę. Marzena westchnęła zniecierpliwiona, ale wyciągnęła rękę i podtrzymała staruszkę.

– Mam kiepski dzień.

– Nie obraż się, ale widać to gołym okiem. Przy tobie huragan Katrina jest łagodnym zefirkiem. No, daj mi ramię. Stara jestem, nie widzisz? Jeszcze się przewrócę i złamię nogę, będziesz mnie miała na sumieniu!

Marzena posłusznie złapała staruszkę pod ramię i poprowadziła w kierunku pogrążonego

w mroku skwerku. Otrzeptała ze śniegu najbliższą ławkę i usadowiła na niej sąsiadkę. Pani Michalska posapywała jak lokomotywa. Marzena stała nad nią niezdecydowana. Właściwie to chciała zostać sama i rozmyślać nad swoją godną pożałowania sytuacją, ale na myśl, że staruszka pozostanie na ławce osamotniona, odczuwała wyrzuty sumienia. Co prawda zimowa aura, opady atmosferyczne i niskie temperatury przepędziły stąd smakoszy trunków z niższej półki, ale mimo to miejsce było dość ponure.

– Płaczesz – zauważyła nagle sąsiadka. Rzeczywiście, dotknęła policzka i odkryła, że jest nieprzyjemnie wilgotny.

– Nie chcę o tym mówić – rzuciła.

– Twoja rzecz, ale czasami lepiej z siebie wyrzucić, a nie tłamsić i tłamsić.

– No, ale co mam z siebie wyrzucić? Że jestem najgorszą matką na świecie? – wybuchła nieoczekiwanie. Łzy ciurkiem popłynęły po zmarzniętych policzkach. Czuła, jak parzą skórę.

– A więc tutaj jest pies pogrzebany! – zawołała sąsiadka. Marzena nieprzytomnie rozejrzała się na boki.

– Czyj pies?

– Tak się mówi! – Pani Michalska parsknęła śmiechem. – Więc chodzi tylko o to, że czujesz się kiepską matką?

– Nie czuję się kiepską matką, jestem nią!

– Myślę, że Stasia ma na ten temat inne zdanie.

– Powiedziałam jej dzisiaj coś paskudnego. Wyładowałam się na niej. Na pewno mnie nienawidzi.

– Nie bądź durna! – sarknęła staruszka. – Jeszcze nie widziałam dziecka, które by tak mocno kochało swoją matkę!

– Tak? To niech pani posłucha: nie mam dla niej czasu, bo ciągle pracuję. Nasze rozmowy ograniczają się do pytań, co w szkole i czy odrobiła lekcje. Chcę dla niej jak najlepiej, by skończyła szkołę, liceum, poszła na studia...

– Których ty nie skończyłaś – domyśliła się pani Michalska. Marzena skinęła głową ledwo dostrzegalnie.

– Chcę, by miała w życiu lepiej.

– Pozwól jej na to. Masz mądrą córeczkę, która będzie potrafiła pokierować swoim życiem. Pomożesz jej w tym, jesteś dobrą mamą!

– Nie jestem! Nie potrafiłam jej dopilnować i dzisiaj przyłapano ją na kradzieży!

– No i cóż wielkiego się stało? Wszystkie dzieciaki przechodzą ten okres. Pamiętam, jak sama chodziłam na grandę, choć po sprawiedliwości muszę przyznać, że nigdy nie dałam się przyłapać. Ty nigdy niczego nie zwędziłaś?

– No, wie pani co... – Marzena kręciła głową zszokowana słowami sąsiadki, równocześnie starając się sobie przypomnieć, jak to było z pewnym kolorowym długopisem, którego tak bardzo pozazdrościła koleżance z ławki, że sam z siebie nagle zmateriałizował się w jej piórniku. – Nie mam pojęcia, co można ukraść w gospodarstwie rolnym, ale...

– W gospodarstwie rolnym, mówisz. Cóż, ja chyba wiem i muszę ci powiedzieć, że to poniekąd część aktu miłości twojej córki.

– Nie rozumiem. – Marzena potrząsnęła głową.

– Bo jesteś ślepa jak kret w Teksasie. Chodź. – Z głośnym stęknieniem podniosła się na nogi. Marzena spoglądała na nią niepewnie.

– Gdzie?

– Nie zadawaj tylu pytań!

Marzena wzruszyła ramionami, myśląc, że jak na jeden wieczór ma już dość dziwactw

sąsiadki z parteru. Najwyższa pora odtransportować staruszkę do domu. Jej również minęła ochota na przechadzki. Gdy stała na skwerku, poczuła przejmujące zimno i zamarzyła o gorącej herbacie z cytryną i nutą imbiru. Mimo to powoli ruszyła za panią Michalską i zaskoczona stwierdziła, że ta prowadzi ją w kierunku kościoła. W progu zawahała się jeszcze, ale w końcu wkroczyła w dość mroczne wnętrze.

Sąsiadka zdecydowanym krokiem przeszła na przód świątyni, skłoniła głowę przed ołtarzem i poprowadziła Marzenę w kierunku wnęki po prawej stronie. Miejsce bocznego ołtarza zajmowała obecnie dziwaczna konstrukcja składająca się z tekturowego pudełka i dodatków wszelkiej maści. Zaskoczona kobieta stwierdziła, że ma do czynienia z zaaranżowaną niewprawioną ręką szopką. Której dach wieńczyła gwiazda... z jej ulubionego paska!

Pani Michalska rozłożyła ramiona, jakby chcąc zademonstrować rozmiar przedsięwzięcia ukazującego się oczom Marzeny. Kobieta poczuła dławienie w gardle. Spojrzała na sąsiadkę załzawionymi oczyma.

– To Stasia?

Staruszka skinęła głową.

– Z koleżanką. Przyszły do mnie po karmnik.

– Ale... dlaczego?

– Bo miałam najładniejszy, to chyba jasne!

– Nie o to pytam. Po co to wszystko?

Pani Michalska wzruszyła ramionami.

– Dla ciebie. Żebyś była z niej dumna – wyjaśniła.

– Jestem. Pięknie to zrobiły – wyszeptwała wzruszona, rozglądając się po pograżonym w mroku kościele.

– No, o estetyce dyskutować nie będę, ale całkiem zmyślnie im poszło. Kiedy wrócisz dziś do domu, sprawdź, co trzyma w plecaku. Założę się, że znajdziesz w nim sianko doprowadzone z gospodarstwa rolnego.

– O Boże! I o to ta cała afera? O kilka żdźbeł suszonej trawy? – oburzyła się Marzena. Pani Michalska pokiwała głową, stukając ją sękatym palcem w ramię.

– Jeszcze nigdy nie widziałam jej tak poruszonej jak przy składaniu tej szopki. Biegała jak młody kociak za kłębkim wełny! Nie mogła się doczekać, aby ci to pokazać, więc z łaski swojej bądź dobrą aktorką i udaj zaskoczenie!

– Postaram się.

– I chyba zdobyła przyjaciółkę. Choć jeszcze sama o tym nie wie.

– Stasia? – Czy Marzeny zrobiły się okrągłe jak piłeczki pingpongowe.

– Oczywiście. – Staruszka złapała Marzenę pod ramię i pociągnęła ją w kierunku wyjścia.

– Wracajmy do domu, zmarzłam okropnie, muszę napić się herbaty z sokiem malinowym. A ty powinnaś jak najszybciej porozmawiać z córką i powiedzieć jej, ile dla ciebie znaczy! – Przemierzyły plac przed kościołem i zbliżyły się do przejścia dla pieszych. Pani Michalska spojrzała na Marzenę z szelmowskim uśmiechem. – Więc mówisz, że pociągasz nosem, bo uważasz się za kiepską matkę? Bo już myślałam, że chodzi o tego przystojniaka, który rozkwaśił nos Malczewskiemu z trzeciego piętra...

– Jak to rozkwaśił? – zdumiała się Marzena.

– Pięścią. Przyszedł do ciebie, ale akurat poszłaś ze Stasią do biblioteki. Chyba miał ci coś ważnego do powiedzenia, bo okropnie nerwowy był. Dreptał i dreptał, aż zadreptał mi całe schody! A że ciebie nie było, to przydybała go Zuzanna i zaciągnęła na akcję ratunkową. No i rozkwaśił. Ten pies jest moim osobistym wyrzutem sumienia. Dobrze, że Fijusowie go przygarnęli – westchnęła sąsiadka. – No, ale ja mam okna od podwórka, więc na moją pościel nie

sikał.

Marzena nie bardzo orientowała się, o jakim psie mowa, temat rozkwaszonego nosa też nie był dla niej zbyt jasny. Z całej przemowy pani Michalskiej wyłowiła tylko to, że Maciej chciał jej coś powiedzieć i że był bardzo zdenerwowany. Jej serce zabiło ciut mocniej, więc potrząsnęła głową i spojrzała w kierunku połyskującej w ciemności bombki. Zdumiona stwierdziła, że w jej wnętrzu siedzi Anna Jurczyk z drugiego piętra. Ja chyba śnię, i to mocno absurdalnie, pomyślała, przecierając oczy. Uwieszona jej lewego ramienia pani Michalska chrząknęła, więc odwróciła się w jej stronę.

– Tak więc cieszę się, że nie okazałaś się na tyle głupia, żeby pogonić tego przystojniaka. Bałam się, że to zrobiłaś i przez to płaczesz...

– Właściwie to...

– Ta szopka to też jego sprawka. Miała być sposobem, by zintegrować Stasię z dziećmi i pozwolić jej odczuć, że jesteś z niej dumna...

– Skąd pani to wszystko wie?

– Po prawdzie była też karą za to, że pobiła się z koleżanką...

– Co? Jak to się pobiła? Znowu? Boże, nie znam własnego dziecka! Nie wiem, gdzie przepada na całe popołudnia! Nie wiem, kogo bije! Jestem okropną matką!

– Boże, daj mi zdrowsze nogi i spraw, bym ogłuchła – mruknęła pani Michalska, wznosząc oczy do nieba. – Ona znowu zaczyna...

Kajetan

W piątkowy poranek Kajetan Fijus doszedł do wniosku, że wykorzystywanie urlopu z równoczesnym udawaniem, że się go nie posiada, jest wyjątkowo uciążliwe. Przede wszystkim trzeba sobie znaleźć dobrą kryjówkę, a to nie takie proste... Poprzedniego dnia usiłował schować się w piwnicy, ale kiedy zakradł się do zajmowanego przez rodzinę boksu, przekonał się, że na drewnianej skrzynce siedzi Waldemar Jurczyk i szeleści gazetą. Ten też? – zdziwił się Kajetan, robiąc zwrot do tyłu i ruszając w kierunku wyjścia. Resztę czasu, który powinien spędzić w pracy, przeszwał się po mieście, kuląc się przed lodowatym wiatrem i marznąc.

– Boli mnie gardło, zostanę dzisiaj w domu. – Oświadczył więc przy śniadaniu zaskoczony żonie. Zauważył, że Zuzanna jest jakaś zamyślona. Do tego co chwila zerkała na wyświetlacz komórki.

– W porządku – odrzekła machinalnie, klikając coś na klawiaturze swojej Nokii 6300.

– A ty co zamierzasz robić? – dopytywał, marszcząc brwi.

– Ja? – spłoszyła się żona, odkładając komórkę na blat kuchenny. – Po południu zamierzam piec świąteczne ciasta. A wcześniej... hm, powinnam pójść po ostatnie sprawunki. Kupię mandarynki i pomarańcze. I śmietanę do barszczu.

– Może pójde z tobą? – zaproponował.

– E, nie. – Machnęła ręką. – Przecież łapie cię przeziębienie. Zostań lepiej w domu.

– Na pewno?

– Tak, na pewno.

– A... kiedy wrócisz?

– Nie wiem. – Zuzanna przygryzła wargę, zastanawiając się nad odpowiedzią. – W sklepach z pewnością są okropne kolejki, więc nie będzie mnie dłuższą chwilę. – Nagle uśmiechnęła się słodko. – Jak to się mówi: masz wolną chatę, mężu!

Kajetan poczuł, że od jej słów połączonych z ociekającym słodyczą uśmiechem rzeczywiście czuje się gorzej. Zuzanna nie chciała zabrać męża na świąteczne sprawunki. Na dodatek co chwila sięgała po telefon i wystukiwała nowe wiadomości tekstowe. Z pewnością umawiała się na kolejną schadzkę, bo przecież nie grała w Snake'a? Och, dałby wiele, by dostać komórkę żony w swoje ręce i przejrzeć zawartość skrzynki odbiorczej! I nadawczej. I nawet roboczej, bo właśnie tam mogły się kryć te najbardziej wyuzdane propozycje, których nie odważyła się złożyć...

– Jakiś błąd się zrobiłeś – zauważyła Zuzanna, popijając kawę małymi łydkami.

– Może się położę? – zajączał.

– Lepiej zabierz Nudę na spacer. – Zuza nie знаła pojęcia litości. – Świeże powietrze dobrze ci zrobi.

– Muszę?

– Oczywiście, że nie musisz! Możesz przygotować sobie szmatę do podłogi.

Kajetan spojrzał na żonę ponuro i uniósł się zza stołu. Z niechęcią zerknął na sunię, która przycupnęła pod krzesłem żony i wpatrywała się w niego wilgotnymi oczyma. Podejrzewał, że wieczorem Zuzanna zaprzęgnie go do ucierania mas serowych i makowych, więc jej nieobecność chciał wykorzystać na słodkie nicnierobienie z zastosowaniem ulubionego fotela i pilota od telewizora. Przy okazji mógłby pogłównić, jak przydybać żonę w ramionach kochanka i co

zrobić, kiedy już to uczyni.

Szybko zapiął suni smycz (Zuzanna przywlokła ją wraz z innymi dziwacznymi akcesoriami od dawnego właściciela) i wyszedł przed blok. Ledwie zwierzak przycupnął przy śmietniku, a już Kajtek zarządził powrót do domu. Na klatce schodowej minął się z żoną.

– Kiedy wrócisz? – zapytał ponownie, mierząc podejrzliwym spojrzeniem jej starannie umalowaną twarz.

– Nie mam pojęcia. Odpoczywaj! – zawołała radośnie Zuzanna.

Już ja ci odpocznę, rozgoryczony Kajtek trzasnął drzwiami od mieszkania, aż zadrżały w futrynach. Zwolnił Nudę ze smyczy i zaczął niespokojnie krążyć po mieszkaniu. Zakupy? Dobre sobie! Na pewno nie poszła do sklepu! Wróci rozszczebiotana, rzuci na kuchenny blat naprędce kupione cytrusy i zacznie narzekać na kilometrowe kolejki w sklepach. Ciekawe, czy założyła czarne koronki? A może nastrojona świątecznie dokupiła czerwone?

Ponure przemyślenia Kajetana przerwał dzwonek. Kiedy otworzył drzwi, na progu ukazała się zasapana pani Michalska.

– Miałam przyjść wczoraj, ale zatrzymał mnie huk roboty – wychrypiała, wycierając nos w kraciatą chusteczkę. Rozejrzała się czujnie po przedpokoju. – Gdzie Zuzanna?

– Poszła do sklepu – wyjaśnił Kajtek z goryczą – a przynajmniej tak powiedziała.

– Czyli znów. – Pani Michalska pokiwała głową ze zrozumieniem. – Nie chcę cię martwić, ale nie możesz puszczać tego płazem. To się robi zbyt poważne.

– Wiem. – Kajetan poprowadził gościa do dużego pokoju. – Dotychczas nie kłamała mi w żywe oczy.

– Zuzanna wyznała mi, że nie wyklucza rozbicia rodziny – szepnęła sąsiadka. Kajtek zbladł i opadł na stojącą tuż za nim wersalkę. Pani Michalska spiorunowała go wzrokiem.

– Po pierwsze, to nie czas na słabość, weź się w garść! A po drugie, może byś mi łaskawie zaproponował, żebym usiadła? Stara jestem, nie widzisz?

– Nie widzę. – Kajtek nie zachował się jak na dżentelmena przystało. Nie żeby specjalnie, po prostu w obecnej chwili nie był w stanie dostrzec nic poza własnym nieszczęściem. Pod wpływem spojrzenia sąsiadki zerwał się jednak na równe nogi i zdecydował, że usadzi kobietę w swoim ulubionym fotelu. Problem w tym, że na siedzisku zdążyła się rozłożyć Nuda.

– Zaraz, zaraz... – rozejrzał się po pokoju, gdzie by tu przetransportować suczkę. W końcu postanowił, że przeniesie ją na wersalkę i ułoży na przeciwległym końcu. Ujął pieska za chudy brzusek i uniósł w górę. Nuda wpierv spojrzała na niego przestraszonymi, czekoladowymi ślepkami, potem cichutko zapiszczała, a na koniec siknęła mu na spodnie. Wpatrywał się w nią wstrząśnięty, nie wiedząc, co robić. Biec na balkon? Nie, Zuzanna mówiła, że sunia ma traumatyczne wspomnienia związane z przebywaniem w tej części mieszkania. Do łazienki? Zachłapie cały parkiet! Niezdecydowany Kajetan krążył po pokoju z pieskiem w ręku, a Nuda jak sikawka strażacka znaczyła jego powierzchnię żółtymi kropelkami.

– Posadź ją na tym fotelu! – zaskrzeczała pani Michalska, kręcąc głową nad nieporadnością męskiego istnienia. – I ściągaj portki!

– Że c-co? – przeraził się Kajetan.

– Zamierzasz chodzić w mokrych galotach? Posadź psa na fotelu, niech sobie spokojnie drzemie, a ty wyskakuj z portek. Trzeba je zaprać i powiesić na balkonie, żeby wyschły! Nie odzyskasz żony, jeśli będziesz zalatywał psimi siuśkami!

Kajetan posłusznie ułożył zadowoloną sunię na swoim – czy teraz raczej już jej – ulubionym fotelu, po czym szybko zdjął ciemnoniebieskie dżinsy. Pani Michalska wyciągnęła po nie rękę i głośno posapując, ruszyła w kierunku kuchni. Wróciła po krótkiej chwili, niosąc wilgotne spodnie wydzielające z siebie woń miętowego ludwika. Kiedy już rozwiesiła spodnie na

balkonie i wróciła do pokoju, lekko podniosła psinę i opadła na fotel, układając sobie ją na kolanach. Kajetan spojrział na sąsiadkę z rozpaczą.

– Czy Zuzanna mówiła coś jeszcze?

– Odniosłam wrażenie, że nie jest do końca zdecydowana. Masz jeszcze czas. Musisz wkroczyć właśnie teraz!

– Ale nadal nie wiem, z kim mam walczyć o jej uczucia!

– A znasz przysłowie, że najciemniej pod latarnią, a kiedy nie ma kota, myszy harcują?

– Hę? – stropił się Kajtek.

– Przecież Zuzanna nie miała gdzie poznać kochanka! To musi być osoba z waszego najbliższego otoczenia! Gdyby to ona podejrzewała ciebie o romans...

– Mnie? Niemożliwe! – oburzył się Kajetan. Pani Michalska uniosła dłoń na znak, że chce dokończyć.

– ...stawiabym na najlepszą przyjaciółkę Zuzanny. Pomyśl analogicznie.

– Anal... co? – Kajtek otworzył szeroko oczy.

– Analogicznie. – Sąsiadka spojrzała na Kajetana surowo. – Albo chociaż logicznie, skoro więcej nie możesz z siebie wykrzesać.

– Aha. – Kajtek odetchnął z ulgą. Pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach i mocno ścisnął skronie. Myśl, nakazał sobie w duchu. Z kim Zuzanna ma częsty kontakt? Kto mógłby omotać ją swoim męskim czarem i sprowadzić na koronkowe manowce? I to do tego stopnia, że rozważała rozpad rodziny?

Prawda uderzyła w niego równo z terkotem dzwonka u drzwi. Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? – pytał sam siebie w myśli, człapiąc do przedpokoju. Wyrzwał przez wizjer na klatkę schodową. Ze zdumieniem stwierdził, że przed drzwiami stoi jego przyjaciel. Proszę, proszę, o wilku mowa!

Otworzył i spłoszony wyrzwał na klatkę schodową.

– Co ty tu robisz? – zapytał.

– Byłem na mieście i pomyślałem, że zajrzę do was, by złożyć życzenia świąteczne! – Michał uśmiechnął się pod nosem.

– Wesołych świąt! – burknął Kajtek.

– No, co ty? Nie zaprosisz mnie do środka?

– Jestem przeziębiony.

– A gdzie Zuzanna? – Michał próbował zajrzeć do przedpokoju. Kajtek przesunął się, aby mu to uniemożliwić.

– A co?

– Tak tylko pytam. – Michał posłał koledze zdziwione spojrzenie. – Wszystko u was w porządku?

– Dlaczego miałoby być inaczej?

– Bo zachowujesz się... dziwnie. Nie zamierzasz mnie wpuścić do środka, więc nie będę się wpychał na siłę. Ale skoro już przyszedłem, może zabiorę moje skarby? Elwirce minęły humory, więc właściwie mogą wrócić do domu.

– W porządku. – Kajtek ponuro kiwnął głową. – Zaczekaj tutaj chwilę!

Trzasnęły zamykane drzwi. Zaskoczony Michał pozostał na klatce schodowej, a Kajetan rzucił się do pawlacza i starej walizki, w której upchnął pudełko z Michałowymi skarbami. Ze zdziwieniem stwierdził, że zniknęło. Przez moment poczuł narastającą panikę, ale w końcu wzruszył ramionami, a wracając do drzwi, uśmiechał się z satysfakcją.

– Nie ma! – rzucił przyjacielowi w twarz.

– Jak to nie ma? – przeraził się Michał.

Zachwycony Kajetan stwierdził, że przyjaciel ma w oczach najprawdziwsze łzy.

– No, nie ma!

– Jak może nie być? Oddałem ci je na przechowanie! Zaufałem ci!

– Może Zuzanna je wyrzuciła podczas świątecznych porządków?

– Twoja żona nie może być tak bezduszna! – zawył Michał.

– Bo niby znasz ją tak dobrze, co? – zadrwił zdradzany mąż.

– Znam ją od dziecka! – oburzył się Michał. – I nie mogę uwierzyć, że mi to zrobiliście!

– Chyba nie będziesz robił afery z powodu kilku zasuszonych ropuch? – Kajetan, przekonany, że rozchodzi się o zasuszone owady, płazy i inne dziwaczne znaleziska, nie mógł pojąć skali rozpacz przyjaciele.

– Ropuch? – Michał zachłysnął się z wrażenia. – Może pochodzą z początku lat dziewięćdziesiątych, ale nie są takie złe. Po prostu nie potrafisz docenić ich wysublimowanej urody!

– Najwyraźniej akurat w tej kwestii mamy troszkę inny gust! – zadrwił Kajetan, zatraskując drzwi. W ostatniej chwili uchylił je jeszcze i wrzasnął na klatkę schodową. – Wesołych świąt!

Wrócił do dużego pokoju i wyczerpany opadł na wersalkę. Pani Michalska w zamyśleniu gładziła futerko zachwyconej suczki. Kajtek spojrzał na nią z rozpaczą.

– To najgorsze święta w moim życiu! Tracę żonę i najlepszego przyjaciela. Straciłem ulubiony fotel, a jedyna kobieta, przed którą paraduję w gaciach, jest staruszką!

– Hej! – obruszyła się sąsiadka. – Może jestem stara, ale mam swoją dumę, więc zamknij gębę!

Zuzanna

Dwudziesty trzeci grudnia to naprawdę ostatni dzwonek, żeby wyszorować choinkę. Każę to zrobić Kajtkowi, kiedy wróci z pracy. Niech się na coś przyda przed świętami, bo nie wiadomo, czy na następne będzie jeszcze dostępny – pomyślała Zuzanna, popijając poranną kawę i przyglądając się, jak mąż zbiera się do pracy.

W chwili, kiedy Kajetan oświadczył, że dopadło go przeziębienie i zamierza zostać w domu, tknęło ją przecucie. Złe przecucie. Natychmiast napisała wiadomość do Kaliny Radeckiej-Pióreckiej z pytaniem, czy w ten ostatni przedświąteczny dzień również zamierza obserwować Fijusa. Z zadowoleniem przyjęła potwierdzającą odpowiedź i sugestię pani detektyw, by wyszła z domu pod pretekstem ostatnich sprawunków i pozostawiła Kajtkowi wolną rękę. Oraz sypialnię. Jeśli mężczyzna zdecyduje się skorzystać z nadarzającej się okazji, to wszystko jasne. Umarł w butach. A nawet jak jeszcze nie umarł, to już ja tego dopilnuję... – odgrażała się w duchu Zuza.

Podjejrzenia kobiety pogłębiły się z chwilą, kiedy Kajetan usiłował wyciągnąć z niej, ile zajmą jej planowane zakupy. Jak mógł wykorzystać tę informację, jeśli nie w celu odbycia namiętej schadzki? Zgodnie z radą Kaliny dała mężowi do zrozumienia, że dysponuje sporym zapasem czasu, po czym zaczęła przygotowywać się do wyjścia. Aby poprawić sobie humor, nałożyła staranny makijaż. Od razu poczuła się lepiej. Jeśli dojdzie do konfrontacji z Kajtkiem i jego podstarzałą kochanką, dobrze będzie pokazać niewiernemu, co właśnie stracił!

Pożegnała męża ciepłym uśmiechem, chociaż od środka cała dygotała. Ruszyła w kierunku najbliższego supermarketu, a potem powoli przechadzała się między ciasnymi regałami, objając się o dokonujących sprawunków klientów, którzy z żądzą mordu w oczach polowali na ostatnią szynkę konserwową i majonez w promocji.

Z drżącym sercem oczekiwała telefonu od Kaliny, która według przekazanych informacji krążyła wokół bloku z nieodłącznym Młynkiem. Obserwowali wejście do klatki i okna mieszkania Fijusów. Gdy telefon zadzwonił, Zuza niemal podskoczyła w miejscu, strącając na podłogę kilka butelek ketchupu.

- Obiekt namierzony! – dramatycznym tonem przekazała Radecka-Piórecka.
- To znaczy?
- Na balkonie waszego mieszkania przed momentem pojawiła się kobieta. Jej wiek wskazuje na to, że znajduje się w polu zainteresowania Kajetana.
- Co robi? – wykrztusiła dogłębnie wstrząśnięta Zuzanna.
- Hmmm, może to wyda się dziwne, ale chyba... robi pranie.
- Że co? – Zuza zapiszczała tak donośnie, że stojąca obok niej kobieta wypuściła z rąk wytłoczkę jaj. – Robi pranie w moim domu, używa mojej pralki i wiesza na moich -sznurkach? Co to za bezczelne babsko? Mam nadzieję, że przyniosła własny proszek!
- Wiesz, to chyba nie jest istotne – wtrąciła Kalina. – Chciałam ci przypomnieć, że mamy na głowie ważniejsze rzeczy. Musimy sprawdzać, czy nie używa twojego męża!
- Może jeszcze choinkę mi udekoruje! – gorączkowała się Zuzanna, wymijając klientkę zbierającą z podłogi potrzaskane skorupki i zmierzając w kierunku wyjścia. – Założy czerwone bombeczki obok zielonych, chociaż ja nigdy tak nie robię, bo koło czerwonych lepiej wyglądają niebieskie! Proszę się przesunąć, mam w domu awaryjną sytuację, kochanka mojego męża robi

pranie i kto wie, czy potrafi segregować kolory! To nie do ciebie! – rzuciła do telefonu. – Zaraz tam będę! Ale... co my zrobimy?

– Wejdziemy do środka i przyłapiemy ich na gorącym uczynku! To chyba jasne!

– Musimy?

– Zuza, przecież o to nam chodziło! – zdumiała się Radecka-Piórecka. – I posłuchaj, kiedy już dostaniemy się do mieszkania, nie będziesz walczyć z kochanką swojego męża o prawo do stosowania płynu do zmiękczenia tkanin. Będziesz walczyć o szczęście swojej rodziny! Swoje, swojej córki i swojego psa!

– Ale czy ja potrafię?

– Oczywiście, że tak! Inaczej nie zjawiłabyś się na progu naszej agencji i nie spowodowałaś cichych dni w moim małżeństwie! Włącz piąty bieg i zjaw się tu w trymiga!

– Boisz się, że ta rozpustnica zniknie? Z moim proszkiem, tfu, mężem? – wydyszała Zuzanna.

– Nie, boję się, że się posikam.

Zgodnie z sugestią pani detektyw Zuzanna włączyła piąty bieg i truchcikiem ruszyła w kierunku budynku przy ulicy Weissa. By było szybciej, zdecydowała się przeciąć na ukos plac targowy. Wymijając czerwonego lanosa, wpadła w poślizg i klapnęła na pupę.

– A! – Spojrzała z wyrzutem na Bogu ducha winne auto. – Nie podkładaj mi kół... Boże, co ja robię! Gadam z samochodem, a tymczasem Kajtek, tam w domu...

Myśl, co też Kajtek może wyprawiać w domu, na ich małżeńskiej wersalce nakrytej narzutą z frędzelkami, w bliskim sąsiedztwie uduszonej kapusty z grzybami i zagniecionego ciasta kruchego, spokojnie czekającego w zamrażalniku, aby połączyć się z masą serową, brzoskwiniami i pianą z pięciu białek, dodała Zuzannie niebywałego powera! Pozbierała się na równe nogi, łapiąc samochód za tylną oponę, i puściła się biegiem w kierunku osiedla. Przed blokiem dostrzegła Kalinę. Radecka-Piórecka dreptała w miejscu, więc albo była ciut zdenerwowana, albo... pęcherz znów o sobie przypomniał.

– Jesteś gotowa na konfrontację? – zapytała.

– Bardziej już nie będę! – wysapała Zuzanna, opierając dłonie na drżących kolanach i pochylając się do przodu.

– Guzik prawda! – Pani detektyw bezceremonialnie podciągnęła ją do pionu i uważnie zlustrowała twarz swojej klientki. – Nałożyłaś makijaż, świetnie! Teraz uspokój oddech, wypnij cycki do przodu, wypnij, mówię! Aaa, już wypięłaś... Co tam masz w tej torbie? Pomarańcze kupiłaś? Jak to nie zapłaciłaś? Dobra, potem zapłacisz, teraz nie mamy czasu wracać do sklepu, przecież ci mówiłam, że mój pęcherz mnie nie lubi ostatnio! Wsadzaj.

– Co: wsadzaj? – zdębiała Zuza.

– Do stanika wsadzaj.

– Ale tak tu? Na mrozie?

– Wejdziemy na klatkę!

Parę chwil później nietypowa kompania ruszyła w kierunku drzwi oznaczonych piątką. Na przodzie podążały dwie pomarańcze wypychające stanik Zuzanny. Zaraz za nimi zmierzała dziwacznie wypięta właścicielka, która myślała tylko o tym, że w ferworze zmagania z niewiernym małżonkiem wsunęła do własnej torby dwa owoce cytrusowe i najzwyczajniej je zwędziła. Zaraz za Zuzą wspinała się Kalina Radecka-Piórecka, która główkowa nad tym, ile czasu zajmie pacyfikowanie niewiernego Kajtka i jego kochanki i kiedy będzie mogła rozprawić się z własnym pęcherzem. Na samym końcu zaś człapał posapujący Młynek, który nie zamierzał dzielić się swoimi przemyśleniami.

Kiedy cała grupa stanęła już przed drzwiami, Zuzanna odetchnęła tak głęboko, że jedna z

pomarańczy wysunęła się ze stanika i kozłując po starannie wypolerowanej przez panią Michalską podłodze, pomknęła w dół schodów. Kobiety odprowadziły ją wzrokiem, po czym Zuza poprawiła pozostały owoc i załomotała w drzwi.

– Nie masz kluczy? – syknęła pani detektyw.

– Zapomniałam – odszepnęła zdenerwowana Zuza.

W przedpokoju rozległy się człapiące kroki, zaraz później zaś drzwi skrzypnęły i stanął w nich Kajetan.

Kajetan w lekko rozchylonym szlafroku i bokserkach z misiem koalą nad lewym kolanem.

Kalina wstrzymała oddech. Młynek pisnął żałośnie. Zuzanna zapomniała o cennych radach udzielonych przez Radecką-Piórecką i wrzasnęła:

– Ty cholerny zboreźniku!

– Zuza? – Kajtek zmarszczył brwi. – Dlaczego wróciłaś tak szybko?

– A co? Za szybko? – Zuzanna pchnęła zaskoczonego męża do przedpokoju z takim impetem, że ten wylądował na przeciwległej ścianie i jęknął. – Nie zdążyłeś nacieszyć się kochanką?

– Przepraszam, ja tylko... – Kalina wskazała na drzwi łazienki. Zuzanna obejrzała się na nią z żądzą mordy w oczach.

– Nie krępuj się, moja droga.

– Zuza, dlaczego wrzeszczysz? – Kajetan próbował przebić się przez piski żony. Czuł się zdezorientowany. Właśnie układali z panią Michalską plan, dzięki któremu Zuzanna zapomni o Michale i skoncentruje się na własnym małżeństwie, kiedy rozległ się dzwonek. Poszedł otworzyć, a jego oczom ukazał się osobliwy widok: jego żona z karykaturalnie wybrzuszonym stanikiem w towarzystwie mocno zaokrąglonej kobiety i dużego psa.

– A co: może mam cię po główce pogłaskać? – kpiła żona. – Gdzie ta stara ropucha?!

– Tylko nie ropucha, tylko nie ropucha! – usłyszała Zuzanna. Złapała przestraszonego męża za koszulkę na piersi i pociągnęła w kierunku, skąd dobiegał głos. Zaskoczona stwierdziła, że w ulubionym fotelu Kajetana siedzi zadowolona z siebie pani Michalska i gładzi jedwabiste futerko Nudy. Zachwycony Młynek natychmiast podbiegł do malutkiej koleżanki, mocno wachlując ogonem.

– To pani? – zapytała z rozpaczą, zapominając o całym gniewie.

– Tak, to ja. A to jakiś problem? – zdziwiła się sąsiadka z parteru.

– Oczywiście, że tak! – wykrzyknęła Zuzanna płaczącym tonem. – Może panią lubię, ale to wcale nie znaczy, że będę tolerować takie rzeczy!

– Jakie? – wyrwało się równocześnie Kajtkowi i pani Michalskiej.

– Łóżkowe – wtrąciła Kalina, która właśnie pojawiła się w pokoju. – Żeby nie było, wcale nie mówię o praniu...

– Czy ja się w końcu dowiem, o co tu chodzi? – zirytował się Kajetan.

– Pan to niech najpierw włoży spodnie – poprosiła Radecka-Piórecka. – Ten misiaczek strasznie mnie dekoncentruje. No, tak jest zdecydowanie lepiej – oświadczyła, kiedy mąż Zuzanny pospiesznie wciągnął wydobyte z meblościanki spodnie. – Mówiąc najprościej. Ja nazywam się Kalina Radecka-Piórecka i jestem prywatnym detektywem. A pańska żona właśnie pana przyłapała z kochanką. – Kalina grzecznie skłoniła się pani Michalskiej, po czym ponownie utkwiała wzrok w oszołomionym Kajetanie. – W gatkach.

– Właśnie! – z entuzjazmem potwierdziła Zuzanna.

– Z kochanką? Przecież to moja żona ma romans, nie ja! – wrzasnął wytrącony z równowagi Kajtek.

– Nic o tym nie wiem. – Pani detektyw pokręciła głową.
– Więc niech się pani dowie! – gorączkował się mężczyzna. – Zatrudniam panią!
– Nie może mnie pan zatrudnić, konflikt interesów. Ale może pan zatrudnić mojego męża. Z pewnością już odkrył, że klinika ginekologiczna jest dzisiaj nieczynna, i właśnie tu jedzie...

– Zatrudniam pani męża! – wrzasnął Kajetan. – Niech odkryje, że moja żona Zuzanna ma romans. Spotyka się z kochaniem pod przykrywką dietetyka i przyjaciółki.

– Oszalałeś? – Zuzanna z wrażenia aż się zapowietrzyła. – Nie mam żadnego romansu! To ty masz romans, i to ze staruszką! Nie wstyd ci? Przecież w tym wieku zdrowie już nie to!

– Przepraszam – chrząknęła pani Michalska – ale ja tu jeszcze jestem. Słuch mam dobry i nie tylko słuch. Ale nie romansuję z twoim mężem. Dlaczego sugerujesz, że mam taki kiepski gust? Majtki z misiem koala, brrrr!

– Mój mąż spotyka się z kobietą. Starszą kobietą. A pani sobie tutaj siedzi w najlepszej, gdy on paraduje w bokserkach. Swoją drogą – zwróciła się do męża – kazałam ci je wyrzucić.

– Nie mam zamiaru. Są wygodne i bardzo je lubię. Moje majtki, moja sprawa. Założyłem raz takie obcisłe, to...

– A więc przyznajesz! – zaszlochała Zuzanna.

– Że co?

– Że zakładałeś obcisłe majtki!

– Tak, przyznaję! Założyłem obcisłe majtki, bo widziałem, że kupiłaś takie małe, czarne, z koronki... a kiedy przyszedłem do łóżka, ty miałaś na sobie truskawkę! – Na samo wspomnienie Kajetana przeszły ciarki. Zuzanna przygryzła wargę, gorączkowo nad czymś myśląc.

– Więc nie zakładałeś obcisłych majtek dla innej kobiety?

– Oczywiście, że nie! Pytanie, dla kogo ty założyłaś czarne koronkowe!

– Dla nikogo. – Zuzanna wzruszyła ramionami. – Schowałam je na inną okazję. Doszłam do wniosku, że... mogą się zniszczyć. Chciałabym jednak wiedzieć, z kim to umawiasz się po kawiarniach!

Zawstydzony Kajtek spojrzał na sąsiadkę i zawahał się. Pani Michalska parsknęła śmiechem.

– Obiecałam Kajtkowi, że pomogę mu namierzyć twojego kochanka. Spotkaliśmy się w kawiarni, aby ułożyć plan – powiedziała z dumą.

– Ale ja nie mam żadnego kochanka! To ja myślałam, że... – Pogubiona Zuzanna spojrzała z rozpaczą na Kalinę. – Rozplącz to jakoś, bo ja już nie wiem, co myśleć.

– Sprawa wydaje się prosta! – Radecka-Piórecka wzruszyła ramionami. – Oboje doszliście do wniosku, że jesteście zdradzani. Oboje się myliliście. Napędziła was afera majtkowa! – Zawahała się, popatrując na Kajetana. Nie dalej jak przed godziną uzyskała informację o pewnych zakupach w salonie jubilerskim i głowiła się teraz, czy to wyjaśniać. Ostatecznie machnęła ręką. Najwyraźniej sprawy wracały na właściwe tory. Poczekaj kilka dni. Jeśli Zuzanna nie pochwali się złotym prezentem gwiazdkowym, osobiście nadzieje Kajetana na poroże jakiegoś kopytnego...

Tymczasem Fijusowie powoli dochodzili do porozumienia.

– Nie masz romansu? – Zawstydzona Zuza spojrzała na męża. – Żadnego?

– Nie mam – przyznał Kajtek. – A ty?

– Oczywiście, że nie! Do cholery jasnej, kocham cię od kilkunastu lat, jak mogłeś tak pomyśleć?!

– Nie wiem – jęknął stropiony Kajtek. – Chyba nadal jestem o ciebie zazdrosny...

- A ja o ciebie. Ale te gazetki?
- Jakie gazetki? – zdumiał się Kajetan.
- W pudełku po butach, takie ohydne, stare i... posklejane – wyrzuciła z siebie Zuzanna.
- W pudełku po butach? Na pawlaczu? – zdumiał się mężczyzna. – Więc to były te maleństwa Michała?
- Maleństwa? Dobre sobie! – prychnęła Zuzanna. – Od tych wszystkich iksów dostałam mdłości. Już nigdy nie zagram w kółko i krzyżyk bez głupich skojarzeń!
- Wziąłem od niego pudełko, ale nie zaglądałem do środka. Dlaczego mnie nie zapytałaś?
- Pani Michalska westchnęła głęboko, kręcąc głową. Uniosła z kolan Nudę i zaczęła się gramolić z fotela z głośnym stęknieniem. Troskliwym ruchem ułożyła pieska na siedzisku i podeszła do Fijusów. Poklepała po ręce najpierw Zuzannę, a potem Kajetana.
- Daliście się złapać w pułapkę wzajemnych podejrzeń i zupełnie zapomnieliście, jak bardzo się kochacie. Zamiast wsłuchać się w siebie, wsłuchaliście się w słowa innych ludzi i pozwoliliście podkopać swoje wzajemne zaufanie. Tak nie można! Całe szczęście, że sytuacja się wyjaśniła. Zuza nie ma kochanka, Kajtek nie ma kochanki. Zuza ma majtki, Kajtek wyrzuci majtki. Czy wszystko jasne? Możemy skupić się na przygotowaniach świątecznych?
- Boże! – Zuzanna złapała się za głowę. – W tym całym zamieszaniu związanym z Kajtkowym romansem zupełnie zaniedbałam przygotowania do świąt! Nie zdążymy! Nie mamy jeszcze sałatek, ciast, nawet ryby nie mamy!
- Macie pomarańczę! – wtrąciła Kalina. – Mój nos podpowiada, że kapustę z grzybami też...
- Sałatki i ciasta nie są najważniejsze. Święta to nie potrawy postawione na stole, to ludzie, którzy gromadzą się wokół niego. Wasza rodzina zasiądzie do Wigilii w komplecie. To najpiękniejsza magia świąt! Prawda, pani Kalino? – Staruszka obejrzała się na niespokojnie kręcącą się kobietę.
- Tak myślę. – Skinęła głową. – A teraz wybaczenie, ale muszę...

Waldemar

Waldemar Jurczyk podparł się pod boki i przesunął zadowolonym spojrzeniem po wypchanych walizkach. Torby były mocno sfatygowane i pamiętały czasy, kiedy jego rodzice w ramach podróży poślubnej odwiedzili Zakopane. Anna już wielokrotnie usiłowała wystawić je na śmietnik, ale za każdym razem udawało mu się ją powstrzymać, argumentując, że jeszcze na pewno się przydadzą. I proszę, czy nie miał racji? Na nowe życie na -Wyspach były jak znalazł!

Uchylił drzwi szafy, krzywiąc się na widok równiutko rozwieszonych ubrań. Anna nie zaczęła się jeszcze pakować, ale nie miał wątpliwości, że wkrótce to uczyni. Cóż innego mogłaby zrobić? Byli połączeni ze sobą. Jak Żwirek i Muchomorek. Jaś i Małgosia. Jak zero z jedyneką na monecie dziesięciogroszowej!

To on, Waldemar, był głową tej rodziny. Anna musiała to zrozumieć. Musiała pojąć, że bez Waldemara sobie nie poradzi.

Słyszając zgrzytanie kluczy w zamku, Waldemar zamknął drzwi szafy i wyszedł do przedpokoju. Żona zsunęła sfatygowane kozaki i wyminęła go bez słowa. Waldemar poczuł się niewyraźnie. W jej postawie wyczuł jakąś zmianę. Ruszył za nią do kuchni i obserwował, jak krząta się przy parzeniu herbaty. Kiedy sięgnęła po swój ulubiony kubek, powiedział szybko:

– Też bym się napił...

– A rączek Bozia nie dała? – dobiegło znad kuchenki gazowej. Waldemar doszedł do wniosku, że najlepiej będzie udawać, że nic nie słyszał. Babskie humory. Hormony nawet, te ciążowe pewnie. Anna co prawda w ciąży jeszcze nie była, ale może zaczęły działać trochę wcześniej? Nie znał się na tym. Usiadł za stołem, dłonie splótł przed sobą na blacie i wyczekująco spoglądał na żonę. Nie tyle na herbatę, co na znak, że lada chwila zacznie się przygotowywać do wyjazdu.

– Może skoczę do piwnicy? – zaproponował dobrodusznie. – Mógłbym przynieść twoją walizkę.

– Nie, dziękuję. Nie będzie mi potrzebna. Ale jeśli masz chrapkę na jeszcze jakieś przetwory z półek naszych sąsiadów, śmiało, nie krępuj się – rzuciła drwiąco kobieta. Zawstydzony Waldemar spuścił wzrok, zaraz jednak dotarło do niego znaczenie słów żony.

– Jak to: walizka nie będzie ci potrzebna?

– Nie będzie mi potrzebna, bo nigdzie nie jadę!

– Żartujesz sobie? – oburzył się. – Przecież wyraźnie powiedziałem, że wyjeżdżamy zaraz po świętach. Zaklepałem robotę w stolarni w Leicester. Spakowałem już swoje rzeczy. Znalazłem ludzi, którzy wynajmą od nas mieszkanie. Jeszcze nie ustaliliśmy szczegółów, bo lotry targują się o każdą złotówkę, ale wszystko można dogadać. Jesteśmy gotowi do wyjazdu!

– Nie, to ty jesteś gotowy do wyjazdu! – Anna spojrzała na męża z furią. – Nawet nie zapytałeś mnie o zdanie! Nigdzie nie jadę...

– Oczywiście, że jedziesz! Nie słyszałaś, co mówiłem? Nie poradzisz sobie beze mnie!

– No tak! Kto będzie sprawdzał moje paragony i pluł jadem nad każdą wydaną złotówką? – zakpiła.

– No, wiesz! – Waldemar poczuł się urażony. – Przecież ja to wszystko dla naszego dobra... Nie dorobiliśmy się niczego, gdybyś szastała pieniędzmi!

– Dolewanie mleka do kawy nie jest szastaniem pieniędzmi!

– Aniu, bądźże rozsądna! Przecież ja to wszystko robię z troski o naszą przyszłość! – zajęczał. Nagle spojrzął na żonę z chytrym uśmieszkiem. – Masz rację. Jeśli wyjadę bez ciebie, nikt nie będzie sprawdzał twoich paragonów. A wiesz dlaczego? Bo nie będziesz miała pięciu złotych, żeby kupić chleb i mleko!

Anna postawiła na stole kubki z parującym napojem i patrząc prosto w oczy męża, złapała za dwa sznureczki i kilkakrotnie wyjęła i zanurzyła je we wrzątku. Herbata nabrała mocnego, brązowego koloru. Za każdym razem, gdy zanurzała torebkę w kubku, Waldemar pojękiwał, a kiedy dokładnie wycisnęła herbatę i ruszyła z nią w kierunku kosza na odpadki, wyciągnął dłoń, jakby chcąc ją powstrzymać, ale ostatecznie opadł na krzesło, pocierając wilgotne czoło. Anna wróciła do stołu, przysunęła sobie cukierniczkę, do każdego kubka wsypała po dwie czubate łyżeczki, zamieszała i usiadła naprzeciwko męża. Powoli przesunęła kubek w jego stronę, sama uniosła naczynie do ust i popijała, dmuchając do środka i delektując się silnym smakiem i aromatem.

Waldemarowi przeszła ochota na herbatę, ale musiał ją wypić, przecież szkoda wylać tak mocny napar, na dodatek tak szcudrze dosłodzony! Ze skrzywionym wyrazem twarzy obserwował żonę, zastanawiając się, którego argumentu użyć, by uświadomić jej, że nie ma wyjścia i musi z nim wyjechać. Dziecko, pomyślał, najbardziej pragnie dziecka!

– Poza tym jeśli ja będę tam, a ty tutaj... to jak zamierzasz zająć w ciążę? Poczta tak szybko nie działa – zauważył. Anna zakrztusiła się herbatą, więc zadowolony z siebie rozparł się w krzesło i siorbnął z kubka słodki napój. Pozwolił sobie na trochę uszczypliwości, może wtedy to do niej w końcu dotrze. – Mogłabyś zdecydować się na samotne macierzyństwo i przygruchać jakiegoś kogucika, ale za co utrzymasz kurczaczka?

Anna odstawiła kubek i złapała męża za rękę. Ścisnęła mocno jego palce.

– Nie zaszantażujesz mnie dzieckiem. Nie dam mu takiego ojca.

Waldemar posłał jej oburzone spojrzenie. Co miała na myśli? Chyba nie chciała mu zarzucić, że nie nadaje się, by zostać tatą? Otworzył usta, by coś odrzec, ale żona jeszcze mocniej zmiażdżyła jego dłoń.

– Możesz wyjechać do Anglii. Ja zostaję. Zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi. Dajmy sobie czas, przekonajmy się, jak żyje nam się osobno. Czy zatęsknimy za sobą, zechcemy zamieszkać razem i zostać rodzicami? – Waldemar spojrzął na żonę i ujrzał w jej oczach coś, co go przeraziło. Ona wiedziała, że nie zatęskni. W jej spojrzeniu migotało wyczekiwanie. Anna nie mogła się doczekać chwili, gdy zostanie sama! Patrzył na nią wstrząśnięty, tymczasem ona delikatnie gładziła go po ręce i mówiła: – Spędzimy te święta razem, jak co roku. Usiądziemy przy stole, połamiemy się opłatkiem i zjemy wysuszony makowiec, bo wydzielisz mi za mało miodu do masy makowej. Wieczorem spotkamy się z sąsiadami i zaśpiewamy kolędę pod choinką przed blokiem... A po świętach każde z nas zacznie inne życie.

– Nie poradzisz sobie beze mnie... – wycedził przez zaciśnięte zęby. Anna puściła jego rękę i ponownie objęła dłońmi kubek. Pokręciła głową.

– Nie martw się, kochanie, poradzę... Przełałam na swoje konto wszystkie twoje oszczędności. Jak przystało na sknerę, uciułałam całkiem pokaźną sumkę. Starczyłoby na dobry samochód w salonie, starczy więc na moje nowe życie. A teraz wybacź, pójdę się wykąpać. Kupiłam nowy płyn do kąpieli.

Oszołomiony Waldemar odprowadzał Annę wzrokiem i patrzył, jak znika za drzwiami łazienki. Powoli przeniósł wzrok na trzymany w dłoni kubek. Oszukany ten cukier, pomyślał. Tyle posłodziła, a w ustach czuł gorycz.

Monika

Monika przewróciła się na drugi bok, mocno zaciskając powieki. Usiłowała zmusić samą siebie do zaśnięcia, ale kolorowa poświata bijąca z balkonu sprawiała, że coś boleśnie pulsowało jej pod czaszką. Przy jej prawym boku Jakub spał sobie w najlepsze, na zmianę pochrapując i pogwizdując pod nosem. Rozłożony w swoim łóżeczku Piotruś posapywał jak mała lokomotywa. I tylko ona, Monika, przewracała się z boku na bok, walcząc z bezsennością.

Napiję się zimnej wody. Albo ciepłego mleka. Z tą myślą zwlokła się z łóżka i ruszyła w kierunku kuchni.

Kiedy weszła do pogrążonego w mroku przedpokoju, boleśnie uderzyła małym palcem o coś twardego. Podskoczyła w górę, równocześnie łapiąc się za stopę i sypiąc wiązką gęstsza niż padający za oknem śnieg.

Najpierw pomacała pulsujący bólem, zwiększający objętość palec, a następnie cholerstwo, które ją tak urządziło. Ze zdumieniem odkryła, że ma do czynienia z walizką teściowej. Na dodatek spakowaną.

Monika pokuśtykała na poszukiwanie właścicielki walizki. Zlokalizowała ją na kuchennym taborecie. Mama Kwiatek siedziała w ciemnościach i pochlipywała cichutko w asyście szmeru lodówki i rytmicznie kapiącego kranu.

– Co mama tu robi? I dlaczego walizka mamy czyha na moją stopę? – wyszeptała.

Matka Jakuba poderwała głowę i spojrzała żałośnie na synową.

– Wracam do domu.

– No, ale tak w środku nocy?

– Nie ma czasu do stracenia. Czekam tylko, aż przestanie padać, bo nie mam parasola.

– Ale dlaczego chce mama wracać do domu? Czy coś się stało? – zaniepokoiła się

Monika.

– A co wam będę siedzieć na głowie. Miałam pomagać, a... – dalsze słowa mamy Kwiatek utonęły we łzach. Młoda kobieta nie potrafiła dojść, skąd taka nagła zmiana w zachowaniu teściowej. Z potoku słów wyłuskała jedynie coś o pierogach, kopalni soli w Wieliczce i bezużytecznych staruszkach. Bezradnie poklepała szlochającą po ramieniu, na co ta zareagowała wzmożonym płaczem. W pewnym momencie jej zawrodo tak przybrało na sile, że Monika zaczęła się zastanawiać, czy zamiast wypytywać, nie powinna od razu odprowadzić teściowej do drzwi. Najlepiej tych od klatki schodowej, o ile zdoła dokuśtykać na dół po schodach...

Przypominający o sobie palec sprawił, że Monice przewietrzało w głowie. Złapała teściową za ramię.

– Ja widzę, że mama zachowuje się dziwnie. Nigdzie mama nie pójdzie, dopóki się nie dowiem, w czym rzecz.

– Nie mogę ci powiedzieć! – wydukała mama Kwiatek, spoglądając na synową załzawionymi oczyma. Monika potrząsnęła głową i utkwiała w matce męża twarde spojrzenie. – Wstydzę się!

Oniemiała Monika wpatrywała się w kupkę nieszczęścia, w którą zamieniła się jej teściowa. Mama Kwiatek pociągała nosem, rękawem kurtki ocierała mokre policzki, od czasu do czasu wydobywał się z niej szloch. Na dodatek dostała czkawki i podskakiwała na krzeselku,

wstrząsana niekontrolowanym „hyk”.

– Nie ma się czego wstydzić... – powiedziała powoli.

– Właśnie, że jest. Zawsze mi wychodziły.

– Kto wychodził? – zaciekała się Monika, która nie wiedzieć dlaczego doznała skojarzenia ze starszkami, które okupują pierwsze ławki w kościele i wysiadują w kolejkach przed konfesjonalami. Czy to dzisiejsza spowiedź sprawiła, że matka Jakuba zachowuje się tak irracjonalnie? Dostała jakąś dziwną pokutę?

– Nie kto, tylko co. Pierogi – jęknęła tymczasem mama Kwiatek, ponownie zalewając się łzami.

– Będą pierogi? – Ucieszyła się Monika, która co prawda darzyła teściową nieszczerobym uczuciem, ale potrafiła docenić jej kunszt kulinarny. Pod warunkiem, że jego ofiarą nie padał Piotruś. – To świetnie! Uwielbiam mamy pierogi!

– No, przecież ci tłumaczę, że nie wyszły i nie będzie...

– I dobrze. Nie cierpię mamy pierogów!

Teściowa zamarła z uchylonymi ustami i uniesionym ramieniem, gotowym do przyjęcia w rękaw kolejnej porcji wilgoci. Przez moment trawiła słowa synowej, by w końcu pokręcić głową i posłać w jej kierunku pełne niedowierzania spojrzenie. Monika poczuła, że kręci się jej w głowie. Za wszelką cenę chciała pocieszyć matkę męża, a już sama nie wiedziała, co plecie. Mama Kwiatek zaczęła gramolić się z taboretu.

– Sama widzisz, lepiej już pójde.

– Lepiej to niech mama siądzie na tyłku. – Mama Kwiatek posłusznie opuściła obfite pośladki na krzeselko. Monika zrobiła kroczek w jej kierunku i gwałtownie zamachała rękami.

– Albo niech mama wstanie.

– To co mam w końcu robić? – Mama Kwiatek spojrzała na synową z obrażoną miną.

– Noga mnie boli, niech mama ustąpi miejsca. Muszę zobaczyć, czy nie złamałam tego palca. Nie miała mama gdzie stawiać tej walizki?

Teściowa wzruszyła ramionami, podnosząc się z krzeselka. Monika z westchnieniem ulgi opadła na taboret i dotknęła opuchniętego palca. Mama Kwiatek podreptała do lodówki i wydobyła z zamrażarki kostki lodu. Owinęła je w ściereczkę i podała synowej.

– Przyłóż, żeby złagodziło ból...

W kuchni zapanowała cisza przerywana kapaniem wody z kranu, chrzęstem kostek lodu i pociąganiem nosem. Monika spojrzała na teściową łagodnie.

– Będą inne potrawy.

– Ale nie będzie pierogów. Wstyd.

– Nic się nie stało.

– Stało się, stało. Miałam pomóc i zrobić pierogi na święta. Tak powiedział Kuba.

– To, że raz nie wyszły, nie znaczy, że nie wyjdą kolejny raz. – Monika odłożyła ściereczkę z topniejącym lodem na kuchenny blat i złapała mamę Kwiatek za rękę. – Wiele razy dałam dupy jako matka, ale to nie znaczy, że nie umiem nią być.

– Dziwne masz porównania – skrzywiła się mama Kwiatek.

– To przez ten palec, nie mogę się skupić. Niech mama rozpakuje walizkę. Przecież jutro Wigilia. W takim dniu rodzina powinna być razem. Z pierogami czy bez.

– Chcecie, żebym z wami była? – Mama Kwiatek spojrzała na synową żałośnie. – Dlaczego? Przecież tak wam dałam popalić z tą choinką i w ogóle... Nawet ksiądz Wojciech mnie skarcił przy spowiedzi i powiedział, że się mieszam w święty związek małżeński... Ale przecież ja chciałam dobrze.

Monika poczuła, że ma co nieco na końcu języka, ale po krótkim namyśle doszła do

wniosku, że najlepiej zrobi, jeśli to przełknie. Ewentualnie się ugryzie. Delikatnie, bo palec już wystarczająco dawał się we znaki.

– Mam trochę grzybów kupionych w sklepie, możemy je zaraz namoczyć – zaproponowała zamiast tego. Mama Kwiatek wzruszyła ramionami.

– Kupne to nie to samo... – burknęła.

Monika policzyła w duchu do dziesięciu. Po polsku, niemiecku, angielsku i rosyjsku.

– Nie szkodzi. Ważne, że robi je nasza specjalistka od pierogów. Może mnie mama nauczy? – Uśmiechnęła się nieśmiało. Teściowa spojrzała na nią zaskoczona. Skinęła głową z miną angielskiej królowej.

– Chcesz?

W tej samej chwili uszu Moniki dobiegł odgłos otwieranych drzwi. Uświadomiła sobie, co zaraz nastąpi, i zerwała się z taboretu, ale opadła na siedzisko ze zduszonym okrzykiem bólu. Słowom, które w tym samym czasie padały za cienką ścianką działową, daleko było do podniosłości dnia, który właśnie się rozpoczął.

Stasia

Stasia zerwała się z łóżka bladym świtem. Na paluszkach zakradła się do kuchni i zdecydowanym spojrzeniem zmierzyła czajnik bezprzewodowy. Nigdy wcześniej tego nie robiła, ale dzisiaj postanowiła sprawić mamie świąteczną niespodziankę i przygotować poranną kawę.

Poprzedniego wieczoru dużo rozmawiały. Mama powiedziała Stasi, że świetnie sobie radzi w nowej szkole i że jest z niej dumna. Powiedziała też, że nie jest zła o skradzione sianko. Nie wiedzieć skąd dowiedziała się o szopce w kościele księdza Wojtka. Początkowo Stasia zmartwiła się, że niespodzianka już się nie uda, ale potem doszła do wniosku, że to nieważne, bo przecież mama i tak nie widziała końcowego efektu, z laleczkami i w ogóle. Poza tym Stasia była taka szczęśliwa, tuląc się i słuchając, jaką wspaniałą jest córeczką, że nic innego nie miało już znaczenia.

Trochę zdziwiło ją, że mama pyta o nowego wychowawcę. Fajny jest? Czy Stasia go lubi?

Dziewczynka sięgnęła po ulubioną filiżankę mamy, tę z namalowaną stokrotką, a następnie po puszkę z kawą i łyżeczkę. Nie wiedziała, ile brązowego proszku powinna nasypać do naczynia, ale w pamięci utkwiło jej, że mama lubi mocną kawę. Nasypała cztery kopiaste łyżeczki, po czym wzruszyła ramionami i dosypała jeszcze dwie. Kiedy woda się zagotowała, ostrożnie złapała za ucho czajnika i napełniła filiżankę wrzątkiem. Kuchnia zapełniła się charakterystycznym zapachem.

Aromat kawy ściągnął do kuchni świeżo przebudzoną Marzenę. Zachwycona przyjęła z rąk córki filiżankę.

– Zrobiłam ci kawę, mamusiu! – obwieściła Stasia. – Teraz muszę lecieć do kościoła. Po mszy mamy ustawić w szopce laleczki. Kasia je przyniesie.

Marzena pociągnęła łyk kawy i skinęła głową. Poczekala, aż Stasia zniknie w małym pokoiku, aby się ubrać, po czym wypłuka fusy do zlewu, próbując powstrzymać głośny chichot. Otarła usta rękawem piżamy i zajrzała do filiżanki. Nie, to pierwsza kawa zrobiona rączkami Stasi i ona ją wypije, nawet jeśli spędzi pół Wigilii na toalecie. Potrzebuje tylko sitka...

Parę chwil później zziębnięta Stasia wpadła na placyk przed kościołem. Z daleka dostrzegła charakterystyczną czapkę koleżanki. Kasia trzymała foliową torbę z zabawkami. Stasia zbliżyła się i niepewnie spojrzała na drugą dziewczynkę. Nie widziały się, odkąd wychowawca przywiózł je z gospodarstwa rolnego, nie była nawet pewna, czy Kasia w ogóle pojawi się w umówionym miejscu, aby do końca udekorować szopkę.

Kasia uśmiechnęła się nieśmiało i uniosła reklamówkę.

– Mam lalki.

– A ja sianko!

– Jak w domu?

– Spokojnie. Mama mówi, że to był wyższy cel. – Stasia nie za bardzo rozumiała to pojęcie, ale dotarło do niej, że pechowy występek został jej darowany. Kasia rozchyliła siatkę, demonstrując zawartość.

– Będą dobre? – zapytała.

– No pewnie! Są czadowe! – szczerze zachwyciła się Stasia.

Stały obok drzwi wejściowych, czekając, aż świątynia opróżni się z uczestników

porannej mszy. Kasia spojrzała na Stasię z uznaniem.

– Dziękuję, że po mnie wróciłaś.

– Nie ma za co. Jesteśmy zespołem – powiedziała z dumą dziewczynka.

– Wiesz, fajna jesteś. Nie będę nazywać cię Staszkiem.

– Dzięki. – Stasia spojrzała z wdzięcznością na koleżankę. – Nie lubię swojego imienia.

– Ja też – przyznała Kasia.

– Ty? Przecież masz bardzo ładne. Takie... normalne!

– No, niezupełnie... – mruknęła tamta w odpowiedzi.

– Jak to?

– Tylko mówią do mnie Kasia, ale naprawdę jestem Kazia. Kazimiera. Po dziadku ze strony taty – wyrecytowała z głośnym westchnieniem. Stasia wpatrywała się w koleżankę osłupiała. Nagle jej buzię rozjaśnił uśmiech. Nie czuła się już dziwolągiem, przecież najpopularniejsza dziewczynka w klasie nosiła równie mało nowoczesne imię! Coś je łączyło, i to nie tylko szopka księdza Wojtka. Pociągnęła Kasię, nie!, Kazię za rękaw kurtki w kierunku wejścia do kościoła.

– Kiedyś chciałam być Kordelią... Poprosiłam mamę, żeby zmieniła mi imię...

– A ja Mają...

– A ja Leną...

– A ja...

Wigilia

Nad miasteczkiem zapadał zmrok.

Mieszkańcy powoli przygotowywali się do spotkań przy wigilijnym stole.

Ulice przecinały nieliczne samochody. Ostatni przechodnie przyspieszali kroku, by jak najszybciej schronić się w przytulnych wnętrzach. W pojedynczych oknach wesoło migotały kolorowe światełka choinek. Im ciemniej robiło się na dworze, tym więcej barwnych lampek rozświetlało okna kalwaryjskich domów. Śnieg miękko opadał na dachy budynków i drzewa, nadając rozpoczynającym się świętom bajkowej scenarii.

W budynku przy ulicy Weissa mieszkańcy właśnie zasiadali do wigilijnego posiłku.

Pod dziesiątką pani Malinowska doprawiała śledzie w śmietanie, równocześnie próbując dosłyszeć, o co kłóć się sąsiedzi zza ściany. Podczas podlewania rybki przygotowanym wcześniej sosem dumiała nad tym, jak to dobrze, że ten niesympatyczny Waldemar Jurczyk nie wyjadł jej wszystkich korniszonów. Jeśli rodzina nie zje całych śledzi, w drugi dzień świąt przyrządzi z nich sałatkę, a wtedy kwaśne ogórki będą jak znalazł!

W mieszkaniu pod numerem dziewiątym Anna i Waldemar Jurczycy zjadali przygotowaną przez kobietę zupę grzybową z łazankami. W milczeniu unosili łyżki do ust, smakując aromatyczną potrawę. Pomiędzy nimi stało dwanaście różnych przysmaków i makowy tort zamówiony w miejscowej cukierni. Anna miała na sobie nową sukienkę, kupioną pod wpływem impulsu w pobliskim butik. Pani domu zastanawiała się, jak spędzi kolejne Boże Narodzenie. Waldemar dumiał, czy do popękanej walizki po rodzicach zmieści się tajemnicze znalezisko z piwnicy Fijusów, do którego się przyzwyczał.

Pod ósemką jeszcze nie podano świątecznych przysmaków i szczerze powiedziawszy, nie zapowiadało się, by miało to nastąpić w najbliższym czasie. Podenerwowany Jakub Kwiatek kręcił się po największym pokoju, próbując ignorować uporczywe burczenie dobywające się z brzucha i podniesione głosy dochodzące z kuchni, gdzie dwie gospodynie właśnie spierały się, ile minut powinny gotować przygotowane wspólnymi siłami pierogi.

Pod numerem piątym Zuzanna serwowała właśnie usmażonego karpia. Prawdopodobnie kupiła ostatnią i najmniejszą rybę w całym miasteczku, ale i tak była szczęśliwa. Udawała, że nie widzi, jak mąż i córka na zmianę dokarmiają Nudę pokruszoną chałką. Suczka merdała zabawnie ogonem, ciesząc się zapewne, że przebywa w ciepłym, przytulnym wnętrzu, a nie na wychłodzonym, wilgotnym balkonie. Zanim zasiedli do wigilijnej wieczerzy, dobrała się do pozostawionych na ławie opłatków i była z siebie bardzo zadowolona. Zuzanna trochę mniej, choć przypominając sobie czarny pyszczek oblepiony białymi strzępkami, z trudem powstrzymywała śmiech.

W lokalu za ścianą Marzena mocno tuliła do siebie Stasię, wręczając córeczce wymarzoną zabawkę i życząc jej, by zawsze pozostała taką wspaniałą dziewczynką. Pomiędzy barszczem czerwonym z uszkami a smażoną rybą sięgnęła po telefon i wystukała długą wiadomość. Przez chwilę wahała się, ważąc telefon w dłoni i wpatrując się w światełka choinek w oknach bloku naprzeciwko, aż w końcu zdecydowanym ruchem kliknęła „wyślij”. Natychmiast poczuła strach i podekscytowanie równocześnie. Uśmiechnięta wróciła do córki, by ta mogła dalej paplać o niezwykłej koleżance, która ma na imię Kazia...

W mieszkaniu na parterze panowały ciemności. Zajmująca je lokatorka zjadła już

wigilijną wieczerzę, a teraz postanowiła zająć się ważną misją, której się podjęła. Przez moment spoglądała na kołysaną wiatrem jodełkę, później odwróciła się w kierunku skąpanych światłem okien bloku.

Przyjdą? Może przyjdą!

Uśmiechała się pod nosem, przytupując dla rozgrzewki.

– Świąteczka! Musimy zawiesić świąteczka – wykrzyknęła. Po chwili maszerowała w kierunku pobliskiego składziku, gdzie trzymała grabie, miotły i inne akcesoria przydatne podczas utrzymywania porządku w obrębie bloku. W kącie pomieszczenia stała też składana, metalowa drabina. Staruszka rozłożyła ją, na próbę wspięła się na pierwszy szczebel, po czym zadowolona pokiwała głową.

Z trudem zataszczyła ciężki przedmiot pod jodełkę. Wspięła się na stopnie, postępując w kraciasty szalik, który znakomicie chronił przed chłodnym wiatrem. Starannie rozwiesiła kolorowe świąteczka, podśpiewując pod nosem kolędy, które słabo pamiętała. Przez moment mocowała się z żaróweczkami, gdyż złośliwie uparły się nie świecić! Już, już miała się poddać, kiedy choinka rozjarzyła się wielobarwnym blaskiem.

Trzasnęło.

W bloku zgasły wszystkie światła.

Coś łupnęło o ziemię.

Cztery sąsiadki popatrywały na siebie niepewnie. Ciszę przerwała Zuzanna:

– Cholera jasna, tego dało się uniknąć!

– Zgadzam się! – Anna Jurczyk pokiwała głową. – Pani Michalska suszyła nam głowę o tę choinkę od kilku tygodni. Koniecznie chciała ją ubierać. Dla nas. Dla wszystkich mieszkańców bloku. A my zostawiliśmy ją z tym samą. Po prostu zapomnieliśmy!

– Ty nie. – Marzena spojrzała na sąsiadkę z uśmiechem. – Widziałam przez okno, że zawieszalaś sopolki.

– Takie tam, stare... – Zawstydzona Anna machnęła ręką. Monika Kwiatek zadrżała pod wpływem lodowatego podmuchu wiatru i szczelniej otuliła się płaszczkiem. Ruchem głowy wskazała nadchodzącego lekarza. Doktor powiódł spojrzeniem po twarzach czterech kobiet.

– Czy jest obecny ktoś z rodziny? – zapytał.

– Pani Michalska nie ma rodziny, mieszka zupełnie sama – wyjaśniła Zuzanna, popatrując na sąsiadki. – Czy wszystko z nią dobrze, panie doktorze?

– Zabieramy ją do szpitala. Podejrzewam złamanie, porządnie się potłukła. Poza tym to starsza osoba. Co ona właściwie robiła na tej drabinie?

– Dekorowała choinkę...

– Sama? – Lekarz spojrzał na cztery kobiety karcąco. Zapadła cisza. Przerwało ją dopiero westchnięcie mężczyzny. – No, dobrze. Przy sąsiadce znaleziono klucze do mieszkania. Czy mogą panie spakować jakieś rzeczy, pantofle, koszulę, przybory toaletowe, no co tam chciałyby mieć przy sobie? Nic przyjemnego spędzić święta na oddziale.

Anna sięgnęła po klucze. Wsunęła je do kieszeni, zaciskając palce na zimnej, chropowatej powierzchni. W tej samej chwili naprawiono korki i budynek zalało miękkie światło. Kobiety zamrugały powiekami. Zuza spojrzała na lekarza.

– Zajmiemy się tym. Do którego szpitala ją odwiezicie? Do wadowickiego? Przyjedziemy tam!

Kiedy karetka odjechała, cztery kobiety wróciły do budynku i zbliżyły się do drzwi oznaczonych jedyneką. Przez moment stały bez słowa, rozglądając się po sobie.

– Nigdy u niej nie byłam – wyszeptła Zuza.

- Ja też nie – przyznała Anna. Dwie pozostałe kobiety tylko mruknęły coś pod nosem.
- Czemu szepczesz?
- A ty?
- Nie szepczę, tylko ehem... gardło mnie boli.

Zazgrzytał przekręcony klucz, drzwi stanęły otworem. Na klatkę schodową buchnął przyjemny aromat smażonej ryby.

Kobiety niepewnie przekroczyły próg, tłocząc się w ciasnym przedpokoju. Z drzwi na wprost wejścia na twarze przybyłych padały kolorowe refleksy rzucane przez niemrawo migające światełka choinkowe. Kobiety ruszyły w ich kierunku, a kiedy znalazły się w pokoju, rozglądały się po wnętrzu z zaciekawieniem.

W centralnej części pokoju znajdował się niewielki stolik nakryty białym obrusem. Stało przy nim tylko jedno krzesło z mocno wytartym tapicerowanym siedziskiem. Na stole ustawiono pojedyncze nakrycie, na dnie głębokiego talerza pozostała resztką czerwonego barszczu, a tuż obok stała szklanka z niedopitym kompotem z suszonych owoców. Zuzanna nie mogła oderwać wzroku od pozostawionych naczyń. Wstrząśnięta obejrzała się na towarzyszki.

– Cholera... – zakłęła Anna. Marzena zacisnęła pięści. Monika wyglądała, jakby lada chwila miała się rozpłakać.

– Ona nie ma nikogo. – Zuza wyraziła słowami to, co wszystkie pomyślały.

– Siedziała tutaj zupełnie sama, kiedy my spędzałyśmy -Wigilię w rodzinnym gronie.

– Boże – załkała Zuzanna – nie dalej jak wczoraj tłumaczyła mi, że nieważne są ciasta i sałatki, bo liczy się rodzina, która gromadzi się przy stole. Powiedziała to, wiedząc, że zasiądzie tutaj sama, by zjeść talerz barszczu i kawałek ryby! Cholera, cholera, cholera! Sama przy wigilijnym stole, sama! Z kim niby miała podzielić się opłatkiem?!

– Z nami – szepnęła Marzena. – Chciała, byśmy ubrali choinkę i zaśpiewali wspólnie kolędy. Połamali się opłatkiem. Sądziłam, że wymyśla, bo jest zdziwaczałą starowiną!

– Wszystkie tak pomyślałyśmy – powiedziała z naciskiem Monika.

– A ona po prostu chciała z kimś być w święta. Może nie przy wigilijnej wieczerzy, ale trochę później... – kontynuowała Marzena.

– I tak co roku? – Zuza wskazała osamotnione nakrycie. – Jeden talerz, jedna szklanka, cisza mieszkania oświetlonego kolorowymi lampkami?

Anna pokręciła głową zrezygnowana.

– Mieszkamy tutaj kilkanaście lat, nigdy nie pomyślałam, nawet przez myśl mi nie przyszło zapytać...

– Nie wyrzucaj sobie, nie tobie jednej...

Przez moment tkwiły bez ruchu nad osamotnionym nakryciem, obserwując, jak w naczyniach odbijają się barwne światełka. Pierwsza z odrętwienia wyrwała się Anna. Posłała pozostałym kobietom stanowcze spojrzenie.

– Myślę, że wiecie, co powinniśmy zrobić.

Odpowiedziało jej powolne skinienie trzech głów.

Na plebanii wieczerzę wigilijną zjedzono zaraz po tym, jak na niebie pojawiła się pierwsza gwiazdka. Po kolacji odśpiewano kilka kolęd, po czym ksiądz Wojtek wrócił do swojego pokoju, by trochę poczytać i powoli trawić wyśmienitego karpika pani Geni, księżowskiej gospodyni. Ledwie rozsiadł się w ulubionym fotelu, sadzając sobie na kolanach ukochaną kotkę, kiedy zabrzączał dzwonek u drzwi.

Wikary nadstawił ucha i z zadowoleniem skonstatował, że przyszedł Maciej. Z uśmiechem podniósł się z siedziska i ruszył, aby powitać przyjaciela i złożyć mu świąteczne

życzenia. Maciek spędzał święta z matką i z pewnością ulotnił się, by nie słuchać pouczeń, że już dawno powinien się ożenić i zapełnić rodzinny dom tupotem małych nóżek i dziecięcym śmiechem.

Na widok miny przyjaciela ksiądz Wojtek spochmurniał.

– Dałem du...

– No, no! – Wikary niespokojnie obejrzał się na drzwi, za którymi zniknęła pani Genia. – Daruj sobie, z łaski swojej. Co się stało?

Maciek pospiesznie nakreślił sytuację z Marzeną. Opowiedział o wypadku na chodniku i odkupionym kucyku. I o tym, że stchórzył, kiedy miał wyjawić, że nie jest tak zupełnie przypadkowym przechodniem, ale również wychowawcą Stasi. O oburzeniu Marzeny, jej ponurej minie i nieodebranych telefonach. Na koniec wspomniał o wiadomości tekstowej, którą odebrał w czasie kolacji wigilijnej.

– Napisała, że zachowała się impulsywnie i że powinniśmy porozmawiać – wyjaśnił.

– To dobrze! – Ksiądz Wojtek poklepał przyjaciela po ramieniu. – Z pewnością poczuła się oszukana, gdy odkryła, że nie byłeś z nią do końca szczery. To zrozumiałe, jest samotną matką. Wiążąc się z jakimś mężczyzną, wiąże z nim poniekąd także swoje dziecko. Powinienem zmyć ci głowę, ale czuję się ciut winny, bądź co bądź to ja posłałem cię do domu Stasi. Na szczęście Marzena chce wyciągnąć rękę do zgody. – Ksiądz zerknął na Macieja z zaciekawieniem. – Pytanie, czego ty chcesz?

– Chciałbym ją lepiej poznać. – Wuefista uśmiechnął się pod nosem. – Lubię jej towarzystwo, podoba mi się jako kobieta. Mam nadzieję, że zaczniemy zupełnie od nowa!

– Zaczynicie od nowa i niech się wam układa jak najlepiej, obojgu! To moje życzenia na te święta. Napijiesz się herbaty?

– Chętnie. – Maciej skinął głową i ruszył za wikarym w kierunku jadalni. – Musiałem ulotnić się z domu, bo mama zaczęła stałą śpiewkę...

– O pięknej, rumianej żonie i gromadce dzieci?

– Gorzej. W tym roku zasugerowała, że powinienem brać, jak leci, bo latka mijają...

Wojtek zaniósł się tubalnym śmiechem. Pani Genia uniosła karcąco grubą brew, wskazując drzwi do pokoju proboszcza. Ksiądz Wojciech uśmiechnął się przymilnie i poprosił o kawałek piernika. Najlepszego pod słońcem, jak zapewniał, głaszcząc się po żołądku. Pani Genia westchnęła ciężko, ale z zadowolonym uśmiezkiem ukroiła po grubym plastrze świątecznego wypieku.

Ksiądz Wojtek zamierzał właśnie poprzekomarzać się z przyjacielem i zapytać, czy ma już na oku jakąś kandydatkę, ale przerwał mu dźwięk Maćkowej komórki. Wuefista odebrał telefon z entuzjazmem, mruknął kilka razy w odpowiedzi, po czym rozłączył się i zamyślony spojrzał na księdza.

– Dzwoniła Marzena. Prosi, żebym pojechał z nią do szpitala. Pani Michalska spadła z drabiny i poważnie się potłukła.

– Musisz jechać, oczywiście. – Ksiądz pokręcił głową zaaferowany. – Pani Michalska spadła z drabiny? Cóż ona do diaska robiła na drabinie? Powinna śpiewać kolędy i razem z wnukami nurkować pod choinkę w poszukiwaniu prezentów!

– A ksiądz jak palnie... – parsknęła gniewnie pani Genia. – Tacy jesteście nowocześni, internety, komórki, a nic nie wiecie...

– Ale o czym? – zainteresował się wikary.

– Jak to o czym? O parafii! Przecież Michalska nie ma wnuków. Ona nie ma już nikogo. Po tym, co przeżyła ta kobiecina, zdziwiłabym się, gdyby w ogóle chciała święta obchodzić...

– Co się stało? – zapytał Maciej. Pani Genia przysunęła sobie talerzyk z piernikiem i z

ciężkim westchnieniem opadła na krzesło. Niespokojnie zerknęła na drzwi pokoju starego proboszcza.

– Niech wam będzie, opowiem... Ale żeby potem nie było, że księżowska gospodyni to ino plotki i plotki...

24 grudnia 1976

Plastikowa choinka zmieściła się w kącie między dębową szafą a łóżeczkiem Steni. Pokrywające ją anielskie włosy migotało barwnymi refleksami w blasku światełek. Maria przystanęła w progu, chłonąc piękny widok, który niezmiennie łapał ją za serce. Mąż wyczuł jej spojrzenie, uniósł wzrok znad czytanej bajki i uśmiechnął się ponad główką córki.

– Już czas – powiedziała czule. – Musisz jechać.

– Jeśli chcesz, pojedę po Wigilię.

Pokręciła głową.

– Nie, to bez sensu. Zabierzesz trochę pierogów i ciasta. Wiesz, że u nich się nie przelewa.

– Wiem, oczywiście tego nie przyznają...

– Twoja bratowa jest dumna. Chce pokazać, że radzi sobie po śmierci Ryśka. Musisz ją zrozumieć.

– Próbuję. – Uśmiechnął się. – Przygotowałaś wszystko? – Kiedy Maria skinęła głową, Jan wstał z wersalki, przeciągając się mocno. – No, to w drogę. Obróć raz dwa i zasiądziemy do stołu. Bo szczerze powiedziawszy – zwichrzył czuprynę zachwyconej córki – jestem bardzo głodny!

– Tatusiu, chcę jechać z tobą! – zapiszczała dziewczynka.

– Naprawdę? – zdziwił się, wyciągając ku niej ramiona. Pięciolatka ochoczo wskoczyła w objęcia ojca i pozwoliła się unieść wysoko nad głowę.

Maria westchnęła głośno i spojrzała na męża z udawanym oburzeniem. Chociaż często zarzucała Jankowi, że niemożliwie psuje ich jedyne dziecko, w rzeczywistości bardzo cieszyła ją niezwykła więź, jaka zawiązała się pomiędzy ojcem a córką. Jan był zapracowanym człowiekiem, jego stanowisko wymagało częstych delegacji, ale nigdy nie żałował czasu Steni. Kiedy dla innych ojców problem stanowiła zmiana brudnej pieluszki, on z zapalem pomagał przy wszystkich obowiązkach związanych z opieką nad dzieckiem. Nie tylko kąpał i przewijał córeczkę, ale z równie wielkim entuzjazmem prał i wieszał na zalanym słońcem balkonie śnieżnobiałe tetrowe płachty. Kiedy dziewczynka już podrosła, wprowadził ją w świat baśni, oboje uwielbiali te chwile, gdy sięgali po opasłe tomisko i zatapiali się w niezwykłych opowieściach.

– Zostań lepiej z mamą i pomóż gotować pierogi – zaproponował, pocierając czubkiem nosa o jej główkę. Dziewczynka zachichotała.

– Nie! Chcę z tobą! Do Bożenki i Kazika!

Jan westchnął głęboko i spojrzał przepraszająco na żonę. Wspólnie ustalili, że pojedzie do żony swego zmarłego brata, by złożyć rodzinie życzenia świąteczne i dostarczyć trochę przysmaków. Po śmierci Ryszarda w jego domu nie było kolorowo, ale Wanda za wszelką cenę próbowała udowodnić, że poradzi sobie sama i nie potrzebuje pomocy rodziny męża. Jan chciał pomóc bratowej i dwójce jej dzieci, ale spotkał się z ostrą odmową. Od jesieni panowały między nimi bardzo napięte stosunki. Maria pomyślała, że jeśli Jan zjawi się w rodzinnym domu w wigilijny wieczór, Wanda zmięknie. Nie spodziewali się jednak, że Stenia – stęskniona za dawno niewidzianym kuzynostwem – zechce towarzyszyć ojcu.

– Może jednak... – próbował. Maria przerwała mu ze śmiechem.

– Dobrze, już dobrze. Niech jedzie. Tylko nie szarżuj na drodze, bo przed południem napadało sporo śniegu i jest ślisko.

– Obiecuje. – Posłał jej pocałunek. – Ani się obejrzysz, a będziemy z powrotem...

Maria wycofała się do kuchni, gdzie powoli dochodził barszcz z grzybami. Z przyjemnością wciągnęła w płuca smakowity zapach, mieszając w garnku drewnianą łyżką. Ubrana w ciepłą kurtkę i czapkę z wielkim pomponem Stenia wpadła do środka, by dać jej buziaka. Jan wesoło pomachał z korytarza. Po chwili trzasnęły zamykane drzwi mieszkania i kobieta została sama. Podeszła do okna i odsunąwszy lekko firankę, obserwowała syrenkę męża wycofującą się w kierunku ulicy. Maria odprowadziła wóz wzrokiem, dopóki nie znikł jej z oczu. Uśmiechnęła się na myśl, jak bardzo Jan jest dumny z kupionego samochodu.

Wróciła do kuchenki i przekręciła kurek, równocześnie zerkając na wiszący na ścianie zegar z kukułką. Nie przyjadą wcześniej niż za godzinę, szczególnie jeśli Stenia zacznie się ganiać z kuzynostwem, pomyślała. Przypomniała sobie o książce przyniesionej z biblioteki. Co najmniej dwa razy w tygodniu zachodziła do budynek przy ulicy Sądowej, by wypożyczyć kolejne arcydzieła klasyki światowej. Obecnie czytała Damę Kameliową.

Weszła do pokoju, sięgnęła po pozostawioną na drewnianym nakastliku powieść i zajęła swoje ulubione miejsce w rogu wersalki. Przez chwilę wpatrywała się w kolorową choinkę, podziwiając wyklejone przez Stenię gwiazdki ze sreberka po czekoladzie i kolorowej bibulki, a potem spuściła wzrok na książkę. Niespodziewanie poczuła, jak jej powieki robią się coraz cięższe, aż zaczynają opadać. Zasnęła.

Ze snu wyrwał ją uporczywy dzwonek do drzwi. Maria gwałtownie poderwała głowę, czując nieprzyjemne igielki wbijające się w zeszywniałą szyję. Z ociąganiem podniosła się z wersalki. Janek miał swoje klucze, więc to pewnie pierwsi w tym roku kołędnicy. Trochę wcześniej, uznała. Zerknięcie na stojący na regale budzik obudziło w niej uczucie niepokoju. Dochodziła dziewiętnasta. Jan i Stenia powinni już dawno wrócić, nawet jeśli zasiedzieli się u Wandy dłużej, niż planowali. Może samochód zepsuł się gdzieś po drodze? Jeśli tak, to wypieszczona syrenka Jana nie mogła wybrać gorszego momentu!

Maria zbliżyła się do drzwi i przytknęła oko do wizjera. Na widok milicyjnej czapki poczuła, jak uginają się pod nią nogi. Zmusiła się, by przekręcić zamek i trzęsącą się dłonią szarpnęła klamkę. Funkcjonariusz spojrzał na nią ze współczuciem.

– Czy to tutaj mieszka obywatel Jan Michalski?

– Tak, ale co się... czy samochód się popsuł?

– Bardzo mi przykro, ale zdarzył się wypadek. Samochód pani męża wypadł z drogi i uderzył w drzewo. Pani mąż i...

Maria nie usłyszała nic więcej. Padła zemdlona u stóp mężczyzny.

Wigilia 2016

– Całe życie broniłam się przed białymi kozaczkami i na starość mnie w takie obuli – sarknęła pod nosem pani Michalska, obrzucając ponurym spojrzeniem zawieszoną na wyciągu nogę. Próbowwała obrócić się odrobinę, by sięgnąć do stojącej obok łóżka szafki, ale zmęczona opadła na poduszki. Czowała perlący się na czole pot i nieprzyjemne pieczenie obtartych dłoni. Padając na ziemię, zahaczyła ręką o szczeble drabinki i zdarła skórę.

Rozejrzała się po pomieszczeniu. W kilkuosobowej sali była jedyną pacjentką. Najwyraźniej inni chorzy wrócili na święta do domów, a poza nią nikt nie uprawiał akrobacji na drabinkach malarskich, więc na oddziale panował spokój. Pani Michalska pokręciła głową nad własną naiwnością. Nawet pies z kulawą nogą nie zainteresuje się przybraną przez nią choinką, by oznaczyć swoje terytorium, a ona chciała ściągnąć pod nią wszystkich mieszkańców bloku? I po co to wszystko? Po to, by pierwszy raz od czterdziestu lat celebrować święta z kimś więcej niż drewnianą kukułką z dawno niedziałającego już zegara?

Kątem oka zarejestrowała jakiś ruch. Do sali zajrzała uśmiechnięta pielęgniarka. Była młoda. Najwyraźniej nie odczuwała frustracji na myśl, że musi pracować w wigilijny wieczór. A może nie miała nikogo? Jak ona?

– Przepraszam! – burknęła Pani Michalska. – Czy jest tu gdzieś moja kurtka?

Po chwili przyciskała do piersi okrycie i przetrząsała wewnętrzną kieszonkę. Za każdym razem, kiedy pocierała zranioną ręką o szorstką podszewkę, syczała i marszczyła nos. W końcu jej palce zacisnęły się na tym, czego szukała. Najpierw wydobyła zawinięte w chusteczkę opłatki. Kiedy odwinęła materiał, przekonała się, że trochę się pokruszyły. Troskliwie owinęła je chusteczką i ponownie wsunęła do kieszonki. Sięgnęła głębiej i wyjęła podniszczoną, czarno-białą fotografię. Gdy wpatrywała się w uśmiechniętą, pyzatą twarzączkę, po pomarszczonych policzkach potoczyły się łzy.

Czterdzieści lat.

Czterdzieści samotnych Wigilii spędzonych w ciasnych czterech ścianach własnego mieszkania. Czterdzieści choinek przyozdobionych gwiazdkami ze sreberka i bibuły, kruszących się ze starości, powoli przemijających jak ona sama.

Czterdzieści szklanek kompotu, czterdzieści kawałków smażonej ryby, czterdzieści przełamanych opłatków.

Czterdzieści wypełnionych smutnymi wspomnieniami wieczorów wigilijnych. W inne dni jakoś dawała sobie radę, ale w ten jeden wyjątkowy dzień w roku nie potrafiła znaleźć sobie miejsca. Chodziła na cmentarz, porządkowała grób, zapalała znicze i odliczała, że jest rok bliżej do spotkania z najbliższymi. A kiedy zapadał zmrok, kroczył za kroczeniem dreptała w kierunku domu, zapalała choinkowe światełka i siadała na swoim ulubionym miejscu, kładąc na kolanach kolejne książki. Z mocno bijącym sercem oczekiwała nadejścia godziny, w której przed laty straciła wszystko. Słyszac dźwięk zegara – najpierw kukułki, którą Stenia radośnie przedrzeźniała, a następnie elektronicznego budzika z melodyjką, jaki kupiła na placu targowym – odkładała książkę i przenosiła się za stół. Odsuwała krzesło, siadała sztywna jak struna i wilgotniejącymi oczyma wpatrywała się w ustawione naprzeciwko nakrycia dla męża i córeczki.

W tym roku miało być inaczej.

Sama nie potrafiła powiedzieć, kiedy zdecydowała, że będzie inaczej.

Czy wpłynęła na nią przestraszona twarz Anny? A może wahanie malujące się na ładnej twarzyczce Moniki? Nie, najprędzej wpłynęła na nią szczebiocząca Stasia, która codziennie zaczepiała ją przed blokiem i trajkotała, że w tym roku Święty Mikołaj już na pewno przyniesie jej kucyka. Pewnego dnia złapała ją za rękę, a ona dzięki ciepłu małej łapki poczuła, że coś w niej pęka. Jej spojrzenie spoczęło wtedy na mizernej jodełce, która rosła pod blokiem, jakby na przekór wszędobylskim spalinom i obsikującym ją kundelkom. Pomyślała, że ona jest zupełnie jak ta jodełka, istniejąca pomimo przeciwności losu.

Nagle zapragnęła, by nadchodzące święta okazały się inne. By mogła je spędzić z innymi ludźmi, podzielić się opłatkiem, wypowiedzieć życzenia, które choć czasami niezręczne i powielane jak ulotki chińskiego marketu, to jednak dławiły w gardle wzruszeniem. Ale z kim, skoro nie miała nikogo bliskiego? Od lat nie musiała się troszczyć o nic innego jak porządek w zamieszkiwanej klatce i dostawę nowych mioteł, którymi trzymała mieszkańców budynku na dystans.

Mieszkańców!

Właśnie wtedy zrodził się pomysł spotkania pod choinką. Wstąpiły w nią nowe siły. Na placu targowym kupiła bombki i światełka, które zgodnie z zapowiedzią sprzedawcy miały urzekać feerią kolorów i wygrywać *Przybieżeli do Betlejem*. Na wszelki wypadek, gdyby uczestnicy spotkania zapomnieli języka w gębie lub okropnie fałszowali.

Kiedy zapadł zmrok, zapaliła swoją niedużą plastikową choinkę i nakryła do stołu. Tym razem przygotowała tylko jedno nakrycie, ale zdjęcia Jana i Steni położyła tuż przed sobą. Wbijając widelec w ościstą rybę, wpatrywała się w radosne oczy córki na popękanej fotografii, ale tym razem nie płakała. Z biciem serca oczekiwała chwili, kiedy pójdzie założyć światełka na rosnące pod blokiem drzewko. Podekscytowana zastanawiała się, czy któryś z mieszkańców zjawi się, by razem z nią przystroić jodełkę. Przed wyjściem z domu zajrzała do barku meblościanki i czule pogładziła pudełko z wielobarwnym konikiem, myśląc, że w tym roku Mikołaj rzeczywiście spełni marzenie małej Stasi...

A potem wszystko potoczyło się nie tak, jak sobie wyobrażała...

Huk. Stuk. Łup.

Pani Michalska odsunęła kurtkę na brzeg łóżka i z głośnym westchnieniem przycisnęła do serca zdjęcie zmarłej córeczki.

Może za rok się uda? – zapytała samą siebie w myślach.

*

Zuzanna jeszcze nigdy nie czuła się tak ważna. Anna powierzyła jej istotną misję i Zuzanna była zdecydowana podejść do niej z typowym dla siebie perfekcjonizmem. Kiedy Kajetan chciał udzielić jej pomocnych wskazówek, fuknęła na niego jak obrażona kotka:

– Wybacz, ale nie zamierzam słuchać kogoś, kto nie potrafi odróżnić świerszcza od żaby!

Kajetan pokrył się buraczkowym rumieńcem, ale posłusznie odsunął się na bezpieczną odległość. Stał sobie w zacisznym kąciku pomiędzy choinką a wysokim parkanem i główkował, jak wytłumaczyć przyjacielowi, że jego „maleństwa” zniknęły. Kiedy już wszystko sobie z Zuzanną wyjaśnili i doszli do wniosku, że za ich problemy odpowiada kasjerka z miejscowego dyskontu i pudełko po kozakach rozmiar trzydzieści osiem, osobiście wyruszył na poszukiwanie pozostawionych pod jego opieką „skarbów”. W miejscu, które wskazała mu żona, po pudełku nie pozostał nawet ślad, chyba że za taki można by uznać pestki po wiśniach starannie ułożone na złotej nakrętce...

Marzena i Maciej w milczeniu przemierzali trasę pomiędzy dwoma miasteczkami. Po niezręcznym powitaniu, które nastąpiło pod obstrzałem spojrzeń sąsiadek, zapadła krępująca cisza. Kiedy minęli charakterystyczny wiadukt kilka kilometrów przed Wadowicami, Maciej spojrzał na towarzyszącą mu kobietę.

– Chciałbym ci coś opowiedzieć... To związane z panią Michalską.

Marzena z niedowierzaniem wysłuchiwała historii, którą Maciejowi i księdzu Wojtkowi opowiedziała gospodyni na plebanii. Gdy usłyszała, jakie straszne wieści tamtej wigilijnej nocy przyniósł do mieszkania przy ulicy Weissa milicjant, załkała. Ponowne zapadło milczenie, ale tym razem było zupełnie inne – nie dotyczyło ich, tylko tragedii, którą trudno było jakkolwiek skomentować. Marzena oparła głowę o boczną szybę i pozwoliła, by łzy swobodnie spływały jej po policzkach. Maciej zerkał na nią co chwila, aż w końcu wyciągnął rękę i mocno ścisnął jej dłoń. Odwzajemniła uścisk.

W wadowickim szpitalu panowała przejmująca cisza. Sympatyczny pan na portierni poinformował ich, że zasadniczo to wizyt o tej porze nie ma, ale mogą spróbować szczęścia.

– Przywieźliśmy pantofle. – Marzena zamachała trzymaną w dłoni reklamówką, jakby ta była osobliwym biletem wstępu.

– A to inna sprawa. Na górę i w prawo. Najlepiej od razu do dyżurki lekarza.

Zgodnie ze wskazówkami dotarli do dyżurki lekarskiej, ale ta okazała się pusta, więc ruszyli dalej. Z oddali dobiegał odgłos grającego radio, właśnie ktoś odśpiewywał *Lulajże Jezuniu* i Marzena ponownie poczuła napływające do oczu łzy. Kiedy Stasia była malutka, uwielbiała, kiedy mama śpiewała jej kolędy. Ta jedna kojarzyła się Marzenie szczególnie, ponieważ właśnie podczas niej córka wtulała się w nią najmocniej.

– Co państwo tutaj robią? – usłyszeli za plecami.

– Pantofle. – Marzena ponownie wyciągnęła przed siebie reklamówkę. – Koszula i... proszek do czyszczenia sztucznej szczęki.

– Dla pani Michalskiej? Dziękuję, przekażę. – Uśmiechnięta pielęgniarka sięgnęła po pakunek.

– Siostrze, czy my moglibyśmy...

– O tej porze?

– Tylko na chwileczkę.

– Pani Michalska jest bardzo słaba. Na pewno już śpi.

– Tylko zerkniemy – prosiła Marzena.

– Dziś Wigilia – przypomniał Maciej. – Siostra też na pewno chciałaby zobaczyć kogoś bliskiego.

Pielęgniarka wpatrywała się w nich, przygryzając dolną wargę. W końcu skinęła głową.

– Dobrze, ale tylko na chwileczkę i pod warunkiem, że nie śpi.

Poprowadziła ich w kierunku lekko uchylonych drzwi po prawej stronie. Marzena spojrzała niepewnie na Macieja. Jak przyjmie ich staruszka po tym, gdy mieszkańcy bloku nie zjawili się w umówionym miejscu i pozwolili jej zlecieć z drabiny na łeb, na szyję? Mężczyzna wyczuł targającą nią wątpliwość i ponownie wziął ją za rękę.

– Masz? – wyszeptał niemal bezgłośnie. Pokiwała głową twierdząco.

Pielęgniarka uchyliła drzwi, zajrzała do sali i spojrzała na nich z uśmiechem.

– Macie szczęście. I dziesięć minut.

– Tyle w zupełności wystarczy – szepnęła Marzena.

*

– Zupełnie nie umiesz! – oburzyła się Anna.

– Zupełnie się z tobą nie zgadzam! – mruknęła obrażona Zuzanna. Odsunęła grzywkę, która wpadała jej do oczu, stanęła w szerokim rozkroku i wyciągnęła przed siebie wyprostowane ramiona. – Myślę, że bardzo dobrze mi idzie.

– Szłoby – stwierdziła kąśliwie sąsiadka – gdybyś nie trzymała telefonu kamerą do siebie.

– Niemożliwe? – Zuza zdecydowała się sprawdzić, o mało nie tracąc przy tym równowagi. Annę opuściły resztki cierpliwości.

– Och, daj mi to, ty technologiczna sieroto! Nigdy w życiu nie miałam komórki, a wiem o nich więcej niż ty. Idź i ustawiaj.

– A jeśli nie posłuchają? – Zaniepokojona Zuzanna złożyła wypasiony smartfon Moniki w dłoniach Anny i spojrzała niepewnie na gromadzących się sąsiadów.

– Użyj perswazji.

– Perwersji?

– Perswazji. A po świętach umów się do laryngologa.

Zuza rozejrzała się naokoło z zainteresowaniem.

– Gdzie twój mąż?

– Nie przyjdzie. – Anna wzruszyła ramionami. – Pakuje się do wyjazdu. Powiedział, że musi znaleźć w torbie miejsce na coś bardzo ważnego.

– Mam nadzieję, że nie na moje kompoty – mruknęła pod nosem Zuzanna, ruszając w kierunku wyraźnie podenerwowanych sąsiadów.

– Długo jeszcze? – dopytywała kobieta spod trójki. – Film mi ucieknie.

– Obejrzy pani za rok. Stajemy, stajemy! – wrzasnęła Zuza. Zaczynała wczuwać się w rolę.

– Ale gdzie?

– Tutaj, pod jodełką. Bliżej. Pani przytuli się do pieńka. I pani będzie cieplej, i choince. Pani Kwiatek! Pani Kwiatek!

– Co? – odezwało się z dwóch stron drzewka. Zuza poczuła, że z natłoku wrażeń kręci się jej w głowie.

– Pani starsza, pani podobno śpiewała w chórze kościelnym. Będzie pani pierwszym głosem!

Mama Kwiatek napuszyła się jak paw i zajęła wskazane przez Zuzannę miejsce. Natychmiast zaczęła dzielić się ze stojącą obok kobietą swoją przeszłością wokalną, tamta jednak wyglądała na znudzoną i szybko jej przerwała.

– Nie wie pani, o której zaczyna się *Kevin* na Polsacie?

– Jutro będzie powtórka! – huknęła Zuzanna. – Proszę państwa, albo staniecie jak trzeba, albo... albo poszczuję was psem.

– Tym? – Pani Malinowska uśmiechnęła się z politowaniem, wskazując na trzęsącą się z zimna lub wrażeń Nudę. Jej byli właściciele na szczęście nie przyszli. Zuzanna dobijała się do mieszkania na trzecim piętrze, ale odpowiedziała jej głucha cisza.

– Nie, nie tym. – Zuza spojrzała na sąsiadkę z wyższością. – Nuda jest łagodna, ale znam psa, który rzuca się na męskie genitalia.

– I straszysz nim mnie? – zaśmiała się sąsiadka. Zuzanna wzruszyła ramionami.

– Nigdy nic nie wiadomo.

– Jesteście gotowi? – wrzasnęła Anna Jurczyk, wymachując trzymanym w dłoni smartfonem. – Dojechali. Zaraz zaczynamy! Panie Jakubie, jak światełka?

Jakub Kwiatek zsunął się z drabinki i z dumą włączył kolorowe lampki na choince. Drzewko rozjarzyło się barwnymi punkcikami. Anna pokiwała głową z zadowoleniem.

- Mam nadzieję, że tym razem nie pierdyknie – mruknęła.
- No, bo film mi przypadnie... – dopowiedziała sąsiadka spod trójki.

Marzena i Maciej przekroczyli próg sali, w której leżała pani Michalska, i z zaciekawieniem rozejrzeli się po wnętrzu. Chociaż w niedużym pokoiku znajdowały się cztery metalowe łóżka, zajęte było tylko to stojące pod oknem. Na parapecie ktoś ustawił malutką plastikową choinkę przybraną srebrnymi łańcuchami. Marzena podeszła do łóżka, potykając się o porzuconą na podłodze kurtkę. Podniosła ją, starannie złożyła i wsunęła do wnętrza metalowej szafki. Dopiero wtedy spojrzała na staruszkę. Pani Michalska wpatrywała się w nią ze zmarszczonymi brwiami.

- Przyszliście prosić na wesele? – sarknęła.
- Nie, przyszliśmy panią odwiedzić. – Marzena przysiadła na brzegu łóżka. – Jak się pani czuje?
 - Mam złamaną nogę. Jak się mogę czuć? – burknęła sąsiadka. Marzena uśmiechnęła się do Maćka porozumiewawczo. Spodziewali się dokładnie takiej reakcji. Przed wyjazdem do szpitala zgodnie ustalili, że nie napomkną słówkiem o samotności sąsiadki. Choć nadal miała przed oczyma pojedyncze nakrycie na śnieżnobiałym obrusie i była pewna, że szybko nie wyrzuci go z pamięci. Sama doskonale rozumiała, czym jest samotność.
 - Hmm, domyślałam się, że boli. – Pokiwała głową ze współczuciem. Nagle złapała sąsiadkę za rękę. – Chciałam pani podziękować.
 - Mnie? A za co? – Pani Michalska siliła się na obojętność, ale zerkała zaciekawiona to na Marzenę, to na towarzyszącego jej mężczyznę.
 - Za rozmowę i za to, że uświadomiła mi pani, co czuje Stasia. Mam nadzieję, że teraz będę lepszą mamą...
 - Jesteś dobrą matką, na litość boską – zirytowała się pani Michalska, ale dało się dostrzec, że słowa Marzeny sprawiają jej dużą przyjemność.
 - ...i odważniejszą – dokończyła Kamińska. – Musi pani wiedzieć, że wszyscy mieszkańcy naszego bloku są pani wdzięczni.
 - Czyżby? – Staruszka uniosła jedną brew.
 - Naprawdę. Doceniamy, że tak wspaniale utrzymuje pani porządek i dba, żeby żadne podejrzane elementy nie kręciły się po klatce. Poza tym pomogła pani mnie, Annie, Zuzannie i Monice uświadomić sobie, co naprawdę się liczy!
 - Och, nie przesadzaj. – Pani Michalska skromnie spuściła wzrok. – Może troszeczkę się wmieszałam w wasze życie, ale miałam dobre intencje. Stosunki sąsiedzkie to ważna rzecz!
 - Wiemy o tym! – zapewniła Anna. – Wszyscy mieszkańcy bloku o tym wiedzą, dlatego zebrali się dzisiaj pod naszą jodełką, aby połamać się opłatkiem i zaśpiewać kolędy!
 - Niemożliwe! – Staruszka drgnęła na posłaniu i patrzyła na twarz Marzeny w napięciu. – Naprawdę przyszli?
 - Naprawdę! – Skinęła głową w odpowiedzi.
 - Proszę leżeć spokojnie, bo nas pielęgniarka pogoni – wtrącił Maciej.
 - Szkoda, że tego nie zobaczę. Malinowska na pewno strasznie fałszuje – westchnęła pani Michalska, na powrót opadając na poduszki.
 - Zobacz pani! – Marzena uśmiechnęła się szeroko, biorąc z ręki Macieja tablet. – Mamy dla pani niespodziankę!

Dochodziła dwudziesta pierwsza. Część mieszkańców miasteczka przysypiało już w łóżkach, masując się po przepełnionych żołądkach. Inni zasiedli w fotelach, by obejrzeć kolejne

powtórki popularnych świątecznych filmów, z *Kevinem* na czele, i podojadać okruszki makowca. Pod blokiem przy ulicy Weissa nikt nie myślał o spaniu czy oglądaniu telewizyjnych hitów, a nawet jeśli myślał, to z obawy przed wrzaskami Zuzanny Fijus nie zamierzał o tym wspomnieć ani słówkiem.

Mała, chuderlawa jodełka, poruszana podmuchami wiatru, jarzyła się wszystkimi kolorami tęczy. Zbici w ciasną gromadkę mieszkańcy budynku radośnie wyśpiewywali ulubione kolędy. Może ciut fałszowali, wszak wcześniej w ogóle ich nie przećwiczyli, ale to nie miało znaczenia. Najpiękniejsze było to, że po raz pierwszy od bardzo dawna, może nawet pierwszy raz w ogóle, poczuli jedność i przyjemność ze wspólnego spędzania czasu. Nie byli już wścibskimi sąsiadami zaglądającymi sobie do okien i siatek na zakupy, ale bliskimi ludźmi, których połączyła świąteczna magia.

Zuzanna i Kajetan przytulili się do siebie pod zieloną gałązką. Zuza objęła ramieniem córkę, Kajtek wsunął pod kurtkę trzęsącą się z zimna psinę. Ona pomyślała, jak cudownie, że spędzą te święta w komplecie. On zastanawiał się, czy teraz, kiedy wszystko się wyjaśniło, żona nareszcie założy czarne koronki. Na samą myśl śpiewał głośniejszy i... szybciej.

Monika i Jakub na zmianę tulili małego Piotrusia, który już dawno zamknął zmęczone powieki i teraz smacznie pochrapywał w grubym kombinezonie z futrzanym kapturkiem. Na czele kolędujących mama Kwiatek wznosiła się na wyżyny swoich zdolności wokalnych, wychwalając świętość cichej nocy. W przerwach pomiędzy kolejnymi kolędami odwracała się w kierunku synowej, by udzielić jej pomocnych wskazówek.

Stasia przycupnęła sobie pomiędzy Moniką a Zuzanną. W rączce trzymała wymarzonego kucyka i choć starała się włączać we wspólne kolędowanie, to jednak jej spojrzenie co rusz wędrowało ku kolorowej grzywie. Nagle drgnęła, a jej buzię rozświetlił szeroki uśmiech. Kiedy dzwoniła z życzeniami do nowej koleżanki i wspominała o spotkaniu pod jodełką, nie śmiała marzyć, że Kasia się pojawi. A teraz nadchodziła od miasta wraz z rodzicami i śmiała się do Stasi z daleka. Kasia. A może Kazia?

Radosny śpiew płynął w niebo, a pojedyncze płatki śniegu wirowały ponad głowami kolędników. Ciekawski wróbelek sfrunął na wiotką gałązkę jodełki i malutkim oczkiem przyglądał się zgromadzonym pod drzewkiem ludziom, podskakując na chudych nóżkach. I nagle wydarzyło się coś niezwykłego. Powoli z sąsiedniej klatki i okolicznych domów zaczęli wyłaniać się ludzie. Wpierw pojedynczo, a potem już małymi grupkami, zmierzali w kierunku wesoło rozjarzonej światłem choinki pod blokiem numer pięć. Przysuwali się do kolędników i razem wyśpiewywali radość powiązaną z rozpoczynającymi się właśnie świętami. Wśród nich nie zabrakło i księdza Wojtka, który troskliwie przesunął dłonią po strunach swojej gitary i zaintonował wesołe *Przybieżeli do Betlejem*.

A w oddalonym o kilkanaście kilometrów szpitalu pani Michalska z niedowierzaniem wpatrywała się w rozkołysany obraz na ekranie Maćkowego tabletu, ukradkiem wycierając wilgotniejące oczy. I nawet pielęgniarka przymknęła oko, że dziesięć minut już dawno minęło, i z zachwytem wsłuchiwała się w ten niezwykły koncert płynący prosto z kalwaryjskiego podwórka.

– Miała pani świetny pomysł. – Marzena uśmiechnęła się ciepło do sąsiadki.
– Oczywiście – przyznała staruszka. – Ale organizacja kuleje. W przyszłym roku zajmę się tym osobiście!

Ksiądz Wojtek przygotowywał się do pasterki, kiedy do zakrystii wpadła zziębnięta gospodyni. Pobladła, łapała się za serce i spoglądała na wikarego wyraźnie zdenerwowana.

– Księżę Wojtku, szybko...

– Co się stało? – zaniepokoił się.

– Szopka!

Wikary ruszył za panią Genią, marszcząc brwi. Czyżby dziewczynki nie dokończyły prac przy układaniu szopki? A może ktoś ją zniszczył? Idąc za gospodynią, ksiądz Wojtek wyrzucał sobie, że nie przeszło mu przez myśl, by zerknąć na dzieło wychowanek Macieja.

Gospodyni z grobową miną wskazała wytwór dziewczynek, a ksiądz z trudem zdusił w sobie śmiech. Przybrał surowy wyraz twarzy, co wyraźnie usatysfakcjonowało panią Genię. Przyjął też podsuniętą Maryję, którą obracał w dłoni, pomrukując pod nosem.

– Hmm, hmm...

Laleczka została przybrana w niebieską sukienkę. Miała delikatną twarzyczkę, ogromne oczy i burzę kasztanowych włosów. Była piękną matką Jezuska, a raczej byłaby, gdyby nie... rogi wystające pomiędzy silnie skręconych loczków. Nie pierwszy raz ksiądz Wojtek oglądał laleczki z tej serii, ale nigdy wcześniej nie wcielały się one w rolę Maryi i Józefa. Pani Genia wstrząśnięta obmacywała wystające różki.

– Świat staje na głowie! – pomstowała. – Co robimy? Demontujemy?

– A skąd! Dziewczynki włożyły w tę szopkę mnóstwo pracy, nie możemy tego zrobić – oburzył się ksiądz. – Pani Genia zdaje się robić na szydełku...

– Na szydełku? – Gospodyni wpatrywała się w wikarego oniemiała.

– Na szydełku – powtórzył, wskazując ustawione wokół żłóbka laleczki. – Trzeba im zrobić czapeczki.

– Czapeczki – mamrotała pod nosem pani Genia, ruszając po ulubione szydełko i motek kolorowej włóczki. – Świat staje na głowie, jak mi Bóg miły.

Ksiądz Wojtek odprowadził gosposię spojrzeniem, kręcąc głową i uśmiechając się pod nosem. Zerknął na zegarek i z głębokim westchnieniem sięgnął po lalkę w niebieskiej sukience.

– Chodź, Maryjo, ułożymy ci nową fryzurę...

Podziękowania i usprawiedliwienia

Kochani czytelnicy!

Trzymacie w dłoni *Cztery płatki śniegu*, powieść, w której zawarłam całą moją miłość do Gwiazdki. Uwielbiam te święta, uwielbiam ich klimat, uwielbiam świąteczne przeboje i kolędy, chętnie ubieram choinkę, gotuję tradycyjne przysmaki i nakrywam do wigilijnej wieszki, choć jest to czas, gdy najsilniej tęsknię za tymi bliskimi, których nie ma już przy mnie. Marzyłam o tej książce, a wiecie, co trzeba zrobić z marzeniami? Spełniać je!

Największe podziękowania kieruję do Was, kochani czytelnicy! To dla Was tworzę swoje historie i staram się wydobyć na światło dzienne jak najwięcej zawartego w nich optymizmu. Dziękuję, że po nie sięgacie, czytacie, że zjawiacie się na spotkaniach autorskich, bo dzięki temu ja mogę robić to, co naprawdę kocham! To dla Was wprowadziłam do tej powieści postać Kaliny, tęsknicie za tą szaloną dziewczyną i wciąż o nią dopytujecie, zatem jest!

Gręce podziękowania składałam moim najbliższym: Grzegorzowi i Milence. A także pozostałej części rodziny, z teściową na czele. Jak dobrze, że mama mojego męża nie przypomina mamy Kwiatek!

Serdecznie dziękuję dziewczynom, bez których moja powieść nie zyskałaby takiego kształtu, jaki posiada. Monika, Marta i Jola to surowe recenzentki i nie zawsze głaszczą po głowie. Choć słowa krytyki bywają cierpkie, to chwila zastanowienia i autorefleksji skutecznie je osładza. A te krytyczne uwagi naprawdę pomagają! Monice dedykuję postać Waldemara, bo wiem, że to jej ulubieniec!

Magdzie Majcher tradycyjnie dziękuję za wsparcie, dobre rady, pomoc przy promocji i za to, że docenia moje poczucie humoru. I za rozmowy na Facebooku – tak, tak wiem, że się powtarzam, ale pewne rzeczy po prostu się nie zmieniają.

Gręce podziękowania kieruję w stronę osób, które podzieliły się ze mną przepisami na świąteczne przysmaki. Nie udało mi się wykorzystać ich w książce, ale wprawiły mnie w gwiazdkowy nastrój, gdy pisałam. Bardzo dziękuję Agnieszce Wójcik, Annie Miroś i Ryszardowi Wojnowskiemu!

Podziękowania należą się także recenzentom, blogerom i portalom polecającym moje powieści. Tak, zdaję sobie sprawę, że w momencie, kiedy te słowa piszę, nie wiem, jak zostanie odebrana moja najnowsza powieść, ale pomarzyć o dobrych recenzjach można, co nie?

Dziękuję członkom i członkiniom mojej fanowskiej grupy na Facebooku. Dzięki Wam mam miejsce, gdzie mogę się pożalić na spóźniony pociąg i pochwalić nowym kubkiem (i książkami).

Dziękuję ekipie Wydawnictwa Czwarta Strona za zaangażowanie i wsparcie. Kindze dziękuję za udaną współpracę. Większość autorów nie lubi redakcji, a ja tak. Nie bez powodu!

Na pewno kogoś zgubiłam po drodze, bo taka już ze mnie gapa. Dlatego wielkie DZIĘKUJĘ. Dla wszystkich!

Na koniec kilka wyjaśnień dotyczących powieści i zawartej w niej historii. Wszystkie postaci i zdarzenia z kart książki są fikcyjne. Prawie. Autentyczna jest historia Nudy, która w prawdziwym życiu miała zupełnie inaczej na imię. Jak zwykle proszę, byście reagowali na

krzywdę zwierząt. Choć wydaje się, że to tylko historia z książki, takie ciche dramaty rozgrywają się wokół nas. To samo można rzec o ludzkiej samotności. Ilu naszych sąsiadów spożywa samotną wieczerzę wigilijną jak pani Michalska?

Realne jest miasteczko, w którym umiejscowiłam akcję powieści. Istnieje ulica Weissa, istnieje również blok, w którym mieszkają moi bohaterowie. Zmieniłam mu numer, żebyście nie wpadali zbyt często na babeczki żurawinowe Zuzanny, bo ona i Kajetan mają teraz inne zajęcia. Dobudowałam też piętro, zmieniłam aranżację niektórych pomieszczeń w budynku i przesadziłam jodełkę. Chyba tyle. No i chciałabym spotkać kiedyś panią Michalską. Tylko bez miotły...

W cukierni Pysia możecie zjeść świetne gofry (poleca je Milenka), a kalwaryjskie dróżki są piękne o każdej porze roku, nie tylko jesienią. Zresztą nie tylko one, w naszej okolicy nie brakuje malowniczych zakątków, trzeba to tylko dostrzec!

Pamiętajcie, że zawsze możecie podzielić się ze mną wrażeniami po lekturze. To dla mnie cenne wskazówki! Znajdziecie mnie na fanpejdżu i grupie fanowskiej. Możecie także napisać maila na adres: asia.szaranska@gmail.com.

Do przeczytania!

POLECAMY

Święta to szczególny czas. Czas cudów. Bo zawsze znajdzie się ktoś, kto rozdaje prezenty, niekoniecznie pod choinką...



*Wieczór
taki jak ten*

GABRIELA
GARGAŚ



Michalina ma 27 lat i sama wychowuje młodszego brata. Mieszkają w przepięknej, malowniczej miejscowości u podnóża Tatr. W codziennych trudach wspiera ją jej babcia Zosia, właścicielka cukierni „Cynamonowe serca”. To za jej radą, by podreperować budżet, wnuczka postanawia na okres Bożego Narodzenia wynająć pokoje dla gości.

Do pensjonatu przyjeżdżają tylko cztery osoby: ekscentryczny rozwodnik, który najchętniej wymazałby Święta z kalendarza, starsza pani, która pragnie odzyskać utracone wspomnienia oraz tajemnicza pani doktor z córką.

Gdy dzień przed Wigilią do drzwi domu Michaliny zapuka jeszcze jeden gość, życie kobiety wywróci się do góry nogami.

Poruszająca opowieść pełna świątecznego, niepowtarzalnego klimatu i magii. Bo gdy ludzie walczą o to, co w życiu najcenniejsze, atmosfera Bożego Narodzenia może zdziałać cuda.



Karolina Wilczyńska
ZAMARZNIĘTE SERCA

ROK NA KWIATOWEJ

Ogrzej swoje serce wśród przyjaciółek z Kwiatowej!



Zima przychodzi nieoczekiwanie. A z nią mróz tak wielki, że mrozi serce. Wtedy potrzebujemy kogoś, kto otuli je ciepłem, roztopi lód i pozwoli uwierzyć w nadejście wiosny.

Liliana stoi przed trudnym zadaniem: musi zaopiekować się córką kuzynki, która zatrzymuje się u niej na jakiś czas. Nastolatka sprawia sporo kłopotów i gdy Liliana postanawia z nią poważnie porozmawiać, dowiaduje się o traumatycznych przeżyciach dziewczyny. Pod adresem partnera Liliany padają poważne oskarżenia. Niespodziewanie okazuje się też, że Liliana musi zmierzyć się z własną, trudną przeszłością. Jakie decyzje podejmie? I czy ostatecznie uda jej się odnaleźć wspólny język z zamkniętą w sobie nastolatką?

Najnowsza powieść Karoliny Wilczyńskiej to próba zrozumienia, że przeszłość zawsze nas odnajdzie, nie możemy od niej uciec.



Miłość jak z bajki – to się zdarza!

NATALIA SOŃSKA



Zakochaj się
Julio



Zimowa sceneria polskich gór i wzruszająca opowieść o miłości jak z bajki.

Julia jest nauczycielką w jednym z krakowskich liceów. Młoda i ambitna, cieszy się wśród uczniów szacunkiem oraz sympatią. Dziewczyna ma złote serce, a dla swoich wychowanków jest w stanie zrobić wszystko, nawet narazić własną reputację!

Jakub realizuje się życiowo i zawodowo – jego firma deweloperska prężnie się rozwija, a narzeczona – Dagmara – wydaje się wymarzoną partnerką. Mimo to Jakub odczuwa pewien niedosyt i pustkę. Przypadkowe spotkanie z Julią na jednym z górskich szlaków wywoła lawinę zdarzeń. Czyżby Jakub odnalazł prawdziwą księżniczkę? Czy drogi tych dwojga zejdą się na zawsze?

Morał z tej opowieści może płynąć tylko jeden – szlachetne i dobre serce zawsze zwycięży fałsz i dwulicowość innych...

